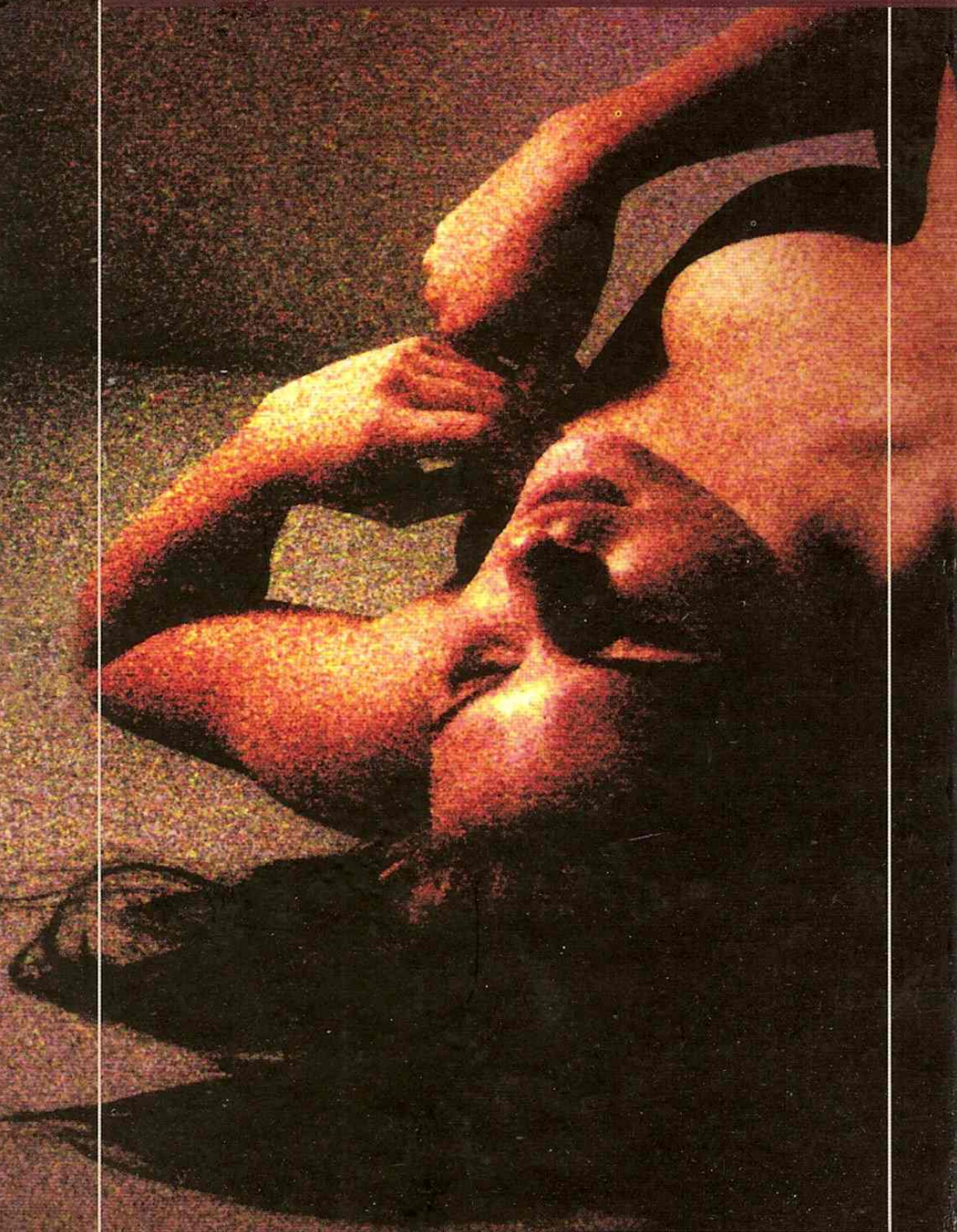


VLADIMIR NABOKOV

Śmiech w ciemności



VLADIMIR NABOKOV

Śmiech w ciemności

przełożył
Michał Kłobukowski

posłowiem opatrzył
Leszek Engelking

Warszawskie
Wydawnictwo
Literackie
MUZA SA

dla Véry

Żył sobie raz w niemieckim mieście Berlinie mężczyzna imieniem Albinus, bogaty, szanowany, szczęśliwy; pewnego dnia porzucił żonę dla młodej kochanki; kochał, lecz nie był kochany; i życie jego zakończyło się katastrofą.

Ot i cała historia, moglibyśmy więc postawić kropkę, gdyby ze snucia opowieści nie płynęła korzyść i przyjemność; a choć na kamieniu nagrobnym bez trudu pomieści się skrócona wersja ludzkiego życia w oprawie z mchu, szczegóły zawsze są mile widziane.

Otóż pewnego wieczoru Albinusowi zaświtał piękny pomysł. Owszem, niezupełnie jego własny, zrodził się bowiem ze zdania przeczytanego u Conrada (nie tego sławnego Polaka, lecz Udo Conrada, autora *Wspomnień człowieka zapominalskiego* i tej drugiej książki, o starym iluzjoniście, który w trakcie pożegnalnego występu magicznie się ulatnia). W każdym razie Albinus przejął pomysł na własność przez to, że go polubił, że się nim bawił, że dopuścił, aby wszedł mu on w krew – a tym wszak sposobem w wolnym mieście umysłu dokonuje się prawowitego zawłaszczenia. Jako krytyk sztuki i znawca malarstwa często dla zabawy kazał temu lub owemu spośród dawnych mistrzów podpisywać się pod pejzażami bądź twarzami, które napotykał w świecie rzeczywistym: jego życie stawało się przez to wspaniałą galerią obrazów – samych podróbek, lecz jakże uroczych. Aż tu pewnego wieczoru, kiedy – chcąc dać urlop swej uczonej głowie – pisał krótki esej (nic genialnego, nie był bowiem szczególnie utalentowany) o sztuce filmowej, nasunął mu się ten piękny pomysł.

Wiązał się on z kolorowymi filmami rysunkowymi – które właśnie wtedy zaczynały się pojawiać. Byłoby to fascynujące, myślał Albinus, gdyby udało się tą metodą dokładnie przenieść na ekran jakieś znane malowidło, najlepiej ze szkoły holenderskiej, wiernie odtworzyć barwy, a następnie ożywić, graficznie rozwinąć ruch i gest, w pełnej harmonii z ich statycznym układem na obrazie; mogłaby to być scena z piwiarni: małe ludziki chciwie piją, siedząc przy drewnianych stołach, widać też słoneczny skrawek dziedzińca z osiodłanymi końmi – i wszystko to nagle ożywa, gdy człowieczek odziany w czerwień odstawia kufel na stół, dziewczyna z tacą wyrywa się z uścisku, a kura zaczyna dziobać próg. Można by cały epizod przedłużyć, każąc figurkom wyjść na dwór i przejść przez pejzaż tego samego malarza: powiedzmy, brunatne niebo i zamarznięty kanał, a ludzie na zabawnych łyżwach, jakich wtedy używano, kreślą staroświeckie esy-floresy pod dyktando pędzla; lub mokra droga we mgle i dwaj jeźdźcy – aż wreszcie powrócimy do tej samej karczmy, postaciom i światłu stopniowo nadamy pierwotną konfigurację, poodstawiamy je, by tak rzec, na miejsca i zakończymy podróż pierwszym obrazem.

Można by też wziąć na warsztat Włochów: w oddali błękitny stożek wzgórza, serpentyny białej ścieżki, maleńcy pielgrzymi pną się nimi pod górę. Albo i tematy religijne, ale wyłącznie te z małymi postaciami. Rysownik musiałby mieć gruntowną wiedzę o danym malarzu oraz jego epoce i być obdarzony sporym talentem, żeby uniknąć dysonansu między stworzonymi przez siebie ruchami a tymi, które zaprojektował dawny mistrz: musiałby je wypracować, przyjmując obraz za punkt wyjścia – ależ tak, to całkiem wykonalne. A kolory... niewątpliwie byłyby o wiele bardziej wyszukane od kolorów z rysunkowych filmidełek. Jakąż można by w ten sposób wysnuć opowieść – o wizji artysty, o radosnej wędrówce oka i pędzla, opisać świat w manierze wybranego malarza, przesycony barwami, które odkrył ów twórca!

Po jakimś czasie wspomniał o tym pewnemu producentowi filmowemu, ten jednak ani trochę się nie zapalił: stwierdził wręcz, że niezbędna tu delikatność rzemiosła wymagałaby radykalnego udoskonalenia metod animacji, co kosztowałoby majątek; dodał, iż na zdrowy rozum film z racji swej pracochłonności nie mógłby trwać dłużej niż kilka minut, a i tak zanudziłby na śmierć większość widzów i pod każdym względem sprawił zawód.

Potem Albinus rozmawiał o tym z innym filmowcem, który odniósł się do jego pomysłu równie lekceważąco.

– Moglibyśmy zacząć od czegoś zupełnie prostego – nalegał Albinus. – Od ożywionego witraża, animowanego herbu, paru małych świętych.

– Niestety, nic z tego – odparł rozmówca. – Nie możemy ryzykować inwestowania w obrazkowe fanaberie.

Lecz Albinus nie porzucił swej idei. W końcu powiedziano mu o zręcznym osobniku nazwiskiem Axel Rex, cudownym majstrze od wszelkich dziwactw: podobno sporządził on nawet animowaną wersję jednej z perskich baśni, wprawiając w zachwyt paryską elitę intelektualną i doprowadzając do ruiny człowieka, który sfinansował całe przedsięwzięcie. Albinus spróbował więc skontaktować się z Rexem, dowiedział się jednak, że tamten właśnie wrócił do Stanów i rysuje komiksy dla jakiegoś ilustrowanego pisma. Z czasem Albinusowi udało się dotrzeć do Rexa i wzbudzić jego zainteresowanie.

W pewien marcowy dzień dostał od niego długi list, ale przesyłka ta zbiegła się z nagłym kryzysem w prywatnym – nader prywatnym – życiu Albinusa, toteż piękny pomysł, który w innych okolicznościach żyłby może dalej i znalazłby w końcu odpowiednią ścianę, aby przywrzeć do niej i rozkwitnąć, przez ostatni tydzień dziwnie wyblakł i przywiadł.

Rex napisał, że nie ma szans zbałamucić hollywoodzkich bonzów, i z całym spokojem zaproponował, aby Albinus, człowiek bądź co bądź zamożny, sam sfinansował realizację swego pomysłu; Rex przyjąłby wtedy takie to a takie honorarium (oszałamiającą sumę), w połowie płatne z góry, i rozrysował na kadry coś według Breughla – powiedzmy, *Przysłowia* – lub cokolwiek innego, co Albinus kazałby mu puścić w ruch.

– Na twoim miejscu – zauważył Paul, szwagier Albinusa, zażywny pocziwiec, któremu krawędź górnej kieszeni marynarki obejmowały skuwki aż *dwóch* ołówków i *dwóch* wiecznych piór – zaryzykowałbym. Zwykle filmy, kosztują jeszcze więcej, te z wojnami, z walącymi się domami.

– No tak, ale potem wszystko się zwraca, a mnie by się nie zwróciło.

– Zdawało mi się – ciągnął Paul, pykając cygaro (właśnie kończyli kolację) – że chciałeś poświęcić sporo pieniędzy, niewiele mniej, niż żąda ten człowiek. Więc w czym problem? Nie pałasz takim entuzjazmem jak jeszcze niedawno temu. Chyba nie zrezygnowałeś, co?

– Sam nie wiem. Zniechęca mnie praktyczna strona przedsięwzięcia; bo pod innymi względami pomysł wciąż dosyć mi się podoba.

– Jaki pomysł? – spytała Elisabeth.

Taki właśnie miała zwyczaj, że czasem pytała o coś, co już wyczerpująco w jej obecności omówiono. Nie była to tępota ani roztargnienie, lecz zwykła nerwowość, i zanim jeszcze Elisabeth dokończyła pytanie, bezradnie zjeżdżając po częściach zdania, przeważnie sobie uświadamiała, że od początku zna odpowiedź. Mąż wiedział o tym jej przyzwyczajeniu i nigdy go ono nie drażniło; wręcz przeciwnie – wzruszało i bawiło. Spokojnie mówił dalej, nie przerywając wątku, gdyż wiedział doskonale (i nawet z góry się na to cieszył), że żona wkrótce sama sobie odpowie. Lecz w tamten marcowy dzień był poirytowany, skonfundowany i zgnębiony, więc nerwy odmówiły mu nagle posłuszeństwa.

– Spadłaś z księżycy, czy co? – spytał szorstko, a Elisabeth spojrzała na własne paznokcie i odparła pojednawczym tonem:

– Ach, racja, pamiętam.

Po czym, zwracając się do ośmioletniej Irmy, która łapczywie zgarniała z talerza krem czekoladowy, krzyknęła:

– Nie tak szybko, kochanie, proszę cię, nie tak szybko!

– Uważam – rzekł Paul, pykając cygaro – że każdy nowy wynalazek...

Tymczasem Albinus, porwany wirem dziwacznych uczuć, myślał: „Co mnie, do diabła, obchodzi ten cały Rex, ta idiotyczna rozmowa, ten krem czekoladowy...? Wariuję i nikt o tym nie wie. I nie mogę się powstrzymać, wszelkie próby są beznadziejne, a jutro znów tam pójdę i będę siedział po ciemku jak dureń... Niewiarygodna historia”.

Rzeczywiście była niewiarygodna – tym bardziej że przez wszystkie dziewięć lat małżeństwa hamował się i nigdy, ale to nigdy... „Właściwie – pomyślał – należałoby o tym powiedzieć Elisabeth; albo po prostu gdzieś z nią na jakiś czas wyjechać; albo pójść do psychoanalityka; bo inaczej...”

Nie, nie można sięgnąć po pistolet, żeby sprzątnąć dziewczynę, której nawet się nie zna – sprzątnąć ją tylko za to, że nas pociąga.

Albinusowi nigdy zbytnio się nie wiodło w sprawach sercowych. Przystojny, obdarzony spokojną urodą człowieka z dobrej rodziny, jakoś jednak nie potrafił czerpać praktycznych korzyści z tego, że podoba się kobietom, bo też niewątpliwie mógł się podobać jego miły uśmiech i łagodny wyraz niebieskich oczu, które wytrzeszczał nieco, ilekroć się nad czymś mocno zastanawiał (a ponieważ umysł miał trochę ospały, zdarzało się to częściej, niż powinno). Wysławiał się bez trudu, odrobinę się zacinając, z tą lekką zająkliwością, która tylko dodaje uroku wymowie, sprawia bowiem, że najbardziej zwietrzały frazes brzmi świeżo. Nie bez znaczenia (Albinus mieszkał wszak w drobnomieszczańskich Niemczech) był też fakt, że ojciec zostawił mu rozsądnie zainwestowany majątek; a mimo to z każdego romansu, jaki pojawiał się na jego drodze, wkrótce ulatniał się cały aromat.

Za czasów studenckich przeżył Albinus nudną miłośćką wagi ciężkiej ze smutną, niemłodą panią, która potem w czasie wojny posyłała mu na front fioletowe skarpety, łaskoczącą wełnianą bieliznę i długachne, namiętne listy na welinowym papierze, kreślone z obłądną szybkością, szalonym, nieczytelnym pismem. Następnie zbliżył się z poznaną nad Renem żoną Herr Profesora: kiedy patrzyło się na nią pod odpowiednim kątem i przy właściwym oświetleniu, mogła się podobać, ale taka była zimna i wstydliva, że wkrótce dał sobie z nią spokój. I wreszcie w Berlinie, tuż przed ślubem, poznał chudą, koszmarną babę o pospolitych rysach, która odwiedzała go w każdą niedzielę wieczorem i miała zwyczaj opowiadać mu z wszelkimi szczegółami całą swoją przeszłość, wciąż od nowa powtarzając te same przekłete nudziarstwa, wzdychając ze znużeniem w objęciach Albinusa i zawsze podsumowując opowieść jedynym francuskim zwrotem, jaki znała: „*C'est la vie*”.

Pomyłki, błędzenie po omacku, rozczarowania, usługujący mu Amor był widocznie mańkutem o cofniętym podbródku, bez śladu wyobraźni. A poboczem tych wątych romansów przechodziły setki dziewcząt, o których Albinus śnił, lecz nigdy ich nie poznał; przemykały mimo, pozostawiając mu na kilka dni beznadziejne poczucie straty, dzięki któremu piękno jest tym, czym jest: dalekim samotnym drzewem na tle złotego nieba; falującym migotaniem na wklęsłym spodzie mostu; czymś absolutnie nieuchwytnym.

Ożenił się, lecz choć w pewien sposób kochał Elisabeth, nie przyprawiała go o ten dreszcz, za którym stęsknił się już do znużenia. Była córką znanego dyrektora teatru, wiotką, drobną, jasnowłosą dziewczyną z bezbarwnymi oczami i żalonymi pryszczkami tuż nad noskiem w kształcie, który angielskie powieściopisarki nazywają *retroussée*

(proszę zauważyć drugie „e”, dodane asekurancko). Na jej delikatnej skórze najlżejsze dotknięcie pozostawiało różową, wolno blaknącą plamkę.

Ożenił się z nią, bo tak się złożyło. Ich związek był głównie owocem wspólnej wycieczki w góry, w asyście jej tłustego brata i niebywale wysportowanej kuzynki, która w Pontresinie zwichnęła wreszcie, Bogu dzięki, nogę w kostce. Elisabeth miała w sobie pewien wykwint, pewną zwiewność, no i śmiała się tak dobrodusznie. Ślub wzięli w Monachium, żeby uniknąć najazdu berlińskich znajomych. Kasztany były w pełni rozkwitu. W jakimś zapomnianym ogrodzie zgubiono nieodżałowaną papierośnicę. Jeden z hotelowych kelnerów znał siedem języków. Okazało się, że Elisabeth ma delikatną bliznę – ślad po operacji wyrostka.

Była duszyczką lgnącą, potulną i łagodną. Jej miłość, choć z gatunku lilii, buchała jednak co pewien czas płomieniem, Albinusowi zaś roilo się w takich razach, że nie potrzebuje żadnej innej kochanki.

Kiedy zaszła w ciążę, w jej oczach pojawiło się puste ukontentowanie, jakby kontemplowała ten swój nowy świat wewnętrzny; niedbały chód ustąpił miejsca skupionemu człapaniu; łapczywie pożerała garście śniegu, które zbierała, gdy nikt nie patrzył. Albinus starał się dbać o nią jak najlepiej; zabierał ją na długie, powolne spacerunki; pilnował, żeby wcześniej się kładła i żeby domowe sprzęty z nieporęcznymi narożnikami były dla niej łagodne, kiedy wśród nich krążyła; lecz nocą śniło mu się, że napotyka młodą dziewczynę, która na plaży gorącej i bezludnej leży rozkraczona, i w tym śnie wpadał nagle w popłoch, że żona go przyłapie. Rano Elisabeth przed lustrem w drzwiach szafy oglądała swe nabrzmiałe ciało i uśmiechała się z satysfakcją, tajemniczo. Pewnego dnia zabrano ją do kliniki położniczej i Albinus przez trzy tygodnie mieszkał sam. Nie umiał sobie znaleźć miejsca; pił sporo brandy; dręczyły go dwie mroczne myśli, w dwu różnych odcieniach mroku: pierwsza, że żona może umrzeć, a druga, że gdyby był odrobinę śmielszy, znalazłby jakieś życzliwe dziewczę i sprowadził do swej pustej sypialni.

Czy to dziecko w ogóle kiedyś się urodzi? Albinus chodził w tę i z powrotem długim, białym, białą emaliowanym korytarzem z koszmarną palmą w doniczce u szczytu schodów; nienawidził tego miejsca, jego beznadziejnej bieli, nienawidził szeleszczących siostrzyczek o rumianych policzkach i białoskrzydłych głowach, a one raz po raz usiłowały go przepędzić. Aż wreszcie z sali porodowej wyszedł młodszy lekarz i ponuro oświadczył:

– Już po wszystkim.

Albinusowi zaczął mżyć przed oczami ciemny kapuśniaczek, coś jakby migotanie bardzo starego filmu (1910, żwawy kondukt o kanciastych ruchach zbyt szybko przebiega nogami). Popędził do położnicy. Elisabeth szczęśliwie powiła córeczkę.

Niemowlę było z początku czerwone i pomarszczone niczym balonik u schyłku kariery. Wkrótce jednak wygładziła mu się twarz, a po roku mała zaczęła mówić. Teraz

miała już osiem lat i stała się o wiele mniej rozmowna, bo po matce odziedziczyła powściągliwe usposobienie. Wesołością także przypominała matkę, bo była to wesołość osobliwie dyskretna: ot, cichy zachwyt własnym istnieniem, z leciutką nutką rozbawionego zdumienia faktem, że w ogóle się żyje; owszem, taki właśnie miała ton: wesołości śmiertelnej.

A przez wszystkie te lata Albinus pozostał jej wierny, lecz dwoistość własnych uczuć mocno go zdumiewała. Czuł, że kocha żonę szczerze, tkliwie – tak bardzo, jak w ogóle zdolny jest kochać ludzką istotę, nie miał też przed nią żadnych sekretów prócz tego potajemnego, głupiego pragnienia, tego snu, tej żądzy, co przepalała mu życie na wylot. Elisabeth czytała wszystkie listy, które pisał lub otrzymywał, lubiła znać szczegóły przeprowadzanych transakcji – zwłaszcza jeśli przedmiotem ich były stare, posępne malowidła, na których wśród pęknięć farby dawało się dostrzec białe zad koński albo ciemniejszy uśmiech. Odbyli parę przemiłych wycieczek za granicę, a i w domu spędzili wiele uroczo łagodnych wieczorów, siedząc na balkonie, wywyższeni nad błękitne ulice, i gdy kreślone chińskim tuszem druty i kominy przecinały zachód słońca, Albinus stwierdzał, że jest właściwie szczęśliwszy, niż na to zasługuje.

W pewien wieczór (tydzień przed rozmową o Axelu Reksie), idąc do kawiarni, w której miał się z kimś spotkać w sprawach zawodowych, zauważył, że zegarek oszalał (nie po raz pierwszy zresztą), dając mu w prezencie całą wolną godzinę. Oczywiście nie było sensu wracać do domu na drugi koniec miasta, nie miał jednak ochoty siedzieć i czekać: widok innych panów z przyjaciółkami zawsze wytrącał go z równowagi. Albinus chwilę pospacerował bez celu, aż doszedł do małego kina, którego światła powlekały śnieg szkarłatnym blaskiem. Zerknął na afisz (przedstawiał on mężczyznę zadzierającego głowę ku oknu, w którym – niby w passe-partout – siedziało dziecko w nocnej koszulce), zawahał się – i kupił bilet.

Ledwie wszedł w aksamitną ciemność, owal światła elektrycznej latarki sunął ku niemu (jak zwykle w takich razach) i z wciąż tą samą szybkością i płynnością poprowadził go mrocznym i lekko spadzistym przejściem. Gdy tylko światło padło na bilet, który trzymał w ręku, ujrzał Albinus nachyloną twarz dziewczyny, a potem, idąc za nią, rozróżniał wśród mroku szczupłą postać o wyważonych, zwinnych, beznamiętnych ruchach. Przesuwając się bokiem w stronę fotela, spojrzął na dziewczynę i znów zobaczył krystaliczny poblask jej oka, bo akurat zajęło się światłem, i topniejący zarys policzka, który wyglądał, jakby na sutym, ciemnym tle namalował go wielki artysta. W sumie nic nadzwyczajnego: nieraz już zdarzały mu się takie rzeczy i wiedział, że nierozsądnie jest zaprzętać sobie nimi głowę. Bileterka odsunęła się i znikła w ciemnościach, a jego ogarnęło nagle znudzenie i smutek. Przyszedł pod koniec filmu: jakaś dziewczyna cofała się wśród porzucanych mebli przed zamaskowaną mężczyzną z pistoletem w ręku. Ani trochę nie ciekawiło go obserwowanie zdarzeń, których nie mógł przecież zrozumieć, skoro nie widział jeszcze ich początku.

Gdy tylko w przerwie włączono światło, znów ją zobaczył: stała przy wyjściu obok straszliwie fioletowej kotary, którą właśnie odsunęła; widzowie mijali ją, wychodząc. Jedną rękę trzymała w kieszeni krótkiego haftowanego fartuszka, a czarna sukienka mocno opinała jej się na ramionach i piersiach. Niemal ze zgrozą patrzył w twarz dziewczyny: bladą, chmurną, boleśnie piękną. Pomyślał, że ma pewnie z osiemnaście lat.

Kiedy kino prawie opustoszało i nowi widzowie ruszyli bokiem na swoje miejsca, dziewczyna krążyła po sali i parokrotnie przeszła całkiem blisko Albinusa; on jednak umykał spojrzeniem, taki był to bolesny widok, a w dodatku nie mógł zapomnieć, ile już razy piękno – albo to, co nazywał pięknem – minęło go i znikło.

Następne pół godziny przesiedział w ciemności, wlepiając w ekran spojrzenie wypukłych oczu. Potem wstał i wyszedł. Kiedy odsunęła przed nim kotarę, cicho zaklekotały drewniane kółka.

„Oj, jeszcze tylko raz zerknę”, pomyślał z udręką.

Wydało mu się, że usta jej lekko drgnęły. Puściła zasłonę.

Albinus wdepnął prosto w krwistoczerwoną kałużę; śnieg topniał, w wieczornym powietrzu zawisła wilgoć, jaskrawe barwy ulicznych świateł rozmywały się i zlewały. „Argus” – dobra nazwa dla kina.

Po trzech dniach nie mógł już dłużej udawać przed sobą, że jej nie pamięta. Był groteskowo podniecony, kiedy znów wszedł do tej samej salki – w środku akcji, tak jak za pierwszym razem. Wszystko dokładnie się powtórzyło: sunąca latarka, podłużne oczy jak z Luiniego, szybki spacer w ciemnościach, zgrabny ruch przedramienia w czarnym rękawie, gdy odsunęła kotarę. „Każdy normalny mężczyzna wiedziałby, co robić”, pomyślał Albinus. Samochód mknął w dół gładką szosą, biorąc ostre wiraże między urwiskiem a przepaścią.

Wychodząc, próbował spojrzeć jej w oczy, ale bez powodzenia. Na dworze lało jak z cebra, chodnik lśnił purpurowo.

Gdyby nie poszedł tam drugi raz, może by zdołał zapomnieć o tym ledwie cieniu przygody, lecz teraz było już za późno. Wybrał się więc po raz trzeci, z mocnym postanowieniem, że się do niej uśmiechnie – i jakież byłby to rozpaczliwie lubieżny grymas, gdyby Albinus nań się zdobył. Ale serce tak mu łomotało, że przegapił okazję.

Nazajutrz Paul przyszedł na obiad, rozmawiali o sprawie Rexa, mała Irma pałaszowała czekoladowy krem, a Elisabeth wtrącała te swoje pytania.

– Spadłaś z księżycy? – rzekł Albinus, a potem usiłował zatuszować tę szorstkość niewczesnym chichotem.

Kiedy po obiedzie siedzieli obok siebie na szerokiej kanapie, lekkimi całuskami obsypywał żonę, która oglądała suknie i inne stroje w czasopiśmie kobiecym, aż w pewnej

chwili pomyślał ociężale: „Do cholery z tym wszystkim, jestem przecież szczęśliwy, czego mi jeszcze trzeba? To stworzenie sunące w ciemnościach... Chciałoby się zmiażdżyć jej piękną szyjkę. No, właściwie tak jakby już nie żyła, bo więcej tam nie pójde”.

Nazywała się Margot Peters. Jej ojciec był dozorcą; w czasie wojny doznał ciężkiego szoku od wybuchu pocisku: bez przerwy trzęsła mu się siwa głowa, jakby nieustannie potwierdzał swój żal i strapienie, i przy lada prowokacji dostawał napadów wścieklej furii. Matka, dość jeszcze młoda, ale też nieźle sterana, była gruboskorną prostaczką, a z jej czerwonej dłoni bolesne razy sypały się niczym z rogu obfitości. Na głowie nosiła zwykle chustkę, żeby podczas pracy chronić włosy przed kurzem, lecz po wielkich sobotnich porządkach – robionych głównie za pomocą odkurzacza przemysłnie podłączonego do windy – stroiła się i ruszała składać wizyty. Lokatorzy jej nie lubili, bo była bezczelna i wściekłym tonem kazała im wycierać nogi o słomiankę. W życiu dozorczyńni rolę naczelnego bożka pełniła Klatka Schodowa – niejako symbol chwalebного pięcia się wzwyż, ale przedmiot wymagający starannego froterowania, toteż w najgorszych koszmarach (po zbyt obfitej porcji kartofli z kiszoną kapustą) ukazywała jej się piramida białych schodów z czarnym śladem buciora po prawej stronie, po lewej, znów po prawej i tak aż do końca – do samego półpiętra. Biedna kobieta, doprawdy, nie ma co z niej się naigrawać.

Otto, brat Margot, był od niej trzy lata starszy. Pracował w fabryce rowerów, gardził potulnym republikanizmem swego ojca, wygłaszał w pobliskiej knajpie polityczne tyrady i wałąc pięścią w stół, oświadczał:

– Pierwsze, co człowiek potrzebuje, to napchać sobie brzuch. – Była to jego przewodnia maksyma, całkiem zresztą rozsądna.

W dzieciństwie Margot chodziła do szkoły i dostawała tam po uszach trochę rzadziej niż w domu. Najczęstszym ruchem kocięcia jest miękki podskok wykonywany raptownymi seriami, u niej było to nagłe poderwanie lewego łokcia, żeby ochronić twarz. Mimo wszystko wyrosła jednak na bystrą, pełną werwy dziewczynę. Kiedy miała zaledwie osiem lat, z wielkim animuszem uczestniczyła w meczach piłki nożnej, które uczniacy, wrzeszcząc i szamocząc się, rozgrywali na środku jezdni za pomocą gumowej piłki rozmiarów pomarańczy. W wieku lat dziesięciu nauczyła się jeździć na rowerze brata. W sukience z krótkim rękawem śmigiała w tę i z powrotem po chodniku, aż furkotały jej czarne mysie ogonki, potem zatrzymywała się i w zadumie opierała stopę o krawężnik. Po dwunastych urodzinach zrobiła się mniej żywiołowa. W owych czasach najbardziej lubiła stać w drzwiach z córką węglarza, półgłosem wymieniając poglądy na temat kobiet, które odwiedzały jednego z lokatorów, i oceniając kapelusze przechodzących pań. Kiedyś znalazła na schodach wy szmelcowaną torebkę, a w niej kawałek

migdałowego mydła z przylepionym włosiem, cienkim i krętym, oraz pół tuzina bardzo dziwnych fotografii. Innym razem rudy chłopak, który zawsze podczas zabaw podstawiał jej nogę, pocałował Margot w kark. Aż wreszcie pewnej nocy dostała napadu hysterii, za co oblano ją zimną wodą i dano jej tęgą lanie.

Nim minął rok, ogromnie wypiękniała, zaczęła nosić krótką czerwoną sukienkę i oszalała na punkcie filmów. Ten okres swego życia wspominała potem z dziwnie męczącym uczuciem – jasne, ciepłe, spokojne wieczory, ze sklepów zamykanych na noc dobiega stukot zasuw; ojciec siedzi okrakiem na krześle przed drzwiami, pali fajkę, trzęsie mu się głowa, matka bierze się pod boki, krzew bzu pochyła się nad balustradą, Frau von Brock wraca do domu ze sprawunkami w zielonej siatce; służąca Marta czeka, aż będzie mogła przejść przez jezdnię, prowadząc charta i dwa szorstkowłose teriery... Ściemnia się. Przychodzi brat z kilkoma krzepkimi towarzyszami, którzy ją otaczają kręgiem i poszturchują, szczypiąc w nagie ręce. Jeden ma oczy jak aktor filmowy Veidt. Górne piętra domów kąpią się jeszcze w żółtym świetle, a na ulicy zapada niemal zupełna cisza. Tylko naprzeciwko dwaj łyysi na balkonie grają w karty, słysząc każdy rechot i trzaśnięcie w stół.

Mając ledwie szesnaście lat, zaprzyjaźniła się z ekspedientką ze sklepiku papierniczego na rogu. Młodsza siostra tej koleżanki całkiem nieźle już zarabiała na życie, pozując artystom. Margot zaczęła więc marzyć o tym, żeby też zostać modelką, a potem gwiazdą filmową. Sądziła, że to całkiem prosta przemiana: niebo tylko czekało, gotowe wpuścić jej gwiazdę. Mniej więcej wtedy właśnie nauczyła się tańczyć i chodziła czasem z koleżanką sprzedawczynią do sali tanecznej pod nazwą „Paradyz”, gdzie starsi panowie czynili jej niesłychanie szczerze propozycje wśród szczęku i wycia jazz-bandu.

Gdy pewnego dnia stała na rogu, facet na czerwonym motocyklu, którego już przedtem parę razy widziała, zahamował przy niej nagle i zaproponował przejażdżkę. Włosy miał jasne jak len, zaczesane do tyłu, a koszulę na plecach wydętą, pełną schwytanego wiatru. Margot uśmiechnęła się, usiadła na tylnym siodełku, poprawiła spódnice i już po chwili mknęła z oszalamiającą prędkością, a krawat towarzysza podróży smagał jej policzki. Motocyklista wywiózł ją za miasto i stanął. Był słoneczny wieczór, stadko muszek uparcie cerowało dziurę w powietrzu. Wszędzie panował spokój, spokojność sosen i wrzosów. Chłopak zeskoczył z motoru, usiadł obok Margot na brzegu rowu i powiedział, że w zeszłym roku śmignął aż do Hiszpanii jakby nigdy nic. Potem objął ją i zaczął ścisnąć, obmacywać i całować tak gwałtownie, że jej nie najlepsze w owym dniu samopoczucie przeszło w zawrót głowy. Wyrwała się i rozplakała.

– Możesz mnie całować – wyjąkała – ale proszę, nie tak.

Wzruszył ramionami, zapalił motor, wziął rozbieg, wskoczył na siodełko, ostro zawrócił i znikł, zostawiając Margot, która siedziała na słupku milowym. Do domu wróciła piechotą. Otto widział, jak odjeżdżała, więc grzmotnął ją pięścią w kark, a potem kopnął tak umiejętnie, że upadła i nabiła sobie sińców o maszynę do szycia.

Zimą siostra ekspedientki zarekomendowała ją u Frau Levandovsky; ta starszawa kobieta o obfitych kształtach i łagodnym obejściu, skażonym jednak zbyt obfitym słownictwem, miała na policzku fioletowe znamię wielkości dłoni: twierdziła, że matka, będąc z nią w ciąży, przestraszyła się pożaru. Margot wprowadziła się do małej służbówki w mieszkaniu Frau Levandovsky, a rodzice z ulgą jej się pozbyli, zwłaszcza że ich zdaniem każdą pracę uświęcał płynący z niej dochód; brat, który lubił miotać groźby pod adresem podłych kapitalistów, co to kupują sobie córki biedaków, był na szczęście poza domem, bo akurat pracował we Wrocławiu.

Początkowo Margot pozowała w szkole dla dziewcząt; potem ze szkolnej klasy przeszła do prawdziwej pracowni, gdzie rysowały ją nie tylko kobiety, lecz i mężczyźni, przeważnie całkiem młodzi. Siedziała na dywaniku zupełnie naga, podwinąwszy stopy pod siebie, i podpierała się ręką o błękitnych żyłkach; gładkie włosy brunetki miała zgrabnie ostrzyżone, a szczupłe plecy (z połyskiem delikatnego puszku między kształtnymi ramionami, z których jedno było uniesione i dotykało rozpalonego policzka) lekko pochylała do przodu, w pozie melancholijnego znużenia; patrząc z urazą, jak studenci na przemian podnoszą i spuszczaają oczy, słuchała cichego furkotu i chrobotu węgla, gdy cieniowali nim tę czy tamtą krągłość. Wybierała najprzystojniejszego – ot tak, z nudów – i rzucała mu mroczne, rozlewne spojrzenie, ilekroć podnosił głowę, ukazując rozchylone usta i zmarszczone czoło. Nigdy nie zdołała nadać jego skupieniu nowego podtekstu – i mocno się tym irytowała. Kiedy dawniej sobie wyobrażała, że usiądzie sama jedna w kręgu światła, wobec tylu par oczu, sądziła, że powinno to być dość ekscytujące. A tymczasem tylko jej od tego sztywniały mięśnie. Dla zabawy przed każdym pozowaniem robiła makijaż, szminkowała suche, gorące usta, cieniowała powieki, choć i tak były dość ciemne, a raz nawet podmalowała szminką sutki. Levandovsky zdrowo ją za to zbeształa.

Mijały więc dni, a Margot miała bardzo niejasne pojęcie, do czego właściwie dąży, choć zawsze widziała siebie jako filmową piękność w fantastycznych futrach, której fantastyczny portier hotelowy z olbrzymim parasolem pomaga wysiąść z fantastycznego auta. Wciąż jeszcze zastanawiała się, jak ze spłowiałego dywanika w pracowni malarskiej wskoczyć prosto w ten lśniący od diamentów świat, kiedy Frau Levandovsky po raz pierwszy opowiedziała jej o nieszczęśliwie zakochanym młodzieńcu z prowincji.

– Potrzebny ci chłopak – oświadczyła z całym spokojem, popijając kawę. – Taka żywa dziewczyna jak ty musi mieć towarzystwo, a ten skromny młody człowiek szuka w naszym zepsutym mieście jakiejś czystej duszy.

Margot trzymała na kolanach tłustego żółtego jamnika Frau Levandovsky. Podniosła do góry jedwabiste uszy psa, aż ich czubki zetknęły się nad miłym łebkiem (w środku wyglądały jak mocno zużyta, ciemnoróżowa bibuła do atramentu), i odparła, nie patrząc na gospodynię:

– O, na razie jeszcze nie potrzeba. Przecież mam dopiero szesnaście lat. A zresztą, po co mi? Czy przez to do czegoś dojdę? Znam takich facetów.

– Głupia jesteś – spokojnie stwierdziła Frau Levandovsky. – Nie opowiadam ci o jakimś łachudrze, tylko o hojnym panu, który widział cię raz na ulicy i od tamtej pory wciąż o tobie marzy.

– Pewnie jakiś stary piernik – rzekła Margot, całując brodawkę na psim policzku.

– Głupia – powtórzyła Frau Levandovsky. – Ma trzydzieści lat, jest porządnie ogolony, dystyngowany, z jedwabnym krawatem i złotą cygarniczką.

– Chodź, idziemy na spacer – powiedziała Margot do jamnika, ten zaś zsunął się z jej kolan na podłogę, aż plasnęło, i potruczał korytarzem.

Otóż jegomość z opowieści Frau Levandovsky bynajmniej nie był młodym i nieśmiałym prowincjuszem. Dostał jej adres od dwóch dziarskich komiwojażerów, z którymi w pociągu wiozącym z Bremy do Berlina pasażerów promu przez całą drogę grał w pokera. O cenie początkowo się nie mówiło: rajfurka pokazała mu tylko zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny, która mrużyła oczy przed słońcem, z psem w ramionach, a Miller (tak się bowiem przedstawił) po prostu skinął głową. W oznaczonym dniu kupiła ciastka i zaparzyła dużo kawy. Bardzo sprytnie poradziła Margot, żeby włożyła starą czerwoną sukienkę. Koło szóstej zadzwieczał dzwonek.

„Nie będę nic ryzykować, nie mam zamiaru – pomyślała Margot. – Jak mi się nie spodoba, z mety jej powiem, a jak mi się spodoba, to też się najpierw namyślę, zanim co”.

Niestety, nie tak łatwo było wyrobić sobie zdanie o Millerze. Przede wszystkim twarz miał niezwykłą. Matowe włosy bruneta, przydługie i dziwnie suche z wyglądu, nie dbale zaczesywał do tyłu, i z pewnością nie była to peruka, choć takie właśnie wrażenie nieodparcie się nasuwało. Policzki przez kontrast z wystającymi kośćmi jarzmowymi wydawały się zapadnięte, a skóra na nich była matowobiała, jakby lekko przypudrowana. Rozmigotane oczy o ostrym wyrazie i zabawne nozdrza, trójkątne jak u rysia, ani przez sekundę nie trwały w bezruchu – czego nie dałoby się powiedzieć o dolnej części twarzy, masywnej, z dwiema nieruchomymi bruzdami w kącikach ust. Nosił się cokolwiek z cudzoziemska: bardzo niebieska koszula z jaskrawoniebieskim krawatem, granatowy garnitur z niezmiernie szerokimi spodniami. Wysoki, szczupły, wspaniale się kołysał w szerokich barach, meandrując między pluszowymi meblami Frau Levandovsky. Margot zupełnie inaczej go sobie dotąd wyobrażała i teraz siedziała w napięciu, z założonymi rękami, dosyć w sumie wstrząśnięta i nieszczęśliwa, on natomiast po prostu wzrokiem ją pożerał. Spytał ochryplym głosem, jak jej na imię. Powiedziała mu.

– A ja jestem Axelek – odparł, parsknął krótkim śmiechem i bez ceremonii odwrócił się od niej, żeby podjąć przerwana rozmowę z Frau Levandovsky: statecznie omawiali różne berlińskie atrakcje, a Miller okazywał gospodyni kpiącą uprzejmość.

Wtem umilkł, zapalił papierosa i zdejmując z pełnej, mocno czerwonej wargi kawałek bibułki (gdzież ta złota cygarniczka?), powiedział:

– Mam pomysł, łaskawa pani. Oto bilet do łoży na tego Wagnera; z pewnością się pani spodoba. Niech więc pani włoży czepek i zabiera się stąd. Proszę wziąć taksówkę, ja płacę.

Frau Levandovsky podziękowała mu, ale odrzekła z niejaką godnością, że woli zostać w domu.

– Możemy zamienić parę słów? – spytał Miller, wyraźnie rozgniewany, wstając z miejsca.

– Proszę sobie dolać kawy – chłodno zaproponowała niewiasta.

Oblizwał się i usiadł z powrotem. Po chwili uśmiechnął się i zmienionym, dobrodusznym tonem zaczął opowiadać zabawną anegdotę o tym, jak pewien jego przyjaciel, solista operowy, śpiewał raz partię Lohengrina, ale że był na lekkim rauszu, nie zdążył w porę dosiąść łabędzia i z nadzieją czekał, aż podjedzie następny. Margot zagryzła usta, a potem nagle pochyliła się i wybuchnęła kaskadą nad wyraz dziewczęcego śmiechu. Frau Levandovsky tak się śmiała, że jej bujne łono miękko podrygiwało.

„Dobrze – pomyślał Miller. – Skoro stara suka chce, żebym grał zakochanego głupka, spełnię jej zachciankę, i to z nawiązką. Dużo dokładniej i skuteczniej, niż się spodziewa”.

Zjawił się więc nazajutrz, a potem przychodził już dzień w dzień. Frau Levandovsky, która dostała tylko drobny zadatek i czekała na resztę umówionej kwoty, ani przez chwilę nie zostawiała ich samych. Ale gdy Margot późnym wieczorem zabierała psa na spacer, Miller czasem wyłaniał się nagle z mroku i szedł obok niej. Tak ją to płoszyło, że mimo woli przyspieszała kroku, zaniedbując psa, który biegł za nią kaczym truchtem, osiłą ciała nieco na skos do kierunku ruchu. Ale Frau Levandovsky zwiędziała się o tych potajemnych schadzkach i odtąd sama wyprowadzała jamnika.

Minął w ten sposób ponad tydzień. Potem jednak Miller postanowił działać. Absurdem byłoby płacić zawrotną sumę, jakiej od niego żądano, skoro i tak miał lada chwila dostać to, czego chciał, bez pomocy rajfurki. Pewnego wieczoru opowiedział obu kobietom jeszcze trzy zabawne historyjki, najśmieszniejsze, jakie dotąd słyszały, wypił trzy filiżanki kawy, podszedł do Frau Levandovsky, chwycił ją w objęcia, zawlókł do ubikacji, zręcznie wyciągnął klucz z dziurki i zamknął drzwi od zewnątrz. Biedaczka w pierwszej chwili tak się zdumiała, że co najmniej przez pięć sekund ani pisnęła, za to potem – o Boże!...

– Szybko pakuj manatki i chodź ze mną – rzekł Miller do Margot, która stała na środku pokoju i oburącz ścisnęła głowę.

Zabrał ją do małego, w przeddzień dla niej wynajętego mieszkanka, i ledwie przeszła przez próg, z przyjemnością i zapalem poddała się losowi, który już od dość dawna na nią czatował.

A Miller spodobał jej się ogromnie. W uścisku jego rąk, w dotyku mięsistych warg było coś tak zaspokajającego. Mało z nią rozmawiał, ale często brał ją na kolana i śmiał się cicho, myśląc nie wiadomo o czym. Nie mogła odgadnąć, co on właściwie robi w Berlinie i kim w ogóle jest. Nie umiała też ustalić, w którym hotelu się zatrzymał; a kiedy spróbowała przeszukać mu kieszenie, tak jej dał po łapach, że postanowiła następnym razem zrobić to zręcznie, lecz był na to o wiele za ostrożny. Ilekroć wychodził, bała się, że nigdy nie wróci, poza tym jednak była nadzwyczaj szczęśliwa i miała nadzieję, że już zawsze będą razem. Czasem dawał jej jakiś drobiazg – jedwabne pończochy, puszek do pudru – nic kosztownego. Ale zabierał ją do dobrych restauracji, do kina, a potem do kawiarni, gdy zaś pewnego wieczoru westchnęła z zachwytu, bo o kilka stolików dalej usiadł słynny aktor filmowy, Miller spojrzął na niego i panowie wymienili ukłony, a ona westchnęła jeszcze słodziej.

On też tak rozsmakował się w Margot, że często już, już miał iść, lecz raptem ciskał kapelusz w kąt (nawiasem mówiąc, z wszywki na denku wyczytała, że był kiedyś w Nowym Jorku) i postanawiał zostać. Trwało to wszystko równo miesiąc. Aż pewnego ranka Miller wstał wcześniej niż zwykle i oświadczył, że musi wyjechać. Spytała, na jak długo. Przyjrzał jej się i jął się przechadzać po pokoju w swej fioletowej pidżamie, zacierając ręce, jakby je mył.

– Chyba na zawsze – powiedział nagle i nie patrząc na Margot, zaczął się ubierać. Pomyślała, że to żart, rozkopała pościel, bo w pokoju było bardzo gorąco, i odwróciła się twarzą do ściany.

– Szkoda, że nie mam twojego zdjęcia – rzekł, tupiąc, żeby wbić stopę w półbut.

Usłyszała, że pakuje i zamyka walizczkę z różnymi drobiazgami, które przyniósł do jej mieszkania. Po paru minutach powiedział:

– Nie ruszaj się i nie oglądaj się za siebie.

Ani drgnęła. Co on tam robił? Poruszyła nagim ramieniem.

– Nie ruszaj się – powtórzył.

Przez parę minut panowała cisza, zakłócana tylko cichym skrobaniem, skądś jakby znajomym.

– Możesz już się odwrócić – powiedział Miller. Ale Margot dalej leżała bez ruchu. Podeszedł do niej, pocałował ją w ucho i szybko wyszedł. Jego pocałunek długo jeszcze śpiewał jej w uchu. Przeleżała w łóżku cały dzień. Miller nie wrócił.

Nazajutrz rano dostała depezę z Bremy: „Mieszkanie zapłacone do lipca adieu słodka diablico”.

– Mój Boże, jak ja bez niego wytrzymam? – rzekła na głos. Skoczyła do okna, jednym szarpnięciem otworzyła je i już miała rzucić się głową w dół, ale w tej samej

chwili z głośnym parskaniem podjechał czerwono-złoty samochód strażacki i zatrzymał się przed domem naprzeciwko. Zebrał się tłum, z okna na najwyższym piętrze buchały kłęby dymu, a wiatr unosił czarne strzępki spalonego papieru. Tak ją ten pożar zaciekał, że zapomniała wyskoczyć.

Zostało jej bardzo mało pieniędzy. Z rozpaczy poszła do sali tanecznej, jak to robią w filmach porzucone panienki. Zaczepili ją dwaj japońscy dżentelmeni, a ponieważ wypila więcej koktajli, niż powinna, zgodziła się spędzić z nimi noc. Rano zażądała dwustu marek. Japońscy dżentelmeni dali jej trzy pięćdziesiąt drobnymi i wyrzucili ją za drzwi. Postanowiła, że odtąd będzie ostrożniejsza.

Pewnej nocy w barze jakiś tłusty staruch z nosem jak przejrzała gruszka położył jej na jedwabistym kolanie pomarszczoną dłoń i rzekł ze smutkiem:

– Miło znowu cię widzieć, Doro. Pamiętasz, jak się zabawialiśmy zeszłego lata?

Roześmiała się i odparła, że to pomyłka. Starzec westchnął i spytał, czego by się napiła. Potem odwiózł ją do domu, ale w ciemnym aucie zaczął się zachowywać jak zwierzę, więc wyskoczyła na chodnik. Poszedł za nią, prawie ze łzami błagając o randkę. Dała mu numer telefonu. Kiedy zapłacił za mieszkanie do listopada i dał jej tyle pieniędzy, że mogła sobie kupić futro, pozwoliła mu zostać na noc. Jako towarzysz pościeli nie sprawiał kłopotu, bo natychmiast zasypiał, gdy tylko przestał rzezić. Pewnego razu nie stawił się na spotkanie, a kiedy zadzwoniła do jego biura, powiedziano jej, że zmarł.

Sprzedawała futro, pieniędzy starczyło do wiosny. Dwa dni przed tą transakcją całą mocą zapragnęła pokazać się rodzicom w pełni swej chwały, przejechała więc taksówką obok ich domu. Była sobota, matka właśnie polerowała klamkę drzwi wejściowych. Na widok córki zmartwiała.

– A to mi dopiero! – zawołała z wielkim uczuciem. Margot milcząco się uśmiechnęła, wsiadła z powrotem do taksówki i zobaczyła przez tylne okno, że z domu wybiega jej brat. Wrzasnął coś za nią i potrząsnął pięścią.

Wynajęła tańszy pokój. Na wpół rozebrana, z bosymi stopkami, w gęstniejącym mroku siadywała na brzegu łóżka, bez końca paląc papierosy. Gospodyni, osoba współczująca, wpadała czasem na duszne pogaduszki, a pewnego dnia powiedziała, że jej kuzyn ma małe kino, które nieźle prosperuje. Zima była jakby zimniejsza niż poprzednie. Margot rozglądała się za czymś, co mogłaby oddać do lombardu: choćby ten zachód słońca.

„Co mam dalej robić?” – myślała.

Raz w mroźny, niebieski ranek w przypiływie odwagi ostro się umalowała, wyszukała adres wytwórni filmowej pod obiecującą nazwą i zdołała umówić się z dyrektorem w jego biurze. Był to starszy pan, na prawym oku miał czarną opaskę, a w lewym przesywający błysk. Margot zaczęła go zapewniać, że już grała w filmie, i to z wielkim powodzeniem.

– A w którym? – spytał dobrotliwie, widząc jej podnieconą minę.

Śmiało wymieniła firmę, film. Mężczyzna milczał. Potem zamknął lewe oko (można by to nazwać porozumiewawczym mrugnięciem, gdyby nie fakt, że drugiego oka nie było widać) i powiedział:

– Masz szczęście, że trafiłaś na mnie. Inny na moim miejscu, skuszony twoją... hmmm... młodością, mógłby ci naobiecować różnych cudów, po czym... no cóż, poszłabyś tam, dokąd zmierza każde ciało, i nigdy nie zostałabyś srebrną zjawą z krainy romansu, a przynajmniej tej jego szczególnej odmiany, z którą my tu mamy do czynienia. Zauważyłaś chyba, że nie jestem już młody, a czego w życiu nie widziałem, tego i oglądać nie warto. Moja córka jest pewnie starsza od ciebie. I dlatego właśnie chcę ci coś powiedzieć, drogie dziecko. Nigdy nie byłaś aktorką i najprawdopodobniej nigdy nią nie będziesz. Idź do domu, przemyśl sprawę, porozmawiaj z rodzicami, jeżeli w ogóle się do siebie odzywacie, w co zresztą wątpię...

Margot trzepnęła rękawiczką w brzeg biurka, wstała i z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości wymaszerowała z pokoju.

W tym samym gmachu mieściły się też biura innej wytwórni, tam jednak w ogóle jej nie wpuszczono. Kipiąc z gniewu, wróciła do domu. Gospodyni ugotowała jej dwa jajka i poklepywała ją po ramionach, kiedy Margot jadła, wściekła. Potem poczciwa niewiasta przyniosła trochę brandy i dwa małe kieliszki, nalała do nich drżącą ręką, starannie zakorkowała butelkę i odniosła na miejsce.

– Wypijmy za twoje powodzenie – rzekła, znów siadając przy chwiejnym stole. – Wszystko się ułoży, moja droga. Jutro zobaczę się z kuzynem i pogadam z nim o tobie.

Pogadanka okazała się owocna, a Margot z początku nawet lubiła swoje nowe zajęcie, chociaż było to, rzecz jasna, trochę poniżające, że właśnie tak zaczyna karierę filmową. Po trzech dniach czuła się, jakby przez całe życie nic nie robiła, tylko odprowadzała błądzących po omacku widzów do ich foteli. Ale w piątek zmieniono program, więc poprawił jej się humor. Stała w ciemnościach oparta o ścianę i podziwiała Gretę Garbo. Lecz po pewnym czasie miała już naprawdę dosyć. Minął jeszcze tydzień. Jakiś mężczyzna, wychodząc, zamarudził chwilę przy drzwiach i zerknął na nią z nieśmiałą, bezradną miną. Był nienagannie ubrany, a jego niebieskie oczy miały głodny wyraz, gdy na nią patrzył.

„Wygląda nawet całkiem przyzwoicie, chociaż trochę drętwo”, pomyślała.

Kiedy przyszedł po raz czwarty czy piąty – na pewno nie dla filmu, bo grano wciąż ten sam – przeszył ją dreszczyk miłego podniecenia.

Ale cóż to był za bojaźliwy typ! Kiedyś wieczorem, wychodząc z kina, zobaczyła go po drugiej stronie ulicy. Wolno poszła w kierunku domu, nie oglądając się za siebie, lecz kąciaki uszu ściągnęły jej się do tyłu niczym królicze uszy: spodziewała się, że

mężczyzna za nią pójdzie. Ale nie poszedł, tylko po prostu znikł. Gdy następnym razem pokazał się w „Argusie”, wyglądał mizernie, niezdrowo i bardzo interesująco. Po pracy Margot tanecznym krokiem wyszła na ulicę, przystanąła; rozpięła parasol. Nieznajomy znowu stał na chodniku po drugiej stronie, więc spokojnie ruszyła ku niemu. Lecz on na ten widok natychmiast odszedł.

Czuł się jak dureń, jakby był chory. Wiedział, że dziewczyna za nim idzie, obawiał się więc zbyt przyspieszyć kroku, żeby jej nie zgubić; z drugiej zaś strony bał się zwolnić, bo wtedy by go dogoniła. Na pierwszym skrzyżowaniu musiał poczekać, aż przejedzie sznur samochodów. Tam właśnie go doścignęła, z poślizgu o mało nie wpadła pod furgonetkę wiozącą rowery i odskoczyła, zderzając się z nim. Złapał ją za szczupły łokieć i razem przeszli przez jezdnię.

„Zaczęło się”, pomyślał, niezręcznie usiłując iść z nią w nogę: nigdy jeszcze nie szedł z tak drobną kobietą.

– Cały jesteś przemoczony – powiedziała z uśmiechem. Wyjął jej z ręki parasol. Przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Przez chwilę bał się, że serce mu pęknie, lecz nagle coś w nim rozkosznie się rozluźniło, jakby uchwycił wreszcie melodię swej ekstazy, tej wilgotnej ekstazy, która monotonicznie bębniła w napięty jedwab nad głową. Słowa same popłynęły mu z ust, a on cieszył się ich nowo narodzoną swobodą.

Deszcz ustał, lecz oni dalej szli pod parasolem. Kiedy stanęli przed drzwiami jej domu, Albinus zamknął ten mokry, lśniący, piękny przedmiot i oddał go Margot.

– Nie odchodź jeszcze – poprosił (z ręką w kieszeni, usiłując zsunąć kciukiem obrączkę). – Nie odchodź – powtórzył (udało się).

– Robi się późno – odparła. – Ciotka będzie zła.

Chwycił ją za nadgarstki i z brutalnością zrodzoną z onieśmienia spróbował pocałować, ale zrobiła unik i trafił ustami w jej aksamitną czapkę.

– Puść – szepnęła, spuściwszy głowę. – Wiesz, że nie powinieneś.

– Proszę cię, nie idź jeszcze! – zawołał. – Nie mam na świecie nikogo prócz ciebie.

– Nie mogę, nie mogę – odpowiedziała, przekręciła klucz w zamku i wątlym ramieniem pchnęła masywne drzwi.

– Jutro znów będę na ciebie czekał – rzekł Albinus. Uśmiechnęła się do niego przez szybę i półmrocznym korytarzem pobiegła w stronę podwórka za domem.

Zaczerpnął tchu, po omacku poszukał chusteczki, wytarł nos, starannie pozapinał i zaraz znów rozpiął płaszcz; zauważył, jak lekka i naga jest jego dłoń, i czym prędzej wsunął na palec obrączkę, jeszcze całkiem ciepłą.

W domu nic się tymczasem nie zmieniło i to właśnie wydało mu się niezwykle. Elisabeth, Irma i Paul należeli jakby do innej epoki, przejrzystej i zrównoważonej niczym tło u wczesnych Włochów. Paul po całym dniu pracy w biurze lubił spokojnie spędzić wieczór u siostry. Albinusa darzył najgłębszym szacunkiem – za jego uczoność i gust, za piękne przedmioty, które go otaczały, za wiszący w jadalni gobelin, zielony jak szpinak: polowanie w lesie.

Kiedy Albinus otworzył drzwi mieszkania, poczuł dziwną zapaść w dołku na myśl, że za chwilę ujrzy swą żonę: czy Elisabeth nie wyczyta z jego miny, jaki jest perfidny? Ten spacer wśród deszczu był już bowiem zdradą, przedtem wszystko działo się tylko w sferze myśli i marzeń. Może jakimś fatalnym trafem ktoś widział Albinusa i doniósł o jego zabiegach? Może czuć go tanią słodyczą perfum tej dziewczyny? Wchodząc do przedpokoju, szybko ułożył bajeczkę – ot, na wszelki wypadek: o młodej artystce, ubogiej i utalentowanej, której próbuje przyjść z pomocą. Ale nic się nie zmieniło, ani białe drzwi na końcu korytarza, za którymi spała jego córka, ani ogromny płaszcz szwagra wiszący na ramiączku (specjalnym, w owijce z czerwonego jedwabiu), jak zwykle spokojnie i godnie.

Wszedł do salonu. Siedzieli tam we troje – Elisabeth w dobrze mu znanej sukience z kraciastego tweedu, Paul pykający cygaro i znajoma stara dama, wdowa po baronie, która zubożała z powodu inflacji i teraz trochę handlowała dywanami i obrazami... Nieważne, o czym rozmawiali: rytm codzienności był tak kojący, że Albinusem wstrząsnął radosny spazm: nic się nie wydało.

Kiedy potem leżał o boku żony w sypialni, łagodnie oświetlonej, spokojnie umebrowanej, widząc w lustrze ten sam co zawsze fragment białego kaloryfera, zdumiewał się dwoistością swej natury: uczucie do Elisabeth ani trochę w nim nie osłabło, trwało niczym niezagrożone, lecz zarazem paliła go nadzieja, że może nie później niż jutro – tak, z pewnością jutro...

Ale nie poszło to tak łatwo. Na kolejnych spotkaniach Margot zρέcznie unikała jego umizgów – i nie było najmniejszej szansy, że uda się zabrać ją do hotelu. Niewiele opowiedziała mu o sobie – tyle tylko, że jest sierotą, córką malarza (ciekawy zbieg okoliczności), i mieszka z ciotką; że żyje w biedzie, ale pragnie rzucić tę męczącą pracę.

Albinus przedstawił jej się pod naprędcie zmyślonym nazwiskiem – Schiffermiller – a ona pomyślała z goryczą: „To już drugi Miller”, i zaraz potem: „Ale przecież ty kłamiesz, no jasne”.

Marzec był deszczowy. Albinus, udręczony nocnymi spacerami pod parasolem, wkrótce zaproponował kawiarnię. Wybrał obskurną dziurę, w której nie obawiał się spotkać nikogo ze znajomych.

Siadając przy stoliku, miał zwyczaj od razu kłaść na nim papierośnicę i zapalniczkę. Margot zauważyła jego inicjały na papierośnicy. Nic nie powiedziała, ale po namyśle poprosiła go o książkę telefoniczną. Kiedy szedł w stronę budki tym swoim powolnym, człapiącym krokiem, wzięła z krzesła jego kapelusz, szybko obejrzała podszewkę i przeczytała nazwisko właściciela (kazał je tam umieścić, żeby pokrzyżować szyki roztargnionym artystom, których spotykał na przyjęciach).

Niebawem wrócił z książką telefoniczną, niosąc ją jak Biblię, tkliwie uśmiechnięty, a gdy zapatrzył się na długie, powłóczyście rzęsy Margot, dziewczyna szybko przekartkowała literę R i znalazła jego adres wraz z numerem telefonu. Potem spokojnie zamknęła niebieskie tomiszczce, znaczone odciskami wielu palców.

– Zdejmij płaszcz – wymamrotał Albinus.

Nie fatygując się wstawaniem, zaczęła wywijać się z rękawów: zginając kształną szyję, wysunęła do przodu prawe, a potem lewe ramię. Albinus zaczął jej pomagać i złowił węchem gorący powiew fiołków, ujrzał, jak poruszają się łopatki, a ziemista skóra między nimi marszczy się i znowu wygładza. Margot zdjęła też kapelusz, spojrzała w kieszonkowe lusterko i pośliniwszy palec wskazujący, przyklepała czarne zalotne kosmyki na skroniach.

Albinus usiadł obok niej, nie mogąc oderwać spojrzenia od tej twarzy, w której wszystko tak go czarowało – pałające policzki, usta błyszczące od wiśniówki, wyraz dziecięcej powagi w podłużnych, orzechowych oczach, puszysty pieprzyk na miękkiej obłości tuż pod lewym.

„Choćbym wiedział, że mnie za to czeka stryczek – pomyślał – i tak bym na nią patrzył”.

Nawet jej wulgarna gwara berlińska tylko dodawała uroku gardłowemu głosowi i dużym białym zębom. Ilekroć Margot wybuchła śmiechem, przymykała oczy, a po jej policzku tańczył pieprzyk. Albinus pogłaskał ją po małej rączce, ona jednak natychmiast tę łapkę cofnęła.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – rzekł. Poklepała go po mankiecie, mówiąc:

– No, no, bądź grzeczny.

Nazajutrz zaraz po przebudzeniu pomyślał: nie może tak dalej być, nie może i już. Muszę jej wynająć pokój. Szlag by trafił tę ciotkę. Będziemy sami, całkiem sami. Podręcznik miłości dla początkujących. Och, czegoż jej nie nauczę. Taka młoda, czysta, oszałamiająca...

– Śpisz? – cicho spytała Elisabeth.

Udało mu się nieposzlakowanie ziewnąć, a potem otworzył oczy. Elisabeth w jasnoniebieskiej koszuli nocnej siedziała na brzegu małżeńskiego łóża i przeglądała pocztę.

– Jest coś ciekawego? – zapytał, patrząc z tępyim zdumieniem na jej białe ramię.

– Och, ten człowiek znowu cię prosi o pieniądze. Pisze, że żona i teściowa chorują, a ludzie uknuli przeciwko niemu spisek. I że nie stać go na farby. Chyba będziemy musieli znowu mu pomóc.

– Tak, oczywiście – zgodził się Albinus, a w jego wyobraźni pojawiła się niezwykle wyrazista postać zmarłego ojca Margot: on także był pewnie zaniedbanym, narwanym i niezbyt utalentowanym malarzem, z którym życie surowo się obeszło.

– Jest też zaproszenie do Klubu Artystów. Tym razem będziemy musieli pójść. I list ze Stanów.

– Przeczytaj mi – poprosił.

– Drogi panie, niewiele mam niestety panu do przekazania, ale chciałbym jeszcze uzupełnić paroma szczegółami swój ostatni długi list, na który, nawiasem mówiąc, dotąd pan nie odpowiedział. Ponieważ być może przyjadę jesienią...

W tym momencie na szafce nocnej zadzwonił telefon.

– Coś takiego – powiedziała Elisabeth i pochyliła się do przodu. Albinus z roztargnieniem wodził wzrokiem za jej delikatnymi palcami, gdy ujęła nimi i podniosła słuchawkę, a potem usłyszał popiskujący z drugiej strony tycki głosik, ledwie widmo głosu.

– O, dzień dobry – zawołała Elisabeth, robiąc do męża pewną dobrze mu znaną minę, nieomylny znak, że mówi baronowa, a właściwie nie mówi, tylko leje potoki słów.

Sięgnął po list z Ameryki i spojrział na datę. Dziwne, że jeszcze nie odpowiedział na poprzedni. Weszła Irma, żeby jak co rano przywitać się z rodzicami. W milczeniu pocałowała ojca, a potem matkę, która z zamkniętymi oczami słuchała telefonicznej opowieści i czasem chrząkała potakująco, lecz nie w porę, albo pomrukiwała, niby to zdumiona.

– Postaraj się być dziś bardzo grzeczna – szepnął Albinus do córki. Z uśmiechem rozwarła piąstkę pełną szklanych kulek.

Wcale nie była ładna; blade, guzowate czoło miała całe w piegach, rzęsy o wiele za jasne, nos nieproporcjonalnie długi.

– Oczywiście – rzekła Elisabeth i westchnęła z ulgą, odkładając słuchawkę.

Albinus zamierzał dalej czytać list. Elisabeth chwyciła córkę za nadgarstki i zaczęła opowiadać jakąś zabawną historię, śmiejąc się, całując małą i po każdym zdaniu lekko szarpiąc jej dłońmi. Irma dalej skromnie się uśmiechała, szurając bucikiem po podłodze.

Znów zadzwonił telefon. Tym razem odebrał Albinus.

– Dzień dobry, drogi Albercie – powiedział kobiecie głos.

– Kto... – zaczął Albinus, lecz nagle ogarnęło go mdlące wrażenie, że zjeżdża bardzo szybką windą.

– Niezbyt to było miłe z twojej strony, że mi podałeś zmyślane nazwisko – ciągnął głos – ale ci wybaczam. Chciałam tylko powiedzieć...

– Pomyłka – wychrypiał Albinus i z trzaskiem odłożył słuchawkę. W tej samej chwili ze zgrozą pomyślał, że Elisabeth mogła przecież coś usłyszeć, tak jak on słyszał głosiczek baronowej.

– Kto dzwonił? – spytała. – Coś taki czerwony?

– Absurd! Irma, biegnij już, moje dziecko, nie wierć się tak. Kompletny absurd. To już dziesiąta pomyłka w ciągu dwóch dni. A ten pisze, że pewnie przyjedzie pod koniec roku. Chętnie z nim się zobaczę.

– Kto pisze?

– Dobry Boże! Nigdy nie rozumiesz, co się do ciebie mówi. Ten człowiek z Ameryki. No ten, Rex.

– Jaki Rex? – bez większego zainteresowania spytała Elisabeth.

Ich spotkanie tego wieczoru przebiegło burzliwie. Albinus przez cały dzień siedział w domu, przerażony, że Margot znów zatelefonuje. Kiedy wyszła z „Argusa”, nie mogąc się pohamować przywitał ją słowami:

– Słuchaj, moje dziecko, zabraniam ci dzwonić do mnie. To nie był dobry pomysł. Skoro zataiłem przed tobą swoje prawdziwe nazwisko, widocznie miałem powody.

– O, nic nie szkodzi. Już z tobą skończyłam – uprzejmie odparła Margot i zaraz odeszła.

Stał jak wryty, bezradnie patrząc w ślad za nią. Co za osioł z niego! Powinien był ugryźć się w język; pomyślałaby, że naprawdę wykręciła zły numer. Dogonił ją i odtąd szli ramię w ramię.

– Wybacz – powiedział. – Nie gniewaj się, Margot. Nie mogę bez ciebie żyć. Słuchaj, wszystko przemyślałem. Rzuć tę pracę. Jestem bogaty. Będziesz miała własny pokój, własne mieszkanie, co tylko zechcesz...

– Jesteś kłamczuch, tchórz i głupek – rzekła Margot (dość zresztą trafnie go podsumowując). – W dodatku jesteś żonaty. To dlatego chowasz w kieszeni płaszcz obrączkę. No jasne, że jesteś żonaty; inaczej nie byłbyś takim chamem przez telefon.

– A jeśli jestem żonaty? – spytał. – Nie spotkasz się ze mną już więcej?

– A co mnie to obchodzi? Zdradź ją; dobrze jej zrobi.

– Margot, przestań – jęknął Albinus.

– A daj mi ty spokój.

– Margot, posłuchaj. Owszem, mam rodzinę, ale proszę cię, proszę, przestań się z tego naigrawać... Och, nie odchodź! – zawołał, próbując ją złapać, chybiając, chwytając tylko jej nędzną małą torebkę.

– Idź do diabła! – krzyknęła, i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

– Niech mi pani powróży – poprosiła Margot gospodynię, ta zaś wyjęła zza butelek po piwie zgrzybiałą talię kart, które w większości dawno straciły już rogi i stały się prawie okrągłe. Bogaty ciemnowłosa mężczyzna, kłopoty, uczta, długa podróż...

„Muszę się dowiedzieć, jak on żyje – myślała Margot, oparta łokciami o stół. – Może wcale nie jest taki znowu bogaty i nie warto nim sobie zawracać głowy. A może jednak zaryzykować?”

Nazajutrz rano dokładnie o tej samej porze znów do niego zadzwoniła. Elisabeth akurat brała kąpiel. Albinus mówił prawie szeptem, nie odrywając oczu od drzwi. Chory ze strachu, był jednak obłądnie szczęśliwy, że mu wybaczone.

– Kochanie – szeptał. – Moje kochanie.

– Słuchaj, o której żonka wychodzi z domu? – spytała ze śmiechem.

– Niestety, nie wiem – odparł, przeniknięty zimnym dreszczem. – Bo co?

– Chciałabym wpaść na chwilę. Zamilkł. Gdzieś otworzyły się drzwi.

– Nie mogę dalej rozmawiać – szepnął Albinus.

– Jeżeli do ciebie przyjdę, to może cię pocałuję.

– Dzisiaj, sam nie wiem. Nie – wyjąkał. – To chyba niewykonalne. Jeżeli nagle przerwę rozmowę, nie zdziw się. Zobaczymy się wieczorem i wtedy możemy... – Odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział bez ruchu, zasłuchany w łomotanie własnego serca. „Chyba rzeczywiście jestem tchórzem – pomyślał. – Ona jeszcze z pół godziny będzie się guzdrać w łazience”.

– Mam małą prośbę – rzekł do Margot, kiedy się spotkali. – Weźmy taksówkę.

– Odkrytą – zażądała.

– Nie, to zbyt niebezpieczne. Obiecuję, że będę się sprawował – dodał, patrząc rozkochanym wzrokiem na jej twarz, po dziecięcemu uniesioną ku górze, bardzo białą w ostrym świetle ulicznej latarni.

– Słuchaj – zaczął, gdy wsiedli do taksówki. – Po pierwsze nie gniewam się, że zadzwoniłaś, jakżebyś mógł, ale proszę cię, błagam, nie rób tego więcej, moje kochanie, mój ty skarbie. – („To już lepiej”, pomyślała Margot).

– A po drugie, powiedz, skąd znasz moje nazwisko?

Skłamała, całkiem niepotrzebnie, że jedna jej znajoma, która jego też zna, widziała ich razem na ulicy.

– Co za znajoma? – spytał ze zgrozą.

– O, prosta kobiecina. Jej siostra była chyba kiedyś u was kucharką albo pokojówką. Albinus rozpaczliwie szukał w pamięci.

– A zresztą powiedziałam jej, że się pomyliła. Mądra ze mnie dziewczynka.

Ciemność w taksówce ślizgała się i kołysała, gdy ćwiartki, połówki i całe kwadraty popielatego światła przemierzały ją, sunąc od okna do okna. Margot siedziała tak blisko, że Albinus czuł bijące od niej błogie zwierzęce ciepło. „Umrę albo zwariuję, jeżeli nie będę jej miał”, pomyślał.

– A po trzecie – rzekł – znajdź sobie jakieś mieszkanie, powiedzmy, dwa, trzy pokoje z kuchnią, oczywiście pod warunkiem, że będę mógł czasem cię odwiedzić.

– Zapomniałaś, Albert, co ci rano proponowałam?

– Kiedy to takie ryzykowne – jęknął. – Widzisz,.. Na przykład jutro będę sam mniej więcej od czwartej do szóstej, ale nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć... – Tu wyobraził sobie, że żona wraca po coś, czego zapomniała.

– Przecież ci obiecałam, że cię pocałuję – rzekła miękko – a poza tym nie ma na świecie takiej rzeczy, której nie dałoby się jakoś wytłumaczyć.

Toteż nazajutrz, kiedy Elisabeth i Irma wyszły do miasta na podwieczorek, wysłał pokojówkę Friedę (kucharka na szczęście miała akurat wychodne) z poważnym, czasochłonnym zleceniem, każąc jej odnieść jakieś książki pod adres oddalony o dobrych parę kilometrów.

Nareszcie został sam. Przed kilkoma minutami stanął mu zegarek, ale zegar w stołowym chodził dokładnie, a wychylając się przez okno, mógł też Albinus spojrzeć na ten z wieży kościelnej. Kwadrans po czwartej. Był pogodny, wietrzny dzień w połowie kwietnia. Na zalanej słońcem ścianie domu naprzeciwno z cienia komina prostopadle wyciekał szybki cień dymu. Po niedawnym deszczu asfalt wysychał w łaty, wilgoć pozostawiła po sobie groteskowe czarne szkielety, jakby namalowane w poprzek jezdni.

Pół do piątej. Może przyjdź lada chwila.

Ilekoć myślał o szczupłej, dziewczęcej sylwetce Margot, o jej jedwabistej skórze, o dotyku śmiesznych, zaniedbanych rączek, czuł przypływ nieomal bolesnego pożądania. Teraz zaś miraż obiecanego pocałunku wprowadził go w ekstazę, której, zdawało się, nic już nie zdoła wzmóc. Lecz gdzieś dalej, za szpalerem luster, czekał biały kształt jej ciała, tak niegdyś pilnie i niezręcznie szkicowanego przez studentów malarstwa. Albinus ani się jednak domyślał tych nudnych godzin w pracowni, choć dziwnym trafem, nic o tym nie

wiedząc, raz już widział nagą postać Margot: lekarz domowy, stary Lampert, pokazał mu szkice węglem, które przed dwoma laty wykonał jego syn, a wśród nich akt dziewczyny ostrzyżonej na chłopczycę: podwinawszy stopy pod siebie, siedziała na dywaniku, podpierając się zeszywniałą ręką, ramieniem dotykając policzka.

– Nie, chyba wolę garbusa – rzekł wtedy Albinus, wracając do innego rysunku, który przedstawiał brodatego kalekę. – Tak, wielka szkoda, że rzucił malarstwo – dodał, zamykając teczkę.

Za dziesięć piąta. Spóźniła się już dwadzieścia minut.

– Poczekam do piątej, a potem wyjdę – mruknął.

Nagle ją zobaczył. Przechodziła przez jezdnię, bez płaszcza, bez kapelusza, jakby mieszkała tuż za rogiem.

„Jeszcze bym zdążył zbiec na dół i powiedzieć, że teraz już nie ma czasu” – lecz zamiast tego z zapartym tchem poszedł na palcach do przedpokoju, a kiedy usłyszał zbliżający się po schodach jej dziecinnie tupot, bezszelestnie otworzył drzwi.

Margot w krótkiej czerwonej sukience bez rękawów uśmiechnęła się do lustra i obróciła na pięcie, przyglądając włosy z tyłu głowy.

– Szykownie sobie mieszkaś, to fakt – powiedziała, wodząc rozpromienionym spojrzeniem po hallu, w którym wisiały wielkie, przepyszne obrazy, w kącie stała porcelanowa waza, a ściany zamiast tapetą pokryte były kremowym kretonem. – Tędy? – spytała i nie czekając na odpowiedź, pchnęła drzwi. – O! – westchnęła.

Drżącą ręką objął ją w talii i spojrzał wraz z nią na kryształowy żyrandol, jakby sam był obcy w tym domu. Wszystko jednak widział przez falującą mgłę. Margot lekko się kołysała w miejscu, stojąc na skrzyżowanych nogach i omiatając wzrokiem pokój.

– Naprawdę jesteś bogaty – stwierdziła, kiedy weszli do sąsiedniego. – Boże, jakie dywany!

Kredens w stołowym zrobił na niej takie wrażenie, że Albinus zdołał pomacać ukradkiem jej żebra i gorący, miękki mięsień nad nimi.

– Chodźmy dalej – rzekła ochoczo.

Gdy mijali lustro, zobaczył w nim bladego, poważnego pana, który siedł obok uczennicy w niedzielnej sukience. Ostrożnie musnął dłonią jej gładkie przedramię i szkło natychmiast zmętniało.

– Chodź – powiedziała Margot.

Chciał ją zaprowadzić z powrotem do gabinetu. Gdyby żona wróciła wcześniej, niż się spodziewał, miałby prostą wymówkę: młoda artystka w potrzebie.

– A tam? – spytała.

– Pokój dziecienny. Wszystko już widziałas.

– Puść mnie – powiedziała, wzruszając ramionami. Zaczepnęła tchu.

– To pokój dziecienny, kochanie. Po prostu pokój dziecienny. Nie ma tam co oglądać.

Weszła jednak do środka, a on pod wpływem nagłego i dziwnego impulsu chciał na nią krzyknąć: „Proszę, niczego nie dotykaj!”. Lecz już trzymała w rękach fioletowego słonia z pluszu. Wyrwał go jej i cisnął w kąt. Roześmiała się.

– Twojej małej nie brak tu ptasiego mleka – powiedziała. A potem otworzyła następne drzwi.

– Dostyc tego, Margot – błagalnym tonem rzekł Albinus. – Zanadto oddalamy się od hallu, nie usłyszymy wejściowych drzwi. To okropnie niebezpieczne.

Ale ona wyrwała mu się jak niegrzeczne dziecko i wśliznęła z korytarzyka do sypialni. Usiadła przed lustrem (lustra miały tego dnia mnóstwo pracy), obróciła w palcach szczotkę ze srebrnym grzbietem, powąchała flakonik ze srebrnym korkiem.

– Och, nie! – krzyknął Albinus.

Minęła go zręcznym zakosem, podbiegła do małżeńskiego łóżka i usiadła na brzeżku. Dziecinnym gestem podciągnęła pończochę, strzeliła podwiązką i pokazała mu koniuszek języka.

„...a potem się zabiję”, pomyślał Albinus, raptem tracąc głowę.

Rzucił się ku niej, rozwarłszy ramiona, ale z radosnym świegotem minęła go w kilku susach i wypadła z pokoju. Skoczył za nią – zbyt późno. Zatrzęsła drzwi, po czym dysząc i śmiejąc się, przekręciła od zewnątrz klucz w zamku. (Ależ łomotała pięściami, dobijała się i wrzeszczała nieszczęsna grubaska!).

– Margot, otwórz natychmiast – rzekł cicho Albinus. Usłyszał jej taneczne kroki, coraz dalsze.

– Otwórz – powtórzył głośniejsze.

Cisza.

„A to mała lisiczka – pomyślał. – Co za absurdalna sytuacja!”

Był przerażony. Był cały zgrzany. Nie przywykł uganiać się po pokojach. Dręczyło go niezaspokojone pożądanie. Czyżby naprawdę odeszła? Nie, ktoś chodził po mieszkaniu. Albinus spróbował dopasować do zamka kolejno kilka kluczy, które miał w kieszeni; potem stracił panowanie nad sobą i gwałtownie szarpnął za klamkę.

– Natychmiast otwieraj. Słyszysz?

Kroki się zbliżyły. Nie była to Margot.

– Serwus. Co się stało? – spytał nieoczekiwany głos: Paul! – Siedzisz tam zamknięty? Wypuścić cię?

Drzwi stanęły otworem. Paul miał zaniepokojoną minę.

– Co się stało, mój stary? – powtórzył i zaraz rozdziawił usta, widząc na podłodze szczotkę do włosów.

– Och, idiotyczna historia... Za chwilę ci opowiem... Wypijmy po kieliszku.

– Diabelnie mnie nastraszyłeś – rzekł Paul. – W żaden sposób nie mogłem zgadnąć, co się właściwie stało. Całe szczęście, że akurat przyszedłem. Elisabeth miała wrócić koło szóstej. Na szczęście przyszedłem trochę przed czasem. Kto cię zamknął? Mam nadzieję, że to nie służąca zwariowała?

Albinus odwrócił się do niego tyłem i zajął się nalewaniem brandy.

– Spotkałeś może kogoś na schodach? – spytał, usiłując mówić wyraźnie.

– Wjechałem windą – odparł Paul.

„Jestem uratowany”, pomyślał Albinus, mocno podniesiony na duchu (Ale jakaż to była z jego strony niebezpieczna głupota: zapomnieć, że Paul też ma klucz do mieszkania!).

– Dałbyś wiarę – zaczął, popijając brandy. – Wdarł się do nas włamywacz. Oczywiście nie mów o tym Elisabeth. Pewnie myślał, że nikogo nie ma w domu. Nagle usłyszałem dziwne odgłosy od strony drzwi wejściowych. Wychodzę z gabinetu, żeby sprawdzić, co to tak stuka, i widzę, że jakiś typ wślizguje się do sypialni. Poszedłem za nim i spróbowałem go złapać, ale zrobił w tył zwrot i zamknął mnie na klucz. Uciekł, i wielka szkoda. Sądziłem, że może go spotkałeś.

– Żartujesz – ze zgrozą powiedział Paul.

– Wcale nie. Siedziałem w gabinecie i nagle usłyszałem, że w drzwiach wejściowych stuknął zamek, więc poszedłem zobaczyć, co to takiego, no i...

– Ale przecież on mógł coś ukraść, chodźmy sprawdzić. I musimy zawiadomić policję.

– O, nie zdążył – odparł Albinus. – Wszystko razem trwało raptem sekundę; spłoszyłem go.

– A jak wyglądał?

– Zwyczajnie, facet w czapce. Kawał chłopa. Na oko bardzo silny.

– Mógł ci zrobić krzywdę! Co za niemiłe przeżycie. Chodź, musimy się rozejrzeć.

Przeszli przez pokoje. Posprawdzali zamki. Wszystko było w porządku. Dopiero pod koniec obchodu, kiedy przechodzili przez bibliotekę, Albinusa przeszył nagle dreszcz

zgrozy: z kąta między regałami, tuż za obrotową półką, wystawał rąbek jaskrawo-czerwonej sukienki. Paul jakimś cudem go nie zauważył, chociaż sumiennie myszkował. Właśnie pochylał się z uwagą nad skośną szybką gabloty z kolekcją miniatur w sąsiednim pokoju.

– Wystarczy już, Paul – ochryplym głosem rzekł Albinus. – Nie ma sensu dalej tego ciągnąć. Przecież jasne, że nic nie wziął.

– Ależ jesteś roztrzęsiony – stwierdził Paul, kiedy wrócili do gabinetu. – Biedaku! Słuchaj, musisz kazać zmienić zamek albo zawsze zamykać na zasuwę. A policja? Chciałbyś, żebym... ?

– Cśśś – syknął Albinus.

Słychać było zbliżające się głosy i po chwili weszła Elisabeth, a za nią Irma wraz z nianią i jedną z koleżanek, małą tłuścioszką, która pomimo nieśmiałej, flegmatycznej miniki miewała napady wielkiej werwy. Albinus poczuł się, jakby przeżywał koszmar na jawie. Obecność Margot w domu była czymś potwornym, nieznośnym... Wróciła pokojówka, z książkami, bo nie znalazła podanego adresu – i nic dziwnego! Koszmar narastał. Albinus zaproponował teatr, ale Elisabeth powiedziała, że jest zmęczona. Przy kolacji z takim zacięciem strzygł uszami, starając się złowić najlżejszy podejrzan szelest, że nawet nie zauważył, co je (wołowinę na zimno, z piklami). Paul wciąż się rozglądał, pokasływał, nucił; gdyby tylko – myślał Albinus – ten wścibski głupiec potrafił usiedzieć na miejscu, zamiast przepatrywać kąty. W dodatku istniała jeszcze jedna straszliwa ewentualność: dziewczynki mogły zacząć brykać po pokojach, on zaś nie śmiał zamknąć biblioteki na klucz; jeszcze by z tego wynikły niewyobrażalne komplikacje. Koleżanka Irmy wkrótce sobie poszła, Bogu dzięki, a Irmę położono spać. Ale napięcie pozostało. Albinusowi wydawało się, że wszyscy – Elisabeth, Paul, pokojówka i on sam – rozlażą się po całym domu, zamiast trzymać się razem, tak jak powinni, żeby Margot mogła się wymknąć; jeśli istotnie miała ten zamiar.

Koło jedenastej Paul wreszcie wyszedł. Frieda jak zwykle zamknęła drzwi na łańcuch i na zasuwę. Teraz Margot nie mogła już się wydostać!

– Okropnie jestem śpiący – rzekł Albinus do żony, ziewnął nerwowo i potem już ziewał niepowstrzymanie. Położyli się do łóżka. W domu panowała zupełna cisza. Elisabeth sięgnęła ręką ku lampie, żeby ją zgasić.

– Śpij – powiedział Albinus. – Pójdę chyba jeszcze trochę poczytać.

Uśmiechnęła się sennie, nie zauważając jego niekonsekwencji.

– Nie obudź mnie, jak wrócisz – wymamrotała. Cisza w domu była wręcz nienaturalna. Miało się wrażenie, że stopniowo narasta, aż przebierze miarę i wybuchnie śmiechem. Albinus wysliznął się z łóżka, po czym w pidzianie i w filcowych bamboszach bezszelestnie ruszył korytarzem. Dziwne: ulotniła się cała zgroza. Koszmar roztopił się w

dojmującym, słodkim poczuciu absolutnej wolności, typowym dla grzesznych snów.

Albinus skradał się dalej, a po drodze rozpiął pidżamę pod szyją. Cały dygotał. „Za chwilę – za chwilę będzie moja”, pomyślał. Dyskretnie otworzył drzwi biblioteki i włączył lampę z dyskretnym abażurem.

– Margot, ty szalone stworzenie – szepnął gorączkowo. Ale to nie była Margot, tylko poduszka obleczone szkarłatnym jedwabiem, którą sam tam przyniósł przed paroma dniami, żeby na niej przy siąść, zaglądając do *Historii sztuki* Nonnenmachera – dziesięć tomów in folio.

Margot oznajmiła gospodyni, że niebawem się wyprowadzi. Wszystko szło znakomicie. W mieszkaniu swego wielbiciela zrozumiała, jak solidnym dysponuje on majątkiem. W dodatku, sądząc po zdjęciu stojącym na jego nocnej szafce, żonę miał wcale nie taką, jaką Margot sobie wyobrażała – postawną, majestatyczną kobietę o posępnym wyrazie twarzy i stalowych szponach; wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że jest to cicha, niewyraźna istota, którą bez większych trudności da się usunąć z drogi.

Albinus dosyć jej się zresztą podobał: zadbany, pachnący talkiem i dobrym tytoniem. Oczywiście nie mogła liczyć na to, że raz jeszcze przeżyje taką samą ekstazę jak podczas swego pierwszego romansu. Nie pozwalała sobie nawet pomyśleć o Millerze, o jego kredowobiałych, zapadniętych policzkach, zaniedbanych włosach bruneta i smukłych, wprawnych dłoniach.

Albinus mógł ją uspokoić, ukoić jej gorączkę – niczym chłodne liście plątana, które przynoszą taką ulgę, kiedy je się przyłoży do zaognionego miejsca. Mało tego. Nie tylko był zamożny, ale należał zarazem do świata, który dawał łatwy dostęp do kręgów teatralnych i filmowych. Margot często zamykała się na klucz i stroiła różne cudowne miny, mając za świadka lustro toaletki, lub wzdrygała się przed lufą urojonego rewolweru. Wydawało jej się wtedy, że umie wdzięczyc się i wykrzywiać równie dobrze jak każda aktorka.

Po gruntownych i żmudnych poszukiwaniach znalazła dość ładny apartament w bardzo dobrej dzielnicy. Albinus był po jej wizycie tak roztrzęsiony, że ulitowała się nad nim i nie robiąc już więcej trudności, przyjęła gruby plik banknotów, który podczas wieczornego spaceru wepchnął jej do torebki. Pozwoliła mu nawet pocałować się w zaciszu czyjegoś ganku. Kiedy wrócił do domu, żar tego pocałunku wciąż jeszcze otaczał go barwną aureolą. Nie mógł jej odłożyć w hallu, tak jak odkładał swój czarny kapelusz z filcu, a gdy wszedł do sypialni, był pewien, że żona widzi ten nimb.

Lecz Elisabeth, spokojnej, trzydziestopięcioletniej Elisabeth nawet nie zaświtało, że mąż byłby zdolny ją zdradzić. Owszem – wiedziała o jego przedmażeńskich awanturkach i pamiętała, że sama też jako mała dziewczynka potajemnie podkochiwała się w starym aktorze, który odwiedzał jej ojca i przy obiedzie zabawiał towarzystwo, pięknie naśladując różne odgłosy wiejskiego podwórka. Słyszała i czytała, że mężowie i żony nieustannie nawzajem się zdradzają; cudzołóstwo stanowiło w rzeczy samej jądro wszelkich plotek, romantycznej poezji, zabawnych opowiadań i słynnych oper. Ona jednak trwała w prostodusznym i niezłomnym przekonaniu, jakoby jej własne małżeństwo było związkiem

nader szczególnym, cennym i czystym, którego nic nigdy nie zniszczy.

Wieczory poza domem, które mąż spędzał, jak twierdził, z artystami zainteresowanymi jego pomysłem na film, nie nasuwały jej najlżejszych podejrzeń. Drażliwość i nerwowość Albinusa przypisywała pogodzie, rzeczywiście niezwyklej jak na maj: nagle robiło się gorąco, a za chwilę lał lodowaty deszcz z gradem, którego grudki odbijały się od parapetów niczym małe piłeczki tenisowe.

– Może byśmy dokądś pojechali? – zaproponowała mimochodem pewnego dnia. – Do Tyrolu? Do Rzymu?

– Jedź sama, jeśli chcesz – odparł Albinus. – Mam mnóstwo pracy, moja droga.

– Och, nie, to była tylko przelotna zachcianka – powiedziała Elisabeth i wybrała się z Irmą do zoo, żeby obejrzeć słońtątko: okazało się, że trąby nie ma ono prawie wcale, za to wzdłuż grzbietu zjezoną szczotkę krótkich włosów.

Co innego Paul. Epizod z zamkniętymi drzwiami pozostawił w nim dziwny niepokój. Albinus nie tylko nie zawiadomił policji, ale wręcz się zirytował, kiedy szwagier wrócił do tematu. Toteż Paul, chcąc nie chcąc, głowił się nad tą zagadką. Próbował sobie przypomnieć, czy może jednak nie zauważył jakiejś podejrzaney figury, kiedy wszedł do domu i ruszył w stronę windy. Uważał się za człowieka bardzo spostrzegawczego: zauważył na przykład kota, który poderwał się, spłoszony jego nadejściem, i prześliznął między prętami parkanu otaczającego ogródek, zauważył ubraną na czerwono uczennicę, przed którą uprzejmie przytrzymał otwarte drzwi, usłyszał radiowy śmiech i piosenkę ze stróżówki, gdzie odbiornik jak zwykle był włączony. Tak, włamywacz musiał widocznie zbiec po schodach, podczas gdy Paul wjeżdżał windą. Tylko skąd to paskudne uczucie?

Małżeńskie szczęście siostry było dlań święte. Kiedy w kilka dni później zadzwonił do Albinusa, połączono go, zanim szwagier skończył wcześniejszą rozmowę; Paul podsłuchał parę słów (klasyczna metoda losu: podsłuch) i omal nie udławił się kawałkiem zapałki, którą dłuwał w zębach.

– Mnie o to nie pytaj, po prostu kup, co chcesz.

– Ale zrozum, Albert... – odparł jakiś wulgarny, rozkapryszony głos kobiety.

Paul wzdrygnął się i rzucił słuchawkę, jakby to był wąż, którego niechcący chwycił za ogon.

Tego wieczoru, bawiąc u siostry i szwagra, nie umiał znaleźć tematu do rozmowy. Siedział w milczeniu, skrępowany i zdenerwowany, tarł podbródek, raz po raz zakładał nogę na nogę, uwydatniając przez to ich pulchność, spoglądał na zegarek i chował z powrotem do kieszonki kamizelki oniemiałą, pozbawioną wskazówek cebulę. Był jednym z tych wrażliwców, którzy rumieniają się ze skruchą, kiedy ktoś inny strzeli gafę.

Czy ten człowiek, którego kochał i poważał, mógł zdradzać Elisabeth? „Nie, nie, to

pomyłka, głupie nieporozumienie”, powtarzał w duchu, zerkając na Albinusa, ten zaś z niewzruszonym spokojem czytał książkę, odchrząkując od czasu do czasu i starannie rozcinając kartki nożem z kości słoniowej... „Niepodobieństwo! To te zamknięte drzwi sypialni nasunęły mi taki pomysł. Słowa, które usłyszałem, na pewno też da się jakoś niewinnie wytłumaczyć. Kto w ogóle byłby zdolny zdradzić Elisabeth?”

Wtulona w róg kanapy, jego siostra wolno i z detalami streszczała widzianą niedawno sztukę. Jasne oczy, lekko podcienione piegami, miały wyraz tak samo szczery jak niegdyś oczy jej matki, a nieupudrowany nos żałośnie błyszczał. Paul skinął głową i uśmiechnął się. Jeśli o niego szło, równie dobrze mogła mówić choćby i po rosyjsku. A potem nagle, na jedną jedyną sekundę, podchwycił spojrzenie Albinusa, który przyglądał mu się znad książki.

Tymczasem Margot wynajęła mieszkanie i zaczęła kupować rozmaite sprzęty domowe, a przede wszystkim lodówkę. Choć Albinus płacił jej rachunki hojnie, a nawet z miłym wzruszeniem, robił to bez żadnej dla siebie gwarancji, bo nie tylko nie pokazała mu mieszkania, ale nawet nie zdradziła adresu. Powiedziała, że będzie dużo zabawniej, jeśli Albert zobaczy dom dopiero wtedy, kiedy ona do końca się tam urządzi.

Minął tydzień. Albinus wyobraził sobie, że Margot zadzwoni do niego w sobotę. Przez cały dzień stróżował przy telefonie. Ten jednak lśnił i milczał. W poniedziałek Albinus uznał, że dziewczyna wyprowadziła go w pole i znikła na zawsze. Wieczorem przyszedł Paul. Jego wizyty stały się ostatnio piekłem dla nich obu. Co gorsza, Elisabeth nie było w domu. Paul siedział w gabinecie naprzeciw Albinusa i palił, wpatrując się w koniuszek cygara. Nawet trochę schudł ostatnimi czasy. „Wie wszystko – ponuro pomyślał Albinus. – A jeśli nawet, no to co? Jest przecież mężczyzną; powinien mnie zrozumieć”.

Wbiegła Irma i na jej widok Paul wyjaśniał. Biorąc ją na kolana, stęknął zabawnie, bo szturchnęła go piąstką w brzuch, kiedy się sadowiła.

Elisabeth wróciła z popołudniowego brydża. Myśl o kolacji i o czekającym go potem długim wieczorze wydała się raptem Albinusowi nie do zniesienia. Oświadczył, że zje poza domem; żona dobrotliwie spytała, czemu wcześniej jej nie uprzedził.

Miał tylko jedno pragnienie: odnaleźć Margot natychmiast, za wszelką cenę. Przeznaczenie, które tyle mu naobiecowało, nie miało prawa teraz go oszukać. Był tak zdesperowany, że odważył się na bardzo śmiały krok. Znał stary adres dziewczyny i wiedział, że mieszkała z ciotką. Udał się więc w to miejsce. Przechodząc przez podwórze za domem, zobaczył w otwartym oknie na parterze służącą, która właśnie ścieliła łóżko, spytał ją więc o drogę.

– Fräulein Peters? – powtórzyła, oburącz trzymając poduszkę, którą przed chwilą ubijała. – Oj, chyba się wyprowadziła. Ale lepiej niech pan sam sprawdzi. Czwarte piętro, drzwi na lewo.

Niechlujna kobieta o przekrwionych oczach uchyliła drzwi i spytała przez łańcuch, czego Albinus chce.

– Potrzebny mi nowy adres Fräulein Peters. Mieszkała tu dawniej z ciotką.

– Naprawdę? – rzekła kobieta, nagle zaciekawiona, i zdjęła łańcuch. Zaprowadziła

Albinusa do maleńkiego saloniku, w którym wszystko trzęsło się i grzechotało przy każdym ludzkim ruchu. Na kawałku ceraty z kolistymi plamami w kolorze brązu stał talerz tłuczonych kartofli, sól w podartej papierowej torbie i trzy butelki po piwie. Gospodyni z tajemniczym uśmiechem poprosiła, żeby usiadł.

– Gdybym była jej ciotką – powiedziała, mrugając porozumiewawczo – raczej by mi nie podała adresu. Nie – dodała cokolwiek zapalczywie. – Nie ma ona żadnej ciotki.

„Pijana”, ze znużeniem pomyślał Albinus.

– Proszę posłuchać – rzekł. – Czy nie może mi pani powiedzieć, dokąd ona poszła?

– Wynajmowała u mnie pokój – smętnie ciągnęła kobieta, z goryczą rozmyślając nad niewdzięcznością Margot, która zataiła przed nią zarówno istnienie swego bogatego przyjaciela, jak i nowy adres, choć ten akurat bez większego trudu udało się wywęszyć.

– Co ja teraz pocznę! – zawołał Albinus. – Nic mi pani nie może zaproponować?

Tak, żałośnie niewdzięczna. A ona tak jej pomogła; teraz zaś nie bardzo umiała zdecydować, czy zdradzając adres Margot, odda dziewczynie przysługę, czy wręcz przeciwnie (wolałaby to drugie), ale ten postawny, nerwowy, niebieskooki pan miał tak nieszczęśliwą minę, że z westchnieniem powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć.

– Za mną dawniej też się uganiali – mruknęła, kiwając głową, kiedy go wypuszczała. – I jak jeszcze.

Zrobiło się pół do ósmej. W domach zapalano światła, a ich miękkie pomarańczowy blask w bladym zmierzchu wyglądał prześlicznie. Niebo było jeszcze dość wyraźnie błękitne, z jedną łososiową chmurą w oddali, i od tej chwiejnej równowagi między światłem a zmrokiem Albinusowi zakręciło się w głowie.

„Za chwilę będę w raju” – pomyślał, pędząc taksówką po szepczącym asfalcie.

Przed ceglana kamienicą, do której przeprowadziła się Margot, rosły trzy wysokie topole. Na drzwiach mieszkania wisiała nowiutka mosiężna tabliczka z jej nazwiskiem. Ogromna kobieta o rękach jak poście surowego mięsa poszła go zapowiedzieć. „Więc ma już kucharkę”, pomyślał miłośnie.

– Pan idzie – rzekła po powrocie kucharka. Przygłodził rzadkie włosy i wszedł.

Margot ubrana w kimono, z rękami skrzyżowanymi za głową, leżała na okropnej kanapie obitej perkalem. Na brzuchu położyła sobie okładkę do góry otwartą książkę.

– Szybki jesteś – powiedziała, omdlewającym gestem wyciągając do niego rękę.

– Coś wcale się nie dziwisz, że mnie widzisz – szepnął miękko. – Zgadnij, jak dowiedziałem się twojego adresu.

– Przecież sama ci go napisałam – odparła z westchnieniem, znów podnosząc oba łokcie.

– Wyszło dosyć zabawnie – ciągnął Albinus, nie zważając na jej słowa, tylko wpatrując się chciwie w te umalowane usta, które już za chwilę... – Dosyć zabawnie, zwłaszcza że naopowiadałaś mi bajek o tej swojej naprędce skrojonej ciotce.

– Po co do niej poszedłeś? – spytała, nagle bardzo obrażona. – Przecież ci napisałam swój adres, w prawym górnym rogu, całkiem wyraźnie.

– W prawym górnym rogu? Wyraźnie? – powtórzył Albinus i zmarszczył się, robiąc stropioną minę. – O czym ty mówisz?

Z trzaskiem zamknęła książkę i usiadła.

– Chyba dostałeś mój list?

– Jaki list? – zapytał i nagle zasłonił dłonią usta, wytrzeszczając oczy.

– Dziś rano napisałam do ciebie – powiedziała, kładąc się z powrotem i patrząc na niego z ciekawością. – Myślałam, że go dostaniesz w wieczornej poczcie i zaraz do mnie przyjdiesz.

– Niemożliwe! – krzyknął Albinus.

– Oczywiście, że możliwe. Powiem ci dokładnie, co napisałam: „Drogi Albercie, gniazdko gotowe, ptaszyna czeka. Tylko za mocno mnie nie ściskaj, bo jeszcze bardziej niż dotąd zawrócisz w głowie swojej dzidzi”. I tyle.

– Margot – szepnął ochryple. – Margot, coś ty zrobiła? Wyszedłem z domu dużo za wcześnie, żeby dostać twój list. Listonosz... przychodzi dopiero za kwadrans ósma. A teraz jest...

– No, to już nie moja wina – odparła. – Wiesz, naprawdę trudno ci dogodzić. Przecież to był taki słodki liścik.

Wzruszyła ramionami, podniosła książkę i odwróciła się do niego tyłem. Po prawej stronie widać było wystudiowane zdjęcie Greta Garbo.

Albinus przyłapał się na tym, że myśli: „Jakie to dziwne. Zdarza się katastrofa, a człowiek mimo to zauważa obrazek”. Za dwadzieścia ósma. Margot leżała zwinięta, bez ruchu, jak jaszczurka.

– Zdruzgotałaś... – zawołał, ile miał sił w płucach, ale nie dokończył zdania. Wypadł z pokoju, zbiegł po schodach, wskoczył do taksówki, przycupnął na brzeżku siedzenia i wychylony do przodu (zyskując tym sposobem kilkanaście centymetrów) zapatrzył się w plecy taksówkarza, a tchnęły one beznadzieją.

Zajechał na miejsce, wyskoczył, zapłacił tak, jak płaci się w filmach – na oślep wtykając taksówkarzowi monetę do ręki. Przy ogrodowym parkanie dostrzegł znajomą postać: wychudły listonosz, co miał nogi w iks, rozmawiał z niskim, krępy portierem.

– Są dla mnie jakieś listy? – spytał Albinus bez tchu.

– Dopiero co zaniósłem, proszę pana – z życzliwym uśmiechem odparł listonosz.

Albinus spojrział w górę. Z okien jego mieszkania bilo światło, ze wszystkich naraz – rzecz niezwykła. Z najwyższym wysiłkiem wszedł do domu i ruszył po schodach. Dotarł na pierwszy podest, na drugi. „Pozwól, że ci wytłumaczę... Młoda artystka w potrzebie... Trochę pomyłona, pisuje listy miłosne do nieznanomych”. Nonsens – wszystko się wydało.

Zanim stanął przed własnymi drzwiami, zawrócił nagle i zbiegł ze schodów. Jakiś kot przeciął ogrodową ścieżkę i zwinnie wśliznął się między stalowe pręty.

Po dziesięciu minutach Albinus znalazł się z powrotem w pokoju, do którego jeszcze niedawno tak wesoło wkroczył. Margot leżała zwinięta na kanapie, w niezmienionej pozie gnuśnej jaszczurki. Książka była otwarta na tej samej stronicy. Albinus usiadł nieopodal i zaczął rozciągać sobie palce, aż mu strzelało w stawach.

– Przestań – powiedziała Margot, nie podnosząc głowy. Przestał, ale po chwili znów zaczął.

– No i co, list przyszedł?

– Och, Margot – rzekł Albinus i parę razy odchrząknął. – Za późno, za późno! – zawołał całkiem nowym, przenikliwym głosem.

Wstał, przeszedł się po pokoju, wydmuchał nos i z powrotem usiadł na krześle.

– Ona czyta całą moją korespondencję – powiedział, patrząc przez wilgotną mgiełkę na czubek buta i usiłując go wpasować w drżący deseń dywanu.

– Było jej zabronić.

– Nic nie rozumiesz, Margot... Zawsze tak robiła. To był taki zwyczaj, przyjemność. Czasem gdzieś je zapodziewała, nim zdążyłem sam do nich zajrzeć. Przychodziły najrozmaitsze, zabawne listy. Jak mogłaś? Nie wyobrażam sobie, co ona teraz robi. Jeżeli jakimś cudem ten jeden jedyny raz... może była czymś zajęta... może... Nie!

– Tylko pamiętaj, żebyś się nie pokazywał, jak ona tu przyjdzie. Sama ją przyjmę, i to w przedpokoju.

– Kogo? Kiedy? – spytał i zaraz naszło go mętne wspomnienie pijanej wiedzy, którą widział... przed wiekami.

– Kiedy? Pewnie zaraz. Ma przecież mój adres, nie?

Albinus wciąż nie rozumiał.

– A, o to ci chodzi – mruknął wreszcie. – Jakaś ty głupia, Margot! Wierz mi, że to akurat zupełnie nie wchodzi w rachubę. Wszystko... tylko nie to.

„Tym lepiej”, pomyślała, i nagle wpadła w wielką euforię. Wysyłając list,

przewidywała znacznie bardziej trywialne konsekwencje: mąż nie chce go pokazać, żona się wścieka, tupie nogami, histeryzuje. W ten sposób budzą się pierwsze podejrzenia, które torują drogę dalszym posunięciom. Ale przypadek pomógł jej i droga została oczyszczona za jednym zamachem. Margot upuściła książkę na podłogę i uśmiechnęła się, spojrzawszy na pochyloną głowę Albinusa, na jego rozedrganą twarz. Uznała, że pora działać.

Przeciagnęła się, jej szczupłe ciało przeszły miłe ciarki i powiedziała, patrząc w sufit:

– Chodź do mnie.

Przyszedł, usiadł na brzegu kanapy i z rozpaczą pokręcił głową.

– Pocałuj mnie – poprosiła, zamykając oczy. – Już ja cię pocieszę.

Zachodnia dzielnica Berlina, majowy poranek. Mężczyźni w białych czapkach zamiatali ulice. Któż to zostawia w rynsztoku stare sztyblety z lakierowanej skóry? Wróble krzątały się w bluszczu. Elektryczna furgonetka z mleczarni śmietankowo turlała się na grubych oponach. W oknie mansardy na pochyłości dachu krytego zieloną dachówką olśniewająco odbijało się słońce. Nawet młode, świeże powietrze nie przywykło jeszcze do pohukiwań dalekich pojazdów; delikatnie chwyciło te dźwięki i niosło je dalej niczym coś kruche i cenne. W ogrodach przed domami kwitły perskie bzy. Pomimo wczesnego chłodu trzepotały już białe motyle, całkiem jak w wiejskim ogrodzie. Wszystko to otoczyło Albinusa, gdy wyszedł z domu, w którym spędził noc.

Doskwierało mu tępe, nieswoje uczucie. Był głodny; nie ogolił się ani nie wykapał; drażnił go dotyk wczorajszej koszuli. Albinus był zupełnie wyczerpany – i nic dziwnego. Przeżył noc, o jakiej marzył od lat. Już sam sposób, w jaki ściągnęła ku sobie łopatki i zamruczała, kiedy pierwszy raz pocałował puszek na jej plecach, powiedział mu, że dostanie właśnie to, czego chce, a bynajmniej nie pragnął chłodu niewinności. Wszystko było dozwolone, jak w jego najbardziej brawurowych snach; miłość purytańska, mieszczańska rezerwa okazała się w tym nowym świecie wolności czymś bardziej nieznanym niż białe niedźwiedzie w Honolulu.

Nagość Margot wydawała się tak naturalna, jakby dziewczyna z dawien dawna przywykła biegać brzegiem jego snów. Jej zachowanie w łóżku miało w sobie coś z rozkosznej akrobacji. A kiedy było już po wszystkim, zrywała się i zaczynała hasać po pokoju, kołysząc dziewczęcymi biodrami i gryząc pozostałą z kolacji suchą bułkę.

Zasnęła niespodziewanie, jakby umilkła w pół zdania, gdy światło lampy zaczynało już żółknąć niczym w celi śmierci, a okno pomału zabarwiało upiorny błękit. Albinus powłókł się do łazienki, ale zdołał wywabić z kranu tylko parę kropel rdzawej wody. Westchnął, wziął w dwa palce leżącą na dnie wanny zgnębioną gąbkę, ostrożnie ją upuścił, poddał oględzinom śliskie różowe mydło i stwierdził, że musi nauczyć Margot zasad higieny. Ubrał się, szcękając zębami; przykrył puchową kołdrą śpiącą słodko dziewczynę, pocałował jej ciemne włosy, ciepłe i potargane, napisał ołówkiem parę słów i zostawił kartkę na stole, po czym cicho wyszedł.

Idąc ulicą zalaną łagodnym blaskiem słońca, zdał sobie sprawę, że nadchodzi pora rozrachunku. Kiedy znów ujrzał dom, w którym tak długo mieszkał z Elisabeth; kiedy wjeżdżała winda, którą przed ośmioma laty wjechała niańka z jego dzieckiem w objęciach, a wraz z nią jego żona, bardzo blada i szczęśliwa, kiedy stanął przed drzwiami, na których

statecznie lśniło jego uczone nazwisko, był prawie gotów wyrzec się jakichkolwiek przyszłych iteracji minionej nocy, gdyby tylko się okazało, że stał się cud. Był pewien, że jeśli Elisabeth nie przeczytała listu, uda mu się jakoś wytłumaczyć całonocną nieobecność – powiedzieć na przykład, że dla żartu palił opium u tego japońskiego artysty, który pewnego razu przyszedł do nich na obiad: brzmiałoby to dość wiarygodnie.

Teraz jednak musiał otworzyć drzwi, wejść i zobaczyć... Co mianowicie?... Czy nie lepiej w ogóle nie wchodzić – po prostu zostawić wszystko tak, jak jest, zdezerterować, zniknąć?

Nagle przypomniał sobie, jak to w czasie wojny zmuszał się, żeby zanedbano się nie pochylać, ilekroć trzeba było wyskoczyć z ukrycia i iść pod kule.

W hallu stanął bez ruchu i przez chwilę nasłuchiwał. Najlżejszego szmeru. Rano o tej porze w mieszkaniu rozbrzmiewały zwykle najrozmaitsze odgłosy: gdzieś woda leciała z kranu, niania głośno coś mówiła do Army, pokojówka w stołowym stuknęła zastawą... A tu nic! W kącie stała parasolka Elisabeth. Albinus próbował zaczerpnąć z tego widoku nieco otuchy. Gdy tak tkwił w miejscu, znieruchomiały, z korytarza wyszła nagle Frieda bez fartucha, spojrzała na niego i rzekła zbolalym tonem:

– Och, proszę pana, wczoraj wieczór wszyscy odeszli.

– Dokąd? – spytał, nie patrząc na nią.

Wszystko mu opowiedziała. Mówiła szybko i o wiele głośniej niż zazwyczaj. Potem wybuchnęła płaczem, biorąc od niego kapelusz i laskę,

– Napije się pan kawy? – zawyła.

Nieład w sypialni mówił sam za siebie. Na łóżku leżały suknie wieczorowe pani domu. Z komody wyciągnięto jedną szufladę. Ze stołu znikł portrecik zmarłego teścia. Jeden róg dywanu się zawinął.

Albinus poprawił dywan i cicho stąpając, poszedł do gabinetu. Na biurku leżały rozpieczętowane listy. O, jest – jakie dziecinne pismo! Okropna ortografia, okropna ortografia. Zaproszenie na obiad od Dreyerów. Jak miło. Krótki list od Rexa. Rachunek od dentysty. Znakomicie.

Po dwóch godzinach pojawił się Paul. Widać, że golenie szło mu niesporo. Pulchne policzki okleił na krzyż czarnym plastrem.

– Przyjechałem po rzeczy – powiedział, mijając Albinusa.

Ten poszedł za nim, pobrzękując bilonem w kieszeni spodni, i patrzył bez słowa, gdy Paul i Frieda pakowali kufer, jakby spieszyli się na pociąg.

– Nie zapomnij parasolki – rzekł niezdecydowanie. Potem ruszył za nimi do pokoiku dziecinnego, gdzie znowu pakowali rzeczy. W pokoju Fräulein stał przygotowany

sakwojaż. Zabrali go wraz z resztą bagażu.

– Paul, tylko słowo – wymamrotał Albinus, odchrząknął i ruszył do gabinetu. Paul wszedł tam za nim i stanął przy oknie.

– To prawdziwa tragedia – rzekł Albinus,

– Jedno ci powiem – zawołał w końcu Paul, wyglądając przez okno. – Będzie to niewiarygodne szczęście, jeśli Elisabeth przeżyje ten szok. Bo na razie...

Urwał. Czarny krzyżyk na jego policzku podrygiwał.

– Bo na razie jest jak martwa. Zrobiłeś... Jesteś... Na dobrą sprawę jesteś łajdakiem, mój panie, absolutnym łajdakiem.

– Czy nie zachowujesz się odrobinę grubiańsko? – spytał Albinus, siląc się na uśmiech.

– Potworność! – krzyknął Paul, po raz pierwszy spoglądając na szwagra. – Gdzie ją poderwałeś? Jak ta prostytutka śmiała do ciebie pisać?

– Spokojnie, spokojnie – rzekł Albinus i oblizał usta.

– Złoję ci skórę, niech mnie powiesz, jeśli kłamię! – jeszcze głośniejszym wrzasnął Paul.

– Nie zapominaj o Friedzie – mruknął Albinus. – Słyszysz każde twoje słowo.

– Odpowiesz mi? – Paul usiłował złapać go za klapę marynarki, lecz Albinus z chorym uśmiechem dał mu po łapie.

– Nie będziesz mnie przesłuchiwał – szepnął. – Cała ta sprawa jest straszliwie bolesna. Nie przychodzi ci na myśl, że może to być jakieś okropne nieporozumienie? Załóżmy...

– Łżesz! – ryknął Paul, waląc krzesłem w podłogę. – Ty draniu! Przed chwilą u niej byłem. U tej małej ladaczniczki, która powinna siedzieć w domu poprawczym. Wiedziałem, że skłamiesz, draniu. Jak mogłeś tak postąpić? To już nie występki, to...

– Dosyć – ledwie dosłyszalnie przerwał mu Albinus. Przejechała ciężarówka; szyby w oknach lekko zagrzechotały.

– Och, Albercie – powiedział Paul nieoczekiwanie spokojnym i melancholijnym tonem. – Któż by się spodziewał. ..

Wyszedł. Za kulisami szlochała Frieda. Ktoś wyniósł bagaż. Potem zapadła cisza.

Po południu Albinus spakował walizkę i pojechał do Margot. Niełatwo mu było nakłonić Friedę, żeby została w pustym mieszkaniu. W końcu zgodziła się, kiedy zaproponował, aby jej młody przyjaciel, dzielny sierżant policji, zajął dawną sypialnię niani. A gdyby ktoś dzwonił, niech Frieda powie, że Albinus wraz z całą rodziną nieoczekiwanie wyjechał do Wioch.

Margot przyjęła go chłodno. Rano obudził ją tłusty, rozsierzdzony jegomość, który szukał swego szwagra; nawymyślał jej. Kucharka, kobieta wyjątkowo krzepka, wypchnęła go za drzwi. Bogu dzięki!

– To mieszkanie jest właściwie jednoosobowe – powiedziała Margot, spoglądając na walizkę Albinusa.

– Och, proszę cię – wymamrotał zgnębiony.

– A zresztą musimy pomówić o wielu sprawach. Nie mam zamiaru wysłuchiwać obelg twoich krewnych, tych idiotów. – Zaczęła przechadzać się po pokoju, ubrana w czerwony jedwabny szlafrok, z prawą dłonią pod lewą pachą, mocno zaciągając się papierosem. Z ciemnymi włosami opadającymi na czoło wyglądała jak Cyganka.

Po podwieczorku pojechała kupić gramofon. Po co gramofon? Akurat tego dnia... Kompletnie wyczerpany, z potwornym bólem głowy, Albinus leżał na kanapie w ohydny salonie i myślał: „Stało się coś niewypowiedzianie strasznego, a ja jestem właściwie całkiem spokojny. Elisabeth zemdlą na dwadzieścia minut, po czym zaczęła krzyczeć; musiało to brzmieć okropnie; a ja jestem całkiem spokojny. Nie przestała być moją żoną i wciąż ją kocham, no i oczywiście zastrzelę się, jeśli przeze mnie umrze. Ciekawe, jak wytłumaczyli Irmie tę przeprowadzkę do Paula, pośpiech i zamieszanie? W opowiadaniu Friedy wyglądało to obrzydliwie: «a pani krzyczała, pani krzyczała»... Dziwne, bo przecież Elisabeth nigdy w życiu nie podniosła głosu”.

Kiedy nazajutrz Margot kupowała na mieście płyty gramofonowe, napisał długi list. Zapewniał w nim żonę całkiem szczerze, choć może zbyt kwiecicie, że jest dlań takim samym skarbem jak przedtem, pomimo jego małego wyskoku, „który zadał cios naszemu szczęściu rodzinnemu, niczym nóż szaleńca, co przecina płótno obrazu”. Szlochał, nasłuchiwał kroków Margot i pisał dalej, popłakując i mrucząc pod nosem. Błagał żonę o przebaczenie, ale z jego listu w żaden sposób nie wynikało, czy gotów jest wyrzec się kochanki.

Nie doczekał się odpowiedzi.

Zrozumiał wtedy, że jeśli nie chce dalej się zadreć, musi wymazać z pamięci obraz rodziny i bez reszty oddać się dzikiej, niemal chorobliwej namiętności, jaką wzbudzała w nim wesoła uroda Margot. Dziewczyna zawsze gotowa była odpowiedzieć na jego pieszczoty; tylko jej dodawały wigoru; była figlarna i beztroska; pewien lekarz orzekł przed dwoma laty, że nigdy nie będzie mogła mieć dziecka, a ona traktowała to jak nieoczekiwany dar i błogosławieństwo.

Albinus nauczył ją brać codzienną kąpiel, zamiast jak dotąd myć tylko ręce i szyję. Paznokcie u rąk i nóg zawsze miała teraz czyste i pociągnięte jaskrawoczerwonym lakierem.

Nieustannie odkrywał w niej nowe uroki – rozbrajające drobiazgi, które u każdej innej dziewczyny wydałyby mu się prostackie i wulgarne. Jej dziecinna sylwetka, bezwstyd i stopniowe mętnienie oczu (jak gdyby pomału gasły niczym światła w teatrze) – wszystko to wprawiało go w taki szal, że tracił resztki nieśmiałości, której niegdyś wymagała od jego uścisków nobliwa i delikatna małżonka.

Prawie nie wychodził z domu, w obawie, że spotka kogoś znajomego. Niechętnie i tylko rano pozwalał Margot wyprawiać się na pełne przygód polowania, których łupem padały pończochy i jedwabna bielizna. Był zdumiony jej brakiem ciekawości: nigdy nie pytała go o dawne życie. Niekiedy próbował zainteresować ją swą przeszłością, opowiadając o dzieciństwie, o matce, którą ledwie pamiętał, i o ojcu, pełnokrwistym ziemianinie, co kochał swoje psy i konie, dęby i zboże, a zmarł całkiem nagle – w napadzie męskiego śmiechu w sali bilardowej, gdy jeden z graczy opowiadał sprośną anegdotę.

– A o czym? Opowiedz – poprosiła Margot, lecz Albinus nie pamiętał.

Mówił jej o pasji, jaką już za młodu zapalał do malarstwa, o swych pracach i odkryciach; o tym, jak można odratować obraz za pomocą mieszaniny czosnku i tłuczonej żywicy, tak że stary werniks obraca się w pył, i jak pod flanelową szmatką umaczaną w terpentynie rozwiewa się tuman malunku, którym zapacykowano arcydzieło, a spod spodu wykwita pierwotne piękno.

Margot interesowała się głównie wartością rynkową takiego obrazu.

Opowiadał jej o wojnie, o zimnym błocie w okopach, a ona pytała, czemu – skoro jest bogaty – nie zadekował się gdzieś na tyłach.

– Ale z ciebie śmieszne kochanie! – wołał wtedy, pieszcząc ją.

Zaczęła się nudzić wieczorami; chciało jej się kina, szykownych restauracji i murzyńskiej muzyki.

– Wszystko będziesz miała, wszystko – zapewniał – tylko daj mi się pozbierać. Mam rozmaite plany... Niedługo pojedziemy nad morze.

Rozglądał się po jej salonie i zdumiewał się, jak on, który zawsze chlubił się tym, że nie znosi obecności żadnych niegustownych przedmiotów, wytrzymuje w tej komnacie okropieństw. Wszystko, stwierdzał, upiększała jego namiętność.

– Całkiem ładnie się urządziliśmy. Prawda, kochanie?

Z pobłażaniem przyznawała mu rację. Wiedziała, że to tylko prowizorka: obraz jego mieszkania utkwiał jej w pamięci; lecz oczywiście nie było pośpiechu.

Pewnego lipcowego dnia, kiedy wracała pieszo od krawcowej i była już blisko domu, ktoś złapał ją od tyłu za rękę tuż nad łokciem. Obróciła się na pięcie. Był to jej brat Otto. Uśmiechał się nieprzyjemnie. Nieopodal stali dwaj jego koledzy i też się uśmiechali.

– Miłe spotkanie, siostrzyczko – powiedział. – Nieładnie tak zapominać o rodzinie.

– Puść – cicho rzekła Margot, spuszczając rzęsy. Otto wziął się pod boki.

– Nieźle wyglądasz – stwierdził, mierząc ją wzrokiem. – Prawdziwa młoda dama!

Margot odwróciła się i odeszła. Lecz on znów ją chwycił za rękę, i to dość boleśnie, a ona z cicha zawołała „Auuu!”, tak jak w dzieciństwie.

– Słuchaj – rzekł Otto. – Chodzę za tobą już trzeci dzień. Wiem, gdzie mieszkasz. Ale lepiej odejdzmy kawalek.

– Puść mnie – szepnęła dziewczyna, usiłując wyswobodzić się z uchwytu. Jakiś przechodzień przystanął, wietrząc awanturę. Dom Margot był blisko. Albinus mógł akurat wyjrzeć przez okno. Wcale sobie tego nie życzyła.

Uległa pod przymusem. Otto zaprowadził ją za róg, dwaj pozostali, Kaspar i Kurt, poszli ich śladem, gapiąc się i wymachując rękami.

– Czego chcesz? – spytała Margot, patrząc ze wstrętem na wyszmelcowaną czapkę brata i na papierosa za jego uchem.

– Chodźmy do baru – odparł, skinieniem głowy wskazując kierunek.

– Nie! – zawołała, ale tamci dwaj podeszli całkiem blisko i warcząc wściekle, popchnęli ją w stronę drzwi. Zaczęła się bać.

W barze kilku mężczyzn podniesionymi, szczekliwymi głosami rozmawiało o rychłych wyborach.

– Usiądźmy tu, w tym kącie – zarządził Otto. Usiedli. Margot przypomniała sobie wyraźnie, a zarazem z czymś w rodzaju zdumienia, jak to dawniej wybierali się na podmiejskie wypady – ona, Otto i ci dwaj opaleni chłopcy. Uczyli ją pływać i pod wodą łapali za gołe uda. Kurt miał na przedramieniu wytatuowaną kotwicę, a na piersi smoka. Wylegiwali się na brzegu albo ciskali w siebie nawzajem lepkiem, aksamitnym piaskiem. Klepali ją po mokrych kąpielówkach, gdy tylko się kładła. Fajnie było: dookoła mrowił się wesoły tłum, wszędzie wały się papiery, a muskularny, jasnowłosy Kaspar stał nad

samym jeziorem i machając rękami, jakby dostał drgawek, ryczał na całe gardło:

– Woda jest mokra, mokra!

Pływając, trzymał usta pod wodą i trąbił jak foka. A kiedy wychodził na brzeg, pierwsza rzecz zaczesywał włosy do tyłu i starannie wkładał czapkę. Margot pamiętała też, jak grali w piłkę, potem się kładła, a oni przysypywali ją piachem, tylko twarz zostawiając odsłoniętą, na wierzchu zaś robili krzyż z kamyków.

– Widzisz – zaczął Otto, kiedy na stole pojawiło się jasne piwo w czterech szklankach ze złotą obwódką. – Ze masz tego bogatego przyjaciela, to jeszcze nie powód wstydić się swojaków. Na odwrót, musisz teraz o nas pomyśleć.

– Upił łyżeczek, a jego koledzy zrobili to samo. Obaj patrzyli na Margot ze wzdrgniętą wrogością.

– Sam nie wiesz, co wygadujesz – odparła wyniośle.

– To całkiem inna historia, niż ci się zdaje. Właściwie jesteście zaręczeni.

Wszyscy trzej parsknęli śmiechem. Margot poczuła taką odrazę, że odwróciła spojrzenie i zaczęła się bawić zamkiem torebki. Otto wyjął jej torebkę z ręki, otworzył ją i znalazł w środku puderniczkę, klucze, maleńką chusteczkę do nosa oraz trzy i pół marki, które zaraz sobie przywłaszczył.

– Akurat starczy na piwo – stwierdził, lekko się skłonił i położył torebkę przed siostrą.

Zamówili następną kolejkę. Margot też trochę przełknęła, z pewnym trudem: nie cierpiała piwa, ale z drugiej strony nie chciała, żeby wypili jej porcję.

– Mogę już iść? – spytała, przyklepując symetryczne kosmyki na skroniach.

– Co? Żle ci, że siedzisz z bratem i z jego kolegami? – z udawanym zdziwieniem zapytał Otto. – Bardzo się zmieniłaś, moja droga. Ale właściwie nie przystąpiliśmy jeszcze do rzeczy...

– Ukradłeś mi pieniądze, idę sobie.

Wszyscy trzej znowu zawarczeli, a ona znów się złąkla.

– Jaka tam kradzież – rzekł Otto wrednym tonem. – To i tak nie twoje pieniądze, tylko je wyciągnęłaś od kogoś, kto się tuczy krwawicą klasy robotniczej. Więc lepiej mi nie mów o kradzieży. Ty... Zreflektował się i odtąd mówił już spokojniej.

– Słuchaj no, ty. Skombinuj od tego swojego faceta trochę grosza dla nas, dla rodziny. Wystarczy pięćdziesiąt. Jasne?

– A jak nie skombinuję?

– To zemsta będzie słodka – cicho odparł Otto. – O, wszystko o tobie wiemy.

Zaręczona! Akurat.

Margot nagle się rozpromieniła i szepnęła, spuściwszy rzęsy:

– Dobrze, załatwię. Czy to wszystko? Mogę już iść?

– Grzeczna dziewczynka. Tylko po co ten pośpiech? Musimy zresztą częściej się widywać. Może byśmy któregoś dnia skoczyli nad jezioro? – Tu zwrócił się do przyjaciół:

– Ale żeśmy kiedyś robili numery! Nie powinna tak się nadymać, no nie?

Ale Margot już wstała od stolika i na stojąco dopijała piwo.

– Jutro w południe, na tym samym rogu – powiedział Otto – a potem na cały dzień wyjedziemy za miasto. Zgoda?

– Zgoda – odparła promiennie. Podała wszystkim rękę i wyszła.

Wróciła do domu, a kiedy Albinus odłożył gazetę i wstał, żeby się przywitać, zachwiała się i udała, że mdleje. Było to mierne przedstawienie, ale i tak podziałało. Do głębi przerażony, ułożył ją na kanapie i przyniósł wody.

– Co się stało? Powiedz, błagam – powtarzał, głaszcząc ją po głowie.

– Rzucisz mnie – jęknęła.

Udławił się własną śliną i natychmiast wyciągnął najgorszy z możliwych wniosków: zdradziła go.

„Dobrze. Skoro tak, zabiję ją”, pomyślał szybko. Ale na głos dość spokojnie powtórzył:

– Co się stało, Margot?

– Oszukałam cię – zaskowyczała. „Musi umrzeć”, pomyślał.

– Ohydnie cię oszukałam, Albert. Po pierwsze, mój ojciec nie jest artystą, dawniej był ślusarzem, a teraz dozorcą, moja matka czyści poręcze, a brat to prosty robotnik. Miałam straszne dzieciństwo. Bili mnie, torturowali.

Albinus poczuł rozkoszną ulgę, a potem zalała go fala współczucia.

– Nie, nie całuj mnie. Trzeba, żebyś wiedział wszystko. Uciekłam z domu. Zarabiałam na życie, pozując. Jedna wstrętna starucha mnie wyzyskiwała. Potem się zakochałam. Był żonaty tak samo jak ty, a żona nie chciała mu dać rozwodu, więc odeszłam, bo nie mogłam znieść, że jestem tylko jego kochanką, chociaż kochałam go do szaleństwa. Potem łąził za mną jeden stary bankier. Ofiarował mi cały swój majątek, ale oczywiście go odtrąciłam. Umarł, serce mu pękło. A później zaczęłam pracować w „Argusie”.

– O, mój ty biedny, nieszczęśliwy, zaszczuty króliczku – szepnęła Albinus (nawiasem mówiąc, dawno już przestał wierzyć, że jest jej pierwszym kochankiem).

– Naprawdę mną nie gardzisz? – spytała, uśmiechając się przez łzy, z niejakim trudem, bo przecież nie było żadnych łez, przez które mogłaby się uśmiechać. – Tak się cieszę, że mną nie gardzisz. Ale teraz powiem ci o najgorszym: mój brat wywęszył, gdzie mieszkam, i kiedy go dzisiaj spotkałam, zażądał pieniędzy; widzisz, próbuje mnie szantażować, bo myśli, że nic nie wiesz, znaczy, o mojej przeszłości. Jak go zobaczyłam i pomyślałam sobie, co to za wstyd mieć takiego brata, a potem jeszcze, że mój słodki, ufny robaczek nawet sobie nie wyobraża, jaką mam rodzinę, wiesz, tak się za nich zawstydziałam, no i za to, że nie powiedziałam ci prawdy...

Wziął ją na ręce i zaczął kołysać; zaśpiewałby jej kołysankę, gdyby nie to, że żadnej nie znał. Zaczęła się cichutko śmiać.

– Co w takim razie można zrobić? – spytał. – Będę się teraz bał wypuszczać cię samą. Zawiadomimy policję?

– Nie, tylko nie to! – zawołała z niezwykłym przejęciem.

Nazajutrz Albinus po raz pierwszy wybrał się z nią do miasta. Chciała kupić dużo lekkich sukienek i kostiumów kąpielowych, no i całe kilogramy kremu, żeby słońce łatwiej mogło opalić ją na brąz. W Solfi, w adriatyckim kurorcie, który Albinus wybrał jako cel ich pierwszej wspólnej podróży, był skwar, żar lał się z nieba. Kiedy wsiadali do taksówki, zauważyła, że po drugiej stronie ulicy stoi jej brat, ale nie wskazała go Albinusowi.

Publiczne pokazywanie się z tą dziewczyną okropnie go krępowało, nie mógł się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Zanim wrócili, Otto znikł. Margot słusznie się domyślała, że jest mocno urażony i postąpi nierozważnie.

Dwa dni przed wyjazdem Albinus siedział przy osobliwie niewygodnym biurku i pisał list w sprawach zawodowych, a w sąsiednim pokoju Margot pakowała swoje rzeczy do czarnego kufra, lśniącego nowością. Albinus słyszał szelest bibułki i dźwięki piosenki, którą dziewczyna cicho nuciła, nie otwierając ust.

„Jakie to wszystko dziwne – pomyślał. – Gdyby w sylwestra ktoś mi powiedział, że za kilka miesięcy moje życie tak zupełnie się zmieni...”

W sąsiednim pokoju Margot coś upuściła. Piosenka na chwilę umilkła, aby po chwili znów cicho zabrzmieć.

„Pół roku temu byłem wzorowym mężem w świecie, w którym Margot nie istniała. Los szybko się uwinął! Inni mężczyźni potrafią godzić szczęście rodzinne z drobnymi zdradami, ale u mnie wszystko od razu się zawaliło. Czemu? Mimo to siedzę sobie i rozumiem, zdawałoby się, jasno i sensownie. A jednak trzęsienie ziemi już się rozpętało i Bóg raczy wiedzieć, jak sprawy się w końcu ułożą...”

Nagle zadzwieczał dzwonek. Albinus, Margot i kucharka równocześnie wbiegli do hallu, każde swoimi drzwiami.

– Albert – szepnęła Margot. – Bądź bardzo ostrożny. Jestem pewna, że to on.

– Idź do swojego pokoju – odparł również szeptem. – Już ja z nim sobie poradzę.

Otworzył drzwi. Stała w nich dziewczyna od modystki. Ledwie zdążyła odejść, znów zabrzmiał dzwonek. Albinus otworzył. Stał przed nim chłopak o nieokrzesanym, gburowatym wyglądzie, mimo to uderzająco podobny do Margot: te same ciemne oczy, gładkie włosy, prosty nos z rowkiem na czubku. Ubrany był w niedzielny garnitur, a koniec krawata zatknął za koszulę, między dwa guziki.

– W jakiej sprawie? – spytał Albinus.

Otto zakasłał i rzekł z poufną chrypką w głosie:

– Muszę z panem pomówić o mojej siostrze. Jestem bratem Margot.

– A czemu właśnie ze mną, jeśli wolno spytać?

– To pan jest Herr...? – zaczął Otto pytającym tonem. – Herr...?

– Schiffermiller – rzekł Albinus, stwierdzając z niejaką ulgą, że chłopak nie zna jego nazwiska.

– No, Herr Schiffermiller, widziałem pana z moją siostrą. Więc sobie pomyślałem, że może będzie pan ciekaw, czy ja... czy my...

– Oczywiście, ale po co mamy stać w drzwiach? Proszę wejść.

Otto wszedł i znowu zakasłał.

– O to się rozchodzi, Herr Schiffermiller, że moja siostra jest młoda i niedoświadczona. Matka ani jednej nocy nie przespała, odkąd nasza mała Margot odeszła z domu. Wie pan, ona ma dopiero szesnaście lat. Może mówi, że jest starsza, ale nie trzeba jej wierzyć. Słowo daję, porządni z nas ludzie, mój ojciec to stary żołnierz. W ogóle bardzo nieprzyjemna okoliczność. Nie wiem, jakie by tu można zadośćuczynienie...

Otto pomалу nabierał pewności siebie i już prawie zaczynał wierzyć w to, co mówił.

– Naprawdę nie wiem – ciągnął, coraz bardziej podekscytowany, – No niech pan sobie tylko wyobrazi, Herr Schiffermiller, gdyby to pan miał ukochaną, niewinną siostrzyczkę i ktoś by ją sobie wziął i kupił...

– Słuchaj, przyjacielu – wpadł mu w słowo Albinus. – To chyba jakieś nieporozumienie. Moja narzeczona powiedziała mi, że rodzina z ulgą jej się pozbyła.

– O, nie – rzekł Otto, mrugając znacząco. – Nie wmówi mi pan, że się pan z nią ożeni. Jak mężczyzna chce się żenić z porządną dziewczyną, najsampierw rozmawia z jej krewnymi. Trochę więcej starania, a mniej pychy, Herr Schiffermiller!

Albinus patrzył na niego z zaciekawieniem, uświadamiając sobie, że młodemu bydlakowi trudno właściwie odmówić słuszności: wolno mu było przecież troszczyć się o dobro Margot, tak samo jak Paulowi wolno martwić się o siostrę. Cały ten dialog miał nawet lekki posmaczek parodii tamtej okropnej rozmowy sprzed dwóch miesięcy. Miło było pomyśleć, że przynajmniej tym razem Albinus może twardo się postawić, brat nie brat: powiedzmy, wykorzystać fakt, że Otto po prostu blefuje i próbuje go zastraszyć.

– Radzę ci, przestań – powiedział bardzo stanowczo, z wielkim opanowaniem: istny patrycjusz. – Wiem dokładnie, jak się rzeczy mają. Nic ci do tego. A teraz proszę, idź już sobie.

– Coś takiego – odparł Otto, marszcząc się. – Jak tak, to dobrze.

Przez chwilę milczał, mnąc czapkę w dłoni i patrząc w podłogę. Potem uderzył w inny ton.

– Ta sprawa może pana drogo kosztować, nim pan z nią skończy. Moja siostrzyczka jest niezupełnie taka, jak się panu zdaje. Mówiłem, że niewinna, ale to tylko z braterskiego współczucia. Łatwo daje się pan wodzić za nos, Herr Schiffermiller. Można pęć ze śmiechu, jak pan o niej mówi „narieczona”. Boki zrywać. Mógłbym panu powiedzieć to i owo...

– Nie ma najmniejszej potrzeby – odrzekł Albinus, rumieniąc się. – Sama mi wszystko opowiedziała. Nieszczęsne dziecko, którego rodzina nie umiała uchronić przed złem. Proszę już sobie iść, natychmiast. – Albinus otworzył drzwi.

– Pożaluje pan – niezręcznie pogroził mu Otto.

– Idź, bo wykopię na ulicę – powiedział Albinus (dodając do swego zwycięstwa, rzec by można, ostatnią kroplę słodyczy).

Otto wyszedł bardzo opieszale.

Albinus odznaczał się płytkim sentymentalizmem, typowym dla mieszczańskich sfer, w których się obracał, toteż (delektując się świeżym smakiem sukcesu) nagle sobie wyobraził, jakie nędzne i szpetne życie wieść musi ten chłopak. A w dodatku Margot rzeczywiście jest do niego podobna, przynajmniej kiedy się dąsa. Nim zamknął drzwi, szybko wyjął dziesięciomarkowy banknot i wcisnął go w dłoń Ottona.

Drzwi się zamknęły. Otto został sam na podeście schodów, obejrzał papierek, postać chwilę, zatopiony w myślach, i nacisnął guzik dzwonka.

– Co, znowu ty? – zawołał Albinus. Otto wyciągnął rękę z pieniędzmi.

– Nie potrzebuję pańskich napiwków – mruknął gniewnie. – Lepiej daj pan coś bezrobotnym, przecież ich nie brak.

– Ależ proszę wziąć – rzekł Albinus, straszliwie zażenowany.

Otto wzruszył ramionami.

– Nie przyjmuję okrucichów z krwawych stołów bogaczy. Biedak ma swoją dumę. Ja...

– Chciałem tylko... – zaczął Albinus.

Otto zaszurał nogami, z ponurą miną wepchnął banknot do kieszeni i pomrukując, zszedł po schodach. Honorowi klasowemu stało się zadość, mógł więc teraz zaspokoić bardziej ludzkie potrzeby.

„Marne grosze – pomyślał. – Ale lepsze to niż nic. Zresztą on mnie się boi, głupi jąkała z wybałuszonymi gałami”.

Od chwili gdy Elisabeth przeczytała krótki list Margot, życie jej stało się długą, groteskową szaradą, jedną z tych, do których rozwiązywania zasadzani bywamy w sennej klasie tępego obłądu. Początkowo czuła się, jakby jej mąż umarł, a ludzie usiłowałiby jej wmówić, że ją tylko porzucił.

Pamiętała, jak w tamten wieczór, tak już teraz odległy, pocałowała go w czoło, zanim wyszedł, a on powiedział, nachylając się ku niej:

– W każdym razie lepiej idź do Lamperta. Ona nie może dalej tak się drapać.

Były to jego ostatnie słowa w tym życiu: proste, banalne słowa o nieznaczej wysypce, która wyskoczyła Irmie na szyi – a potem znikł na zawsze.

Wysypkę udało się w ciągu paru dni wyleczyć maścią cynkową – ale na całym świecie nie było maści zdolnej ukoić i wymazać wspomnienie jego wypukłego, białego czoła i gestu, jakim poklepał się po kieszeniach, wychodząc z pokoju.

W pierwszych dniach Elisabeth tyle płakała, że sama zdumiewała się wydajnością swych gruczołów łzowych. Czy uczeni wiedzą, ile słonej wody może wypłynąć z ludzkich oczu? Przypomniało jej się, jak pewnego lata na włoskim wybrzeżu kąpali małą w wanience z morską wodą – och, łzami Elisabeth można by wypełnić o wiele większą wannę i umyć w niej olbrzyma, choćby stawiał opór.

To, że Albinus opuścił Irmę, wydawało jej się dużo bardziej potworne niż fakt, że porzucił ją, swoją żonę. A może z czasem spróbuje wykraść córkę? Czy rozsądnie byłoby wysłać dziecko na wieś, tylko pod opieką niani? Tak, twierdził Paul, i namawiał siostrę, aby też z nimi wyjechała. Ale nie chciała nawet o tym słyszeć. Choć miała wrażenie, że nigdy nie zdoła Albinusowi wybaczyć (nie żeby ją upokorzył, bo duma uodparniała Elisabeth na tego rodzaju poczucie krzywdy, niewybaczalne było natomiast jego własne upodlenie), wciąż jednak czekała, z dnia na dzień, pełna nadziei, aż drzwi otworzą się niby noc rozdarta błyskawicą i wejdzie jej mąż, blady jak Łazarz, niebieskie oczy będzie miał zapuchnięte i mokre, ubranie w strzępach i szeroko rozwarte ramiona.

Przez większość dnia przesiadywała w którymś z pokoiów, a czasem nawet w hallu – tam gdzie akurat doścignęły ją ciężkie mgły rozmyślań – i analizowała ten czy ów szczegół swego życia małżeńskiego. Miała wrażenie, że mąż zawsze był niewierny. Przypomniała sobie i dopiero teraz zrozumiała, skąd się wzięły (tak jak kogoś, kto uczy się nowego języka, może nagle olśnić, że widział niegdyś napisaną w tym języku książkę, w czasach gdy jeszcze go nie znał) czerwone plamy – lepkie czerwone pocałunki – które

zauważyła pewnego razu na jego chustce do nosa.

Paul starał się jak mógł rozproszyć te myśli. Nigdy nie wspominał o Albinusie. Zmienił niektóre ze swych ulubionych przyzwyczajzeń – na przykład to, żeby każdy niedzielny ranek spędzać w tureckiej łaźni. Przynosił siostrze czasopisma i powieści; rozmawiali o dzieciństwie, o dawno zmarłych rodzicach i o jasnowłosym bracie, poległym nad Sommą: muzyku, marzycielu.

W pewien upalny letni dzień poszli do parku i zobaczyli małpkę, która wymknęła się swemu panu i wspięła na wysoki wiąz. Jej czarna twarzyczka zwieńczona koroną szarego puchu wyzierała spośród zielonych liści, znikając, a po chwili jakaś gałązka o metr czy dwa wyżej zaczynała trząść się i szeleścić. Właściciel daremnie usiłował zwabić zwierzątko cichym pogwizdywaniem, widokiem dorodnego żółtego banana i kieszonkowym lusterkiem, którym raz po raz błyskał.

– Nie wróci, to beznadziejne; nigdy nie wróci – szepnęła Elisabeth i zalała się łzami.

Mając nad głową tylko ciemny błękit, Margot leżała rozkrzyżowana na platynowym piasku; ręce i nogi opaliła sobie na soczysty, miodowy brąz, a biały paseczek z gumy łagodził czerń jej kostiumu kąpielowego: idealny plakat, reklama plaży. Albinus leżał obok niej, podpierając dłonią policzek, i z nienasyconym zachwytem wpatrywał się w olejisty blask zamkniętych powiek i w świeżo umalowane usta. Mokra ciemne włosy odgarnęła do tyłu, odsłaniając krągłe czoło, a w małych uszkach migotały ziarnka piasku. Z całkiem bliska dawał się dostrzec opalizujący połysk w zagłębieniach brunatnych, gładkich obojczyków. Obcisły czarny kostium przywodził na myśl fokę i był dużo za krótki, aby mógł być prawdziwy.

Albinus puścił na jej wklęsły brzuch strużkę piachu z zaciśniętej pięści, jak z klepsydry. Uniosła powieki, zamruwała, rażona srebrnoniebieskim żarem, uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

Po chwili usiadła, objęła rękami kolana i zastygła w bezruchu. Albinus widział jej plecy obnażone aż do pasa, z migotliwą smużką piasku wzdłuż sinusoidy kręgosłupa. Delikatnie zmiotł te ziarnka. Jej skóra była jedwabista i gorąca.

– Boże – powiedziała Margot. – Jakie to morze jest dzisiaj niebieskie.

Rzeczywiście było niebieskie: fioletowoniebieskie w oddali, pawioniebieskie nieco bliżej, brylantowoniebieskie tam, gdzie fale nasyczało światło. Piana przelewała się, mknęła, zwalniała i cofała się, pozostawiając na mokrym piasku gładkie lustro, które zatapiała następna fala. Owłosiony mężczyzna w pomarańczowo-czerwonych spodniach stał nad samą wodą i przecierał okulary. Jakiś chłopczyk wrzasnął z uciechy, gdy piana chlusnęła do fosy warownego zamku, który zbudował. Wesołe parasole i pasiaste namioty zdawały się powtarzać w języku barw okrzyki kąpielowiczów. Rzucona przez kogoś wielka kolorowa piłka z dźwięcznym łoskotem odbiła się od piasku. Margot złapała ją, zerwała się z miejsca i odrzuciła piłkę.

Albinus ujrzał sylwetkę dziewczyny na radosnym tle plaży; prawie go zresztą nie zauważał, pochłonięty widokiem Margot. Smukła, opalona, ciemnowłosa, z błyskiem bransolety na ręce, wciąż jeszcze wyciągniętej po rzucie piłką, wyglądała niczym wykwintnie pokolorowana winieta zwiastująca pierwszy rozdział jego nowego życia.

Podeszła do niego; leżał wyciągnięty (z ręcznikiem na różowych, spieczonych ramionach) i patrzył, jak poruszają się jej małe stopki. Schyliła się i z berlińskim chichotem zdrowo go trzepnęła po mocno nabitych kąpielówkach.

– Woda jest mokra! – zawołała i pobiegła na spotkanie przyboju. Ruszyła przed siebie, kołysząc biodrami, machając wyciągniętymi rękami, brnąc w wodzie po kolana, aż padła na czworaki, chciała popłynąć, zabalgotała, dźwignęła się na równe nogi i poszła dalej, w pianie po pas. Albinus z głośnym chlupotem rzucił się za nią. Obróciła się ku niemu, roześmiana, plując i odgarniając z oczu mokre włosy. Spróbował ją przytępić, złapał za kostkę, a Margot wierzgnęła i wrzasnęła.

Pewna Angielka, która czytała „Puncha”, rozłożona na leżaku pod różowym parasolem, zwróciła się do męża, rumianego mężczyzny w białym kapeluszu, siedzącego w kucki na piasku:

– Patrz, jak ten Niemiec baraszkuje ze swoją córką. Nie leń się, William. Zaprowadź dzieci do wody, niech sobie popływają.

Potem włożyli krzykliwe płaszcze kąpielowe i długo szli pod górę kamienistą ścieżką, na wpół zadławioną przez szczodrzyn i kolcolist. W oddali mała willa, za której wynajęcie płacili krocie, połyskiwała spośród czarnych cyprysów cukrową bielą. Po żwirze śmigwały wielkie, piękne świerszcze. Margot próbowała je chwycić. Kuciała i ostrożnie wyciągała palec wskazujący i kciuk, ale świerszczowi drgały nagle kończyny o kanciastych łokciach, błękitne wachlarzowate skrzydła strzelały na boki i owad przefruwał trzy metry, a lądując na ziemi, natychmiast zniknął.

W chłodnym pokoju z posadzką z czerwonych kafelków, gdzie światło wnikające przez szpary żaluzji tańczyło w oczach i kładło się u stóp jasnymi kreskami, Margot niby wąż zrzuciła swą czarną skórę i w samych pantofelkach na wysokim obcasie tuptała po pokoju, jedząc soczyście świszczącą brzoskwinie; paski słońca raz po raz przekreślały jej ciało.

Wieczorami tańczyło się w kasynie. Morze było jaśniejsze od zarumienionego nieba, odświeżenie pałały światła przepływającego parowca. Niezdarna ćma trzepotała wokół różowego klosza lampy; Albinus tańczył z Margot. Gładko przyczesaną głową ledwie sięgała mu do ramienia.

Wkrótce po przyjeździe zawarli parę znajomości. Nie potrafił nie przyznać się przed sobą, że zżera go upokarzająca zazdrość, ilekroć widzi, jak mocno przyciska się Margot do partnera w tańcu, zwłaszcza że pod zwiewną sukienką nie miała nic i Albinus o tym wiedział: pięknie opaliła sobie nogi, chodziła więc bez pończoch. Czasem tracił ją z oczu. Wstawał wtedy i zaczynał niespokojnie się przechadzać, stukając papierosem w papierośnicę. Trafiał do pokoju, w którym grano w karty, potem na taras, aby zaraz zawrócić, z nieznośnym przeświadczeniem, że Margot go zdradza. Nagle zjawiała się jakby znikąd, siadała obok niego w swej pięknej, migoczącej sukience i upijała długi haust wina. Nie ujawniał przed nią swych lęków, tylko nerwowo głaskał pod stołem jej nagie kolana, a ona stukiała jednym o drugie, przechylona do tyłu wraz z krzesłem, śmiejąc się – trochę histerycznie, uważał Albinus – z czegoś – niezbyt zabawnego – co właśnie mówił jej partner sprzed chwili.

Trzeba przyznać, że dokładała wszelkich starań, aby pozostać mu całkiem wierną. Lecz choćby kochał się z nią najtkliwiej i najtroskliwiej, przez cały czas wiedziała, że dla niej zawsze będzie to miłość niepełna, podczas gdy najłżejsze muśnięcie jej pierwszego kochanka było odrobiną pełni. Pewien młody Austriak, najlepszy tancerz w Solfi i w dodatku fantastyczny pingpongista, trochę niestety przypominał Millera; w jego krzepkich

knykciach, w przenikliwym, sardonycznym spojrzeniu było coś, co nieustannie przywodziło jej na myśl rzeczy, o których wolałaby zapomnieć.

W pewną gorącą noc w przerwie między dwoma tańcami zapuściła się z nim w ciemny kąt ogrodu kasyna. W powietrzu kładła się matowym ciężarem słodkawa woń figowca, towarzyszyła jej zaś ta banalna mieszanka księżycowego blasku i dalekiej muzyki, co tak działa na proste duszyczki.

– Nie, nie – wymamrotała Margot, czując jego usta na szyi i policzku, podczas gdy zręczne dłonie pełzły wzwyż po jej nogach.

– Nie powinieneś – szepnęła i zaraz przechyliła głowę do tyłu, i łąpczywie odwzajemniła jego pocałunek. Pieścił ją tak gruntownie, że czuła, jak uchodzi z niej resztkę sił; w porę jednak się wywinęła i biegiem wróciła na rzęście oświetlony taras.

Scena ta nigdy więcej się nie powtórzyła. Margot pokochała życie, które ofiarował jej Albinus – owiane czarem pierwszorzędných filmów z rozkołysanymi palmami i drżącymi krzewami róż (w kramie ekranu wiecznie bowiem wieje wiatr) – i bała się, że wszystko to nagle się urwie, nie śmiała więc ryzykować; na jakiś czas straciła nawet swą główną cechę – pewność siebie. Odzyskała ją jednak, gdy tylko jesienią wrócili do Berlina.

– Miło tu, owszem – rzekła oschle, rozglądając się po pokoju w dobrym hotelu, w którym się zatrzymali – ale chyba rozumiesz, Albert, że nie możemy tak bez końca.

Albinus, który właśnie przebierał się do obiadu, pospieszył zapewnić Margot, że poczynił już pewne kroki, aby wynająć nowe mieszkanie.

„Czy on naprawdę ma mnie za idiotkę?”, pomyślała ze wściekłą urazą.

– Albert – powiedziała. – Widzę, że nie rozumiesz. – Westchnęła głęboko i zakryła twarz dłońmi. – Ty się mnie wstydzisz – oświadczyła, obserwując go przez palce.

Z pogodną miną spróbował ją objąć.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęła, mocno go odpychając łokciem. – Dobrze wiem, że boisz się pokazywać ze mną na ulicy. Jak się mnie wstydzisz, to mnie zostaw i wracaj sobie do swojej Lizzy. Jesteś wolny.

– Przestań, kochanie – poprosił bezradnie. Rzuciła się na kanapę i zdołała wybuchnąć łkaniem. Albinus lekko podciągnął nogawki spodni, uklęknął i ostrożnie spróbował dotknąć jej ramienia, które drgało, ilekroć zbliżał do niego palce.

– Powiedz mi, czego pragniesz? – spytał cicho. – O co ci chodzi, Margot?

– Chcę żyć z tobą jawnie – wyjąkała. – W twoim własnym domu. I widywać ludzi...

– Dobrze – powiedział, wstając i otrzepując kolana. („A nim minie rok, ożenisz się

ze mną – pomyślała Margot, nie przestając słicznie szlochać. – Ożenisz się ze mną, chyba że będę już wtedy w Hollywood, bo w takim razie pošę cię do diabła”).

– Jeżeli nie przestaniesz płakać – rzekł Albinus – to w końcu sam się rozpłacę.

Usiadła i żałośnie się uśmiechnęła. Łzy tylko dodawały jej urody. Twarz płonęła, tęczęwki oczu wyglądały olśniewająco, a z boku nosa drżała wielka łza: Albinus nigdy przedtem nie widział tak ogromnych i świetlistych łez.

Nauczył się już nie rozmawiać z Margot o sztuce, bo się na niej nie znała i nic ją ten temat nie obchodził, teraz zaś, w pierwszych dniach po przeprowadzce, musiał nauczyć się ukrywać, jakie cierpi katusze, mieszkając z nią pod tym samym dachem, pod którym przeżył dziesięć lat z żoną. Otaczały go pamiątki po Elisabeth, podarunki od niej oraz prezenty, które jej dał. W oczach Friedy widział posępną naganę, a zanim minął tydzień, służąca odeszła, z pogardą wysłuchawszy piskliwego wrzasku Margot, gdy ta po raz drugi czy trzeci ją złażała.

Sypialnia i pokój dziecienny spoglądały na Albinusa ze wzruszającym, niewinnym wyrzutem – zwłaszcza sypialnia; Margot szybko bowiem usunęła z pokoiku Irmy wszystkie sprzęty i wstawiła tam stół do pingponga. Ale sypialnia... Pierwszej nocy Albinusowi zdawało się, że czuje lekki zapach wody kolońskiej swej żony, co przygnębiało go i hamowało, a Margot chichotała, ubawiona jego nieoczekiwaną powściągliwością.

Kiedy po raz pierwszy zadzwonił telefon, była to męka. Telefonował pewien stary przyjaciel, pytając, czy dobrze się bawili we Włoszech, jak się miewa Elisabeth i czy może pójść w niedzielę rano z jego żoną na koncert.

– Prawdę mówiąc, chwilowo mieszkamy osobno – z wysiłkiem odparł Albinus. („Chwilowo!” – drwiąco pomyślała Margot, wyginając się przed lustrem, żeby obejrzeć sobie plecy, które zbladły już i z brązowych stały się złociste).

Wiadomość o zmianach w jego życiu szybko się rozniosła, choć łudził się, że nikt nie wie, iż kochanka mieszka razem z nim; kiedy zaczęli wydawać przyjęcia, stosował zwykły w takich razach środek zaradczy, polegający na tym, że Margot wychodziła wraz z resztą gości – aby wrócić po dziesięciu minutach.

Z ponurym zainteresowaniem spostrzegł, że ludzie coraz rzadziej pytają go o żonę; niektórzy przestali do niego przychodzić; nieliczna garstka wytrwałych dłużników okazywała mu zdumiewającą życzliwość i serdeczność; cyganeria starała się udawać, że nic się nie stało; inni – głównie tacy jak on sam akademicy – gotowi byli po dawnemu go odwiedzać, ale nigdy nie przyprowadzali z sobą żon, wśród których szerzyła się istna epidemia migren.

Pomału przywykł do obecności Margot w mieszkaniu, tak niegdyś pełnym wspomnień. Ledwie przestawiła jakiś błahy przedmiot, natychmiast tracił on duszę i wspomnienie gasło; nasuwało się tylko pytanie, ile czasu minie, zanim dziewczyna dotknie wszystkiego po kolei, że zaś żwawo przebierała palcami, w ciągu kilku miesięcy z

dwunastu pokoiów uszło całe jego poprzednie życie. Mieszkanie było owszem, piękne, ale nie miało już nic wspólnego z wnętrzem, w którym żył dawniej z żoną.

Kiedys późną nocą po dansingu mydlił plecy Margot, a ona zabawiła się w wannie pełnej wody, stojąc na swojej ogromnej gąbce (bąbelki unosiły się jak w kieliszku szampana), i nagle spytała go, czy nie sądzi, że mogłaby grać w filmach. Roześmiał się i odparł, nie myśląc, co mówi, bez reszty pochłonięty innymi przyjemnościami:

– Oczywiście, czemu nie?

Po kilku dniach wróciła do tematu, wybrawszy moment, gdy Albinus był przytomniejszy. Zachwycił się tym, że interesuje ją kino, i zaczął rozwijać swoją ulubioną teorię, w której porównywał zalety filmów niemych i tych z dialogami.

– Dźwięk – stwierdził – natychmiast zabije kino.

– A jak właściwie człowieka się filmuje? – przerwała mu. Zaproponował, że zabierze ją do studia, wszystko jej pokaże i objaśni cały proces. Potem sprawy potoczyły się już szybko.

„Stop, co ja najlepszego wyprawiam?”, zadał sobie Albinus pytanie pewnego ranka, wspomniawszy, jak to zeszłego wieczoru obiecał sfinansować film, który chciał nakręcić mierny producent, pod warunkiem że Margot dostanie drugoplanową rolę kobiecą: porzuconej kochanki.

„Głupio zrobiłem! – pomyślał. – W studio pełno będzie ulizanych młodych aktorów ociekających seksapilem, a ja się ośmieszę, jeśli zacznę wszędzie za nią łązić. Ale z drugiej strony – pocieszył się – potrzebne jest jej zajęcie, żeby się nie znudziła, a skoro będzie musiała wcześniej wstawać, przestaniemy chodzić co wieczór na te przekłete dansingi”.

Podpisano kontrakt i zaczęły się próby. Przez pierwsze dwa dni Margot wracała do domu okropnie zła i obrażona. Narzekała, że każą jej setki razy powtarzać ten sam ruch; że reżyser na nią krzyczy, a reflektory ją oślepiają. Tylko jednym się pocieszała: aktorka (dość znana), która grała główną rolę, Dorianna Karenina, była dla niej przemiła, chwaliła jej grę i przepowiadała, że Margot dokona cudów. („Zły znak!”, pomyślał Albinus).

Zabroniła mu przychodzić do studia: twierdziła, że ją to krępuje. Zresztą gdyby wszystko zawczasu zobaczył, film nie byłby dla niego żadną niespodzianką – a ona lubiła sprawiać ludziom niespodzianki. Czerpał jednak wiele przyjemności z tego, że podpatrywał ją, gdy przybierała dramatyczne pozy, wpatrzona we własne odbicie w psychę; trzeszcząca deska zdradzała Albinusa, Margot ciskała w niego czerwoną poduszką i musiał przysięgać, że nic nie widział.

Woził ją autem do studia i z powrotem do domu. Pewnego dnia powiedziano mu, że próba potrwa jakieś dwie godziny, poszedł więc na spacer i niechcący zawędrował do dzielnicy Paula. Natychmiast boleśnie zapragnął spotkać się ze swą bladą, banalną

córeczką: mniej więcej o tej właśnie porze wracała zwykle ze szkoły. Kiedy skręcił za róg, wydało mu się, że widzi w oddali ją i nianię, ale nagle się przeraził i szybko odszedł.

Tego akurat dnia Margot wyszła mu na spotkanie zarumieniona i roześmiana: zagrała pięknie, przepięknie – a zdjęcia niedługo się skończą.

– Mam pomysł – rzekł Albinus. – Zaproszę Dorianę na kolację. Wydamy wielkie przyjęcie z interesującymi gośćmi. Wczoraj zadzwonił do mnie pewien artysta, ściśle mówiąc, autor komiksów: wiesz – taki, co to robi różne śmieszne rysunki i tym podobne. Właśnie wrócił z Nowego Jorku, a jest na swój sposób genialny. Jego też zaproszę.

– Ale ja chcę siedzieć przy tobie – powiedziała.

– Dobrze, tylko pamiętaj, złotko, oni nie mogą się dowiedzieć, że ze mną mieszkasz.

– Och, i tak wszyscy wiedzą, ty głupku – odparła, nagle chmurniejąc.

– Przecież to stawia ciebie, a nie mnie, w fałszywej sytuacji – zwrócił jej uwagę. – Zdaj sobie sprawę. Wszystko mi jedno, rzecz jasna, ale dla twojego własnego dobra, proszę cię, zrób tak jak ostatnim razem.

– Tylko że to takie głupie... A zresztą jest sposób, żeby uniknąć tych wszystkich nieprzyjemności.

– Jak to, uniknąć?

– Skoro nie rozumiesz... – powiedziała nadąsana. („Kiedy wreszcie zaczniesz mówić o rozwodzie?”, pomyślała).

– Błagam cię, bądź rozsądna – rzekł pojednawczo. – Zrobię wszystko, co zechcesz. Wiesz doskonale, kiciu...

Zdążył już tymczasem zgromadzić sporą menażerię czułych słówek.

Wszystko szło zgodnie z planem. W hallu na tacy z laki sprytnie poukładano parami kartki z nazwiskami zaproszonych, żeby każdy od razu wiedział, z kim pójdzie do jadalni: doktor Lampert z Sonią Hirsch; Axel Rex z Margot Peters; Boris von Ivanoff z Olgą Waldheim – i tak dalej. Imponujący lokaj (niedawno przyjęty do służby) o twarzy angielskiego lorda (tak przynajmniej sądziła Margot, która czasem zatrzymywała na nim wcale życzliwe spojrzenie) z godnością wpuszczał gości. Co parę minut rozlegał się dzwonek. W salonie było już pięć osób oprócz Margot. Wszedł Ivanoff – von Ivanoff, jak uważał za stosowne się tytułować: chudy mężczyzna o ruchach łasicy, z popsutymi zębami i z monoklem w oku. Potem Baum, pisarz – tęgi, rumiany, kapryśny osobnik, który miał silne ciągoty komunistyczne i niczego sobie stały dochód – wraz z żoną, starszą kobietą o wciąż jeszcze wspaniałych kształtach, która za czasów burzliwej młodości pływała w akwarium wśród tresowanych fok.

Rozmowa toczyła już się całkiem wartko. Olga Waldheim, śpiewaczka o białych ramionach i bujnym łonie, z ondulowanymi włosami koloru pomarańczowej marmolady i z perłą melodii w każdym zakolu modulowanego głosu, jak zwykle opowiadała słodkie historyjki z życia swojej szóstki perskich kotów. Albinus stał i śmiał się, patrząc ponad siwą szczotką włosów starego Lamperta (wybitnego laryngologa i przeciętnego skrzypka) na Margot, i myślał przy tym, jak bardzo jej do twarzy, kochaneczce, w czarnej tiulowej sukni z aksamitną dalią na piersi. Na mocno umalowanych ustach dziewczyny błąkał się pełen ostrożnej rezerwy uśmieszek, jakby nie była pewna, czy ktoś z niej nie kpi, a oczy miały ten szczególny, sarni wyraz, który znaczył – jak Albinus wiedział z doświadczenia – że Margot słucha i nie rozumie: tym razem słuchała wywodów Lamperta o muzyce Hindemitha.

Wtem zobaczył, że gwałtownie poczerwieniała na twarzy i zerwała się z miejsca. „Co za głupota – czemu ona wstaje?”, pomyślał, gdy weszło kilkoro nowych gości – Dorianna Karenina, Axel Rex i dwóch pomniejszych poetów.

Dorianna objęła i ucałowała Margot, z której oczu bił blask tak promienny, jakby dopiero co przestała płakać. „Co za głupota – znowu pomyślał Albinus – płaszczyć się przed tą drugorzędną aktorycą”. Dorianna słynęła z tego, że ma przepyszne ramiona, uśmiech Mony lisy i ochrypły głos grenadiera.

Albinus podszedł do Rexa, który nie bardzo wiedział, kto z obecnych jest gospodarzem, i zacierał ręce, jakby je mydlił.

– Ogromnie mi miło, że wreszcie się spotykamy – rzekł Albinus. – Wie pan,

zupełnie inaczej pana sobie wyobrażałem. Myślałem, że jest pan niski, gruby, w okularach w rogowej oprawie, chociaż z drugiej strony pańskie imię i nazwisko zawsze miało dla mnie brzmienie ostre jak topór. Panie i panowie, oto człowiek, który rozśmiesza dwa kontynenty. Miejmy nadzieję, że na stałe wrócił do Niemiec.

Rexowi migotały oczy, gdy raz po raz kłaniał się lekko, nie przestając zacierać rąk. Paradował w imponującym sportowym garniturze pośród niemieckich, źle skrojonych smokingów.

– Zechce pan usiąść – powiedział Albinus.

– Czy ja kiedyś nie poznałam pańskiej siostry? – zapytała Dorianna swym uroczym basem.

– Moja siostra jest w niebie – z powagą odparł Rex.

– Och, jak mi przykro – rzekła Dorianna.

– Nigdy się nie urodziła – dodał Rex, po czym usiadł na krześle obok Margot.

Albinus mile roześmiany znów poblądził ku niej spojrzeniem. W dziwnie dziecięcej pozie, nieco jakby skulona, nachylała się do sąsiadki, Soni Hirsch, kubistki o macierzyńskiej figurze i pospolitych rysach, mówiąc niezwykle szybko, z wilgotnymi oczami, z trzepotem powiek. Widział jej zarumienione uszko, żyłkę na szyi, delikatny cień śródpiersia. Pospiesznie, gorączkowo lała z siebie strumień kompletnych bzdur, przyciskając dłoń do rozpalonego policzka.

– Służący kradną dużo mniej niż służące – trajkotała – chociaż oczywiście nikt by nie ściągnął naprawdę dużego obrazu, a ja dawniej uwielbiałam te duże, z mężczyznami na koniach, no ale jak się ogląda tyle obrazów...

– Fräulein Peters – kojącym tonem rzekł Albinus – oto człowiek, który rozśmiesza dwa...

Margot wzdrygnęła się i raptownie obróciła.

– O, naprawdę? Bardzo mi przyjemnie.

Rex skłonił się i zwracając się do Albinusa spokojnie zauważył:

– Na statku czytałem akurat pańską znakomitą biografię Sebastiano del Piombo. Szkoda tylko, że nie zacytował pan jego sonetów.

– O, są bardzo słabe – odparł Albinus.

– I o to chodzi – stwierdził Rex. – Właśnie dlatego są takie czarujące.

Margot zerwała się z miejsca i szybko, prawie biegiem ruszyła na spotkanie ostatniego gościa – przywiedłej niewiasty, długonogiej i długorękiej, podobnej do oskubanego orła. Była to jej nauczycielka dykcji.

Sonia Hirsch przesiadła się na krzesło Margot i spytała Rexa:

– Jak się panu podobają prace Cummingsa? Mam na myśli jego ostatnie cykle, „Szafoty” i „Fabryki”.

– Nędza – odparł.

Otwarto drzwi jadalni. Panowie zaczęli się rozglądać za swymi partnerkami. Rex wyniośle trzymał się na uboczu. Jego gospodarz z Dorianną uwieszoną u ramienia szukał wzrokiem Margot. Po chwili ujrzał ją na czele procesji: przepychała się między parami, które wchodziły do stołowego.

„Nie najlepiej się dziś popisuje”, pomyślał z niepokojem i oddał swą damę Rexowi.

Nim zaatakowano homary, rozmowa przy tej części stołu, gdzie poczesne miejsca (poniższe nazwiska najlepiej byłoby ułożyć w łuk) zajmowali Dorianna, Rex, Margot, Albinus, Sonia Hirsch i Baum, weszła na pełne obroty, choć nie brzmiała zbyt składnie. Margot opróżniła jednym haustem trzeci kieliszek wina i teraz siedziała na baczność, z błyszczącymi oczami, patrząc prosto przed siebie. Rex nie zwracał uwagi ani na nią, ani na Doriannę, której imię go drażniło, lecz dyskutował z siedzącym naprzeciw niego Baumem, tym pisarzem, o rozmaitych środkach artystycznego wyrazu.

– Na przykład pewien autor – mówił – opowiada o Indiach, których osobiście nigdy nie widziałem, rozwodzi się nad tancerkami, polowaniami na tygrysy, fakirami, betelem, węzami: ot, uroki tajemniczego Wschodu. I co to w sumie daje? Nic. Zamiast wyobrazić sobie Indie, nabawiam się tylko ciężkiego bólu zęba od wszystkich tych wschodnich delicji. A jest przecież inny sposób. Dajmy na to, pisarz powiada: „przed pójściem spać wystawiłem na dwór mokre buty, żeby wyschły, a rano stwierdziłem, że wyrósł na nich gęsty, niebieski las” („Grzyby, proszę pani”, wyjaśnił Doriannie, która uniosła brew), i natychmiast widzę Indie jak żywe. Reszta jest kwestią warsztatu.

– Ci ich jogini robią cudowne rzeczy – powiedziała Dorianna. – Podobno umieją oddychać w taki sposób, że...

– Za pozwoleniem, drogi panie! – zawołał Baum, podekscytowany, niedawno bowiem napisał pięciu set stronicową powieść, której akcja toczyła się na Cejlonie, gdzie przez dwa tygodnie chodził w hełmie korkowym. – Trzeba dokładnie naświetlić sytuację, żeby każdy czytelnik zrozumiał. Liczy się nie książka, którą piszemy, lecz problem, jaki ona stawia – i rozwiązuje. Opisując tropiki, muszę podejść do tematu od najważniejszej strony, a jest nim wyzysk, okrucieństwo białego kolonisty. Gdy pomyśli pan o niezliczonych milionach...

– Nie pomyślę – uciał Rex.

Margot wciąż patrzyła prosto przed siebie, a teraz nagle zachichotała – bez widocznego związku z toczącą się rozmową. Albinus, który właśnie dyskutował z kubistką-mateczką o najnowszej wystawie, zerknął z ukosa na swą młodą kochankę. Tak,

zdecydowanie za dużo piła. Akurat gdy na nią patrzył, pociągnęła łyżeczek z jego własnego kieliszka. „Ależ jest dziecinna!”, pomyślał, dotykając pod stołem jej kolana. Margot znowu zachichotała i rzuciła goździkiem w starego Lamperta, który siedział naprzeciwko.

– Nie wiem, co panowie sądzą o Udo Conradzie – rzekł Albinus, włączając się do sporu. – W moim odczuciu reprezentuje on akurat ten typ autora, subtelnego wizjonera i boskiego stylisty, który mógłby przypaść panu do gustu, Herr Rex, a jeśli mimo to nie jest wielkim pisarzem, to dlatego – i tutaj, Herr Baum, zgadzam się z panem – że gardzi problematyką społeczną, co w obecnej epoce przewrotów socjalnych wydaje się haniebne, a nawet, dodam, grzeszne. Znałem go dobrze w latach studenckich, bo obaj byliśmy w Heidelbergu, a potem też od czasu do czasu się spotykaliśmy. Za jego najlepszą książkę uważam *Sztuczkę ze znikaniem*, której pierwszy rozdział, nawiasem mówiąc, przeczytał nam przy tym stole, a raczej przy innym, podobnym, i...

Po kolacji rozsiedli się wygodnie, palili, popijali likiery. Margot fruwała to tu, to tam, a jeden z pomniejszych poetów łąził za nią jak kudłaty pies. zaproponowała, że wypali mu papierosem dziurę w dłoni, i rzeczywiście zaczęła to robić, on zaś, choć pocił się obficie, dalej się uśmiechał, mały bohater. Rex, który w końcu straszliwie ubliżył Baumowi gdzieś w kącie biblioteki, podszedł do Albinusa i jął opisywać mu pewne widoki Berlina, jakby to było dalekie, malownicze miasto, a przedstawiał je tak udatnie, że Albinus obiecał obejrzeć w jego towarzystwie ten zaułek, tamten most, ów mur dziwacznej barwy...

– Strasznie żałuję – powiedział – że nie możemy wspólnie przystąpić do pracy nad moim pomysłem na film. Z pewnością dokonaliby pan cudów, ale prawdę rzekłszy, nie stać mnie, przynajmniej nie teraz.

W końcu gości porwała ta fala, która zaczyna się od cichego pomruku i wzbiera, aż w wirze spienionych pożegnań wypłucze ich z domu.

Albinus został sam. Powietrze było niebieskie i ciężkie od dymu cygar. Ktoś wylał coś na turecki stolik i mebelek cały się lepił. Uroczysty, lecz trochę słaniający się lokaj („Jak jeszcze raz się upije, to go zwolnię”) otworzył okno i czarna, przejrzysta, mroźna noc wlała się do pokoju.

„W sumie niezbyt udane przyjęcie”, pomyślał Albinus, gdy ziewając, wysupływał się ze smokingu.

Pewien człowiek – rzekł Rex, skręcając wraz z Margot za róg – zgubił raz na szerokim, błękitnym morzu brylantową spinkę do mankietu i dwadzieścia lat później, równo dwadzieścia, co do dnia, a był to widać piątek, jadł wielką rybę, ale nie znalazł w niej brylantu. I to mi się właśnie najbardziej podoba w zbiegach okoliczności.

Margot dreptała obok niego, szczelnie owinięta futrem z fok. Rex złapał ją za łokieć i siłą zatrzymał.

– Nigdy bym nie pomyślał, że jeszcze cię spotkam. Jak się tam dostałaś? Nie wierzyłem własnym oczom, jak mawiał pewien ślepiec. Spójrz na mnie. Nie przysięgłbym, że wyładniałaś, ale i tak mi się podobasz.

Margot nagle zaszlochała i odwróciła się. Pociągnął ją za rękaw, ale odwróciła się jeszcze bardziej. Kręcili się w miejscu.

– Rany boskie, powiedz coś. Gdzie wolisz iść, do mnie czy do siebie? Co się z tobą dzieje?

Uwolniła się od niego i szybko zawróciła w stronę najbliższego rogu. Rex poszedł za nią.

– Co cię napadło? – spytał z najwyższym zdumieniem. Przyspieszyła kroku. Rex znów ją dogonił.

– Chodź ze mną, gąsko – powiedział. – Patrz, mam tu coś... – Wyciągnął portfel.

Natychmiast spoliczkowała go grzbietem dłoni.

– Ten pierścionek na twoim palcu wskazującym jest bardzo ostry – zauważył spokojnie. I dalej szedł za nią, pospiesznie grzebiąc w portfelu.

Margot podbiegła do drzwi domu i otworzyła je z klucza. Rex próbował wcisnąć jej coś w dłoń, ale nagle spojrzał do góry.

– A, więc to jest grane? – powiedział, rozpoznając drzwi, którymi przed chwilą wyszli.

Margot pchnęła je, nie oglądając się za siebie.

– Masz, weź – rzekł szorstko, a ponieważ nie wzięła, wepchnął jej to coś za kołnierz futra. Drzwi byłyby trzasnęły, gdyby nie należały do gatunku opieszających, ze sprężonym powietrzem. Rex postać chwilę, skubiąc dolną wargę, ale wkrótce odszedł.

Margot po omacku dotarła w ciemności na pierwsze półpiętro i już miała pójść dalej, gdy nagle zrobiło jej się słabo. Usiadła na schodku i rozszoła się, jak nigdy w życiu – nawet wtedy, kiedy ją porzucił. Poczuła, że przy szyi coś jej szeleści, i sięgnęła ręką. Natrafiła nią na kawałek szorstkiego papieru. Nacisnęła kontakt, a gdy zapaliło się światło, zobaczyła, że nie banknot trzyma w dłoni, ale rysunek ołówkiem: dziewczyna widziana od tyłu, nagie ramiona, gołe nogi, na łóżku, twarzą do ściany. U dołu była data, najpierw ołówkiem, a potem w tym samym miejscu atramentem – dzień, miesiąc i rok, gdy Rex ją opuścił. To dlatego zabronił jej się oglądać – bo ją rysował! Czyżby naprawdę minęły od tamtej pory tylko dwa lata?

Światło z łoskotem zgasło, a Margot oparła się o kratę windy i znowu wybuchnęła płaczem. Płakała, bo ją wtedy zostawił; bo zataił przed nią swoje nazwisko i renomę; bo gdyby został, mogła być z nim szczęśliwa przez cały ten czas; bo w takim razie nie wpadłaby w ręce dwóm Japończykom, starcowi i Albinusowi. Płakała też dlatego, że przy kolacji Rex dotknął jej prawego kolana, a Albinus lewego – jakby raj był po prawej, a piekło po lewej stronie. Otarła nos rękawem i po omacku, po ciemku znów nacisnęła kontakt. Światło trochę ją uspokoiło. Raz jeszcze obejrzała szkic; pomyślała, że choć tyle dla niej znaczy, niebezpiecznie byłoby go przechowywać; podała arkusz na drobne kawałeczki i wrzuciła je przez kratę do szybu windy. Przypomniało jej to wczesne dzieciństwo. Wyjęła lusterko, szybkim kolistym ruchem upudrowała twarz, napinając górną wargę, z determinacją trzasnęła zamkiem torebki i wbiegła na górę.

– Co tak późno? – spytał Albinus.

Był już w pidżamie.

Z trudem łapiąc oddech, wyjaśniła, że nie mogła się pozbyć von Ivanoffa, bo uparł się odwiedzić ją do domu.

– Ależ mojej pięknej oczy błyszczą – szepnął Albinus. – I jaka jest zmęczona, rozgrzana. Moja piękna piła.

– Nie, daj mi dziś spokój – odparła miękko.

– Króliczku, proszę cię – rzekł błagalnie. – Tak czekałem.

– To jeszcze trochę sobie poczekaj. Przede wszystkim powiedz mi jedną rzecz: zrobiłeś już coś w sprawie rozwodu?

– Rozwodu? – powtórzył, kompletnie zaskoczony.

– Wiesz, Albert, chwilami cię nie rozumiem. Przecież musimy jakoś to wszystko uregulować, prawda? A może chcesz mnie rzucić za jakiś czas i wrócić do swojej Lizzy?

– Rzucić cię?

– Przestań za mną powtarzać, idioto. Nie, nie dotkniesz mnie, póki mi z sensem nie odpowiesz.

– Dobrze – odparł. – W poniedziałek pomówię z adwokatem.

– Na pewno? Obiecujesz?

Axel Rex cieszył się, że znów jest w swej pięknej ojczyźnie. Miał ostatnio kłopoty. Szczęściu, które dawniej tak mu sprzyjało, nie wiedzieć czemu zacięły się zawiasy – a on porzucił je w błocie niczym zepsute auto. No bo choćby ta awantura, kiedy redaktor nie poznał się na jego ostatnim żarcie – w zamyśle autora wcale zresztą nie przeznaczonym do publikacji. W ogóle był to okres pełen awantur. Odegrała tu jakąś rolę bogata stara panna i szemrana („choć bardzo zabawna”, ze smutkiem myślał Rex) transakcja pieniężna oraz raczej jednostronna rozmowa z pewnymi władzami o niepożądanych cudzoziemcach. Ludzie źle go potraktowali, stwierdził, ale z łatwością im wybaczył. Dziwne, że podziwiali jego prace, a zaraz potem próbowali (w paru przypadkach dosyć nawet skutecznie) dać mu w pysk.

A już najgorzej wyglądały finanse. Sława – może niezupełnie światowa, jak wczoraj sugerował ten mdły głupek – przez pewien czas przynosiła mu jednak spory dochód. Teraz zaś, choć nie miał ani określonego zajęcia, ani jasnego wyobrażenia o swej dalszej karierze humorysty w Berlinie, gdzie ludzie po staremu tkwili na poziomie dowcipów o teściowej, wciąż jeszcze byłby przy pieniądzach – gdyby nie żyłka hazardowa.

Skoro od najwcześniejszych lat żywił zamiłowanie do blefu, nic dziwnego, że jego ulubioną grą w karty stał się poker! Rex grał w pokera, gdy tylko udawało mu się znaleźć partnerów; grywał w niego nawet w snach: z postaciami historycznymi lub z jakimś dalekim, dawno zmarłym kuzynem, o którym na jawie nigdy nie pamiętał, albo z ludźmi, którzy – również na jawie – bez ogródek odmówiliby przebywania z nim w jednym pokoju. W każdym takim śnie brał do ręki, stukał kantem o stół i podnosił tuż do oczu pięć kart, które przypadły mu z rozdania, cieszył się na widok czapki i dzwonek dżokera, po czym, ostrożnie przesuwając kciukiem kolejne górne rożki, stwierdzał pomału, że dostał takich dżokerów całą piątkę. „Doskonale”, myślał, nie dziwiąc się ich cudownemu rozmnożeniu, i spokojnie kładł pierwszą stawkę, a Henryk VIII (Holbeina), choć miał tylko cztery królowe, ją podwajał. Potem Rex się budził, wciąż z tą samą pokerową twarzą.

Rano było tak ponuro i mrocznie, że musiał zapalić lampkę nocną. W oknie wisiał brudny tiul. Mogli mu jednak dać lepszy pokój za te pieniądze (których, pomyślał, nigdy może nie zobaczą). Nagle z błogim dreszczem przypomniał sobie dziwne spotkanie z poprzedniego wieczoru.

Na ogół wspominał swe romanse bez szczególnego wzruszenia. Margot była wyjątkiem od tej reguły. Przez ostatnie dwa lata często łapał się na tym, że o niej myśli;

często też wpatrywał się z czymś bardzo podobnym do melancholii w pospieszny szkic ołówkiem sprzed dwudziestu czterech miesięcy; dziwny sentymentalizm, bo Axel Rex był, mówiąc najogólniej, cynikiem.

Kiedy w młodości po raz pierwszy opuścił Niemcy (bardzo szybko, żeby uniknąć wojny), porzucił swą nieszczęsną matkę, kobietę niespełna rozumu, która nazajutrz po jego wyjeździe do Montevideo spadła ze schodów i śmiertelnie się potłukła. W dzieciństwie polewał naftą żywe myszy, podpalał je i patrzył, jak przez parę sekund śmigają niczym płonące meteory. A już tego, co robił kotom, lepiej nie dociekać. W dojrzałych latach, gdy rozwinał się w nim talent artystyczny, Rex próbował subtelniejszymi sposobami sycić swą ciekawość, nie była to bowiem żadna chorobliwa inklinacja z encyklopedii medycznej – o, nic z tych rzeczy – tylko zimna, zdziwiona ciekawość, tylko glosy pisane ręką życia na marginesach prac rysownika. Niezmiernie go bawił widok życia ośmieszonego, gdy bezradnie osuwało się na poziom karykatury. Gardził psotami: wolał, żeby zdarzały się samorzutnie, a on może najwyżej czasem dawał prztyczka – i już kółko turlało się z górki. Uwielbiał zwodzić ludzi, im zaś mniej wymagało to zachodu, tym większą przyjemność sprawiał mu żart. Lecz ilekroć ten niebezpieczny człowiek brał ołówek do ręki, okazywał się doprawdy znakomitym artystą.

Wujek został w domu sam z dziećmi i obiecał przebrać się, żeby je zabawić. Długo czekały, ale się nie pojawiał, zeszyły więc na dół i zobaczyły, że jakiś zamaskowany mężczyzna chowa do torby srebra stołowe.

– Och, wujku! – zawołały z uciechą.

– Prawda, że udał mi się kostium? – odparł wujek, zdejmując maskę. Oto heglowski sylogizm na temat humoru. Teza: wujek przebrał się za włamywacza (dzieci mają zabawę), antyteza: rzeczywiście był to włamywacz (zabawę ma czytelnik), synteza: mimo wszystko był to wujek (a czytelnik został wywiedziony w pole). Taki właśnie metahumor lubił Rex wprowadzać do swoich rysunków, twierdził, że to zupełna nowość.

Pewien wielki malarz, stojąc na wysokim rusztowaniu, zaczął raz cofać się, żeby lepiej obejrzeć dopiero co ukończony fresk. Jeszcze jeden krok do tyłu i byłby runął, a ponieważ ostrzegawczy okrzyk mógłby mieć zgubne skutki, jeden z uczniów wykazał dość przytomności umysłu, aby chlusnąć zawartością wiadra na arcydzieło. Śmiechu warte! O ileż jednak śmieszniejsza stałaby się ta historyjka, jeśliby zachwyconemu mistrzowi pozwolono cofnąć się w nicość – podczas gdy widzowie, nawiasem mówiąc, spodziewaliby się sceny z wiadrem. Sztuka karykatury w rozumieniu Rexa polegała więc (pominąwszy jej syntetyczną, dubeltowo zwodniczą naturę) na kontraście między okrucieństwem a łatwowiernością. Ilekroć zaś w świecie rzeczywistym zdarzało mu się patrzeć z założonymi rękami, jak niewidomy żebrak, spokojnie stukając laską, przymierza się, żeby usiąść na świeżo pomalowanej ławce, było to dlań wyłącznie natchnieniem do kolejnego obrazka.

Lecz reguły te nie dotyczyły uczuć, które wzbudziła w nim Margot. W jej przypadku nawet z artystycznego punktu widzenia malarz brał w Reksie górę nad humorystą. Trochę złościło go, że tak się ucieszył z ponownego z nią spotkania: prawdę rzekłszy, przed dwoma laty porzucił ją tylko dlatego, że bał się zanadto do niej przywiązać.

Przede wszystkim chciał teraz ustalić, czy Margot naprawdę mieszka z Albinusem. Spojrzał na zegarek. Południe. Zajrzał do portfela. Pusty. Ubrał się i poszedł pieszo do domu, w którym spędził poprzedni wieczór. Śnieg padał cicho, monotennie.

Tak się złożyło, że Albinus sam otworzył mu drzwi i w zaśniewanej postaci, którą miał przed sobą, nie od razu rozpoznał wczorajszego gościa. Ale gdy Rêx wytarł buty o słomiankę i podniósł głowę, ukazując twarz, gospodarz bardzo serdecznie go powitał. Zeszłego wieczoru przybysz zrobił na nim wielkie wrażenie, i to nie tylko swym bystrym dowcipem i swobodnym obejściem, lecz także niezwykłą powierzchownością: blade, zapadnięte policzki, grube wargi i dziwne czarne włosy tworzyły w sumie efekt fascynującej brzydoty. Zarazem jednak miło było wspomnieć, że gdy rozmawiali we dwoje o wczorajszym przyjęciu, Margot oświadczyła:

– Ten twój znajomy artysta ma wstrętą gębę. Takiego jak on nie pocałowałabym za żadne skarby.

To, co powiedziała o nim Dorianna, też brzmiało interesująco.

Rex przeprosił, że składa taką nieprotokolarną wizytę, na co Albinus zaśmiał się dobrotliwie.

– Prawdę powiedziawszy – dodał Rex – jest pan w Berlinie jednym z niewielu ludzi, których chciałbym bliżej poznać. W Ameryce mężczyźni zaprzyjaźniają się dużo łatwiej niż tu, więc przywykłem tam pomijać konwenanse. Zechce pan wybaczyć, jeśli pana zaszokuję, ale czy to naprawdę wskazane pozwalać tej wymuskaney lali ze szmatek, żeby pokładała się na kanapie, skoro tuż nad nią wisi Ruysdael? A tak przy okazji, czy mogę dokładniej obejrzeć pańskie obrazy? Ten tutaj jest po prostu nadzwyczajny.

Albinus poprowadził go przez pokoje. W każdym wisiał jakiś znakomity obraz – choć zdarzały się podróbki. Rex patrzył z zachwytem. Nie przysiągłby, czy ten Lorenzo Lotto z Janem w fiołkowej szacie i z zapłakaną Dziewicą jest całkiem autentyczny. Na pewnym etapie swego awanturniczego życia sam trudnił się fałszerstwem i wyprodukował sporo towaru najwyższej jakości. W siedemnastym wieku czuł się najlepiej. Poprzedniego wieczoru zauważył w jadalni starego znajomka, a teraz znów przyjrzał mu się z najwyższą rozkoszą. Obraz namalowany był w najlepszej manierze Baugina: mandolina na szachownicy, rubinowe wino w kieliszku i biały goździk.

– Prawda, jaki nowoczesny? To już właściwie prawie surrealizm – z lubością rzekł Albinus.

– Owszem – przytaknął Rex, trzymając się za nadgarstek, i dalej podziwiał

malowidło. Rzeczywiście było nowoczesne: popełnił je zaledwie przed ośmioma laty.

Potem przeszli korytarzem, w którym wisiał ładny Linard – kwiaty i pawiooka ćma. W tej samej chwili z łazienki wychynęła Margot w jaskrawożółtym szlafroku. Pobieгла wzdłuż przedpokoju, po drodze o mało nie gubiąc pantofla.

– Tutaj proszę – powiedział Albinus, śmiejąc się z zażenowaniem. Rex wszedł za nim do biblioteki.

– Jeśli mnie wzrok nie myli – rzekł z uśmiechem – była to Fräulein Peters. Jest pańską krewną?

„Po co udawać?“, szybko pomyślał Albinus. Tak spostrzegawczego człowieka nie da się omamić – a zresztą, czy nie jest to w sumie dosyć rasowa sytuacja, w subtelnym stylu cyganerii?

– To moja mała kochanka – oświadczył.

Zaprosił gościa, żeby został na obiedzie, a Rex się nie wzbraniał. Margot pojawiła się w jadalni trochę jakby omdlała, ale spokojna: wzburzenie, które zeszłej nocy ledwie zdołała powściągnąć, zmieniło się w coś bardzo podobnego do szczęścia. Siedząc między dwoma mężczyznami, z których każdy miał swój udział w jej życiu, czuła się, jakby grała główną rolę w tajemniczym, namiętnym dramacie filmowym, spróbowała więc zachowywać się stosownie do sytuacji: uśmiechała się z roztargnieniem, spuszczała rzęsy, czule kładła dłoń na rękawie Albinusa, prosząc go, żeby podał owoce, i rzucała przelotne, obojętne spojrzenia na byłego kochanka.

„Nie, nie pozwolę mu znowu się wymknąć, nie ma strachu“, powiedziała sobie nagle, a po krzyżu przebiegł jej rozkoszny, dawno niezaznany dreszcz.

Rex był w rozmownym nastroju. Prócz innych zabawnych historii opowiedział im anegdotę o podpitym Lohengrinie, który spóźnił się na łabędzia i z nadzieją oczekiwał następnego. Albinus serdecznie się uśmieł, ale Rex wiedział (i na tym właśnie polegała ukryta puenta), że gospodarz rozumie dowcip tylko w połowie, natomiast Margot zna drugą połowę i właśnie dlatego zagryzła usta. Podczas rozmowy prawie na nią nie patrzył. Ilekroć mu się to zdarzało, natychmiast spuszczała oczy, spoglądając na tę czy inną część swojej garderoby, o którą w przelocie zahaczył wzrokiem, i bezwiednie ją poprawiała.

– A niebawem – rzekł Albinus, mrugając znacząco – pewną naszą wspólną znajomą ujrzymy na ekranie.

Margot nadaśała się i lekko trzepnęła go po ręce.

– Jest pani aktorką? – spytał Rex. – Naprawdę? A czy wolno mi spytać, w jakim filmie pani występuje?

Odpowiedziała, nie patrząc na niego, bardzo z siebie dumna. Był sławnym artystą, a ona gwiazdą filmową. Dorównała mu.

Rex wyszedł zaraz po obiedzie, pomyślał chwilę, co dalej robić, i wstąpił do małego kasyna. W kartach wyszedł mu poker (po raz pierwszy od wieków), co trochę podreperowało jego finanse. Nazajutrz Rex zadzwonił do Albinusa i wybrali się razem na wystawę arcynowoczesnego malarstwa. Dzień później zjadł u niego kolację. Potem złożył niezapowiedzianą wizytę, ale nie zastał Margot, musiał więc wytrzymać przydługą i wysoce intelektualną rozmowę z Albinusem, który zaczynał już ogromnie go lubić. Rex był coraz bardziej zirytowany. W końcu jednak los ulitował się nad nim, a okazji do tego dobrego uczynku nastąpił mecz hokejowy w Pałacu Sportów.

Kiedy we troje zmierzali do swej łoży, Albinus spostrzegł ramiona Paula i jasny warkocz Army. Coś podobnego prędzej czy później musiało się zdarzyć, lecz choć był niby w każdej chwili przygotowany na takie spotkanie, kompletnie go ono zaskoczyło, aż zawrócił niezdarnie, mocno uderzając Margot w bok.

– Patrz, co wyprawiasz, ty – rzekła nieprzyjaźnie.

– Rozgośćcie się i zamówcie kawę – odparł. – Ja muszę... eee... zatelefonować. Całkiem wyleciało mi z głowy.

– Proszę cię, nie idź – zaprotestowała Margot, wstając z miejsca.

– Kiedy to pilne – powiedział, garbiąc się, żeby jak najbardziej się skulić (czy Irma go widziała?). – Gdybym dłużej zabawił, nie martwcie się. Zechce pan wybaczyć, Rex.

– Proszę cię, zostań – bardzo cicho powtórzyła Margot. On jednak nie zauważył jej dziwnego spojrzenia, zarumienionych policzków ani drżących ust. Zupełnie już zgarbiony pospieszył do wyjścia.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Rex głośno westchnął.

– *Enfin seuls* – rzekł ponuro.

Siedzieli obok siebie w drogiej łoży przy stoliczku nakrytym śnieżnobiałym obrusem. Niżej, tuż pod barierą, rozciągała się ogromna tafla lodu. Orkiestra grała cyrkowego marsza, aż dudniło. Puste lodowisko miało tłusty, niebieski połysk. Powietrze było gorące, a zarazem zimne.

– Teraz rozumiesz? – spytała nagle Margot, nie bardzo wiedząc, o co właściwie pyta.

Rex miał już odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili grzmot oklasków rozniósł się echem po ogromnej hali. Mężczyzna ścisnął pod stołem gorące, drobne palce Margot. Poczowała, że w oczach wzbierają jej łzy, ale nie cofnęła dłoni.

Dziewczyna w białych raj tuzach i srebrzystej, króciutkiej spódniczce z puszystym rąbkiem nadbiegła po lodzie na czubkach łyżew, nabrawszy rozpędu, zakreśliła uroczy łuk, dała susa, zrobiła zwrot i znowu pomknęła ślizgiem.

Jej lśniące łyżwy migotały jak błyskawice, gdy tak krążyła i tańczyła, z bolesnym impetem tnąc lód.

– Rzuciłeś mnie – zaczęła Margot.

– Tak, ale przecież w te pędy z powrotem do ciebie przybiegłem, prawda? Nie płacz, mała. Dawno z nim jesteś?

Chciała coś powiedzieć, lecz hałas znowu wypełnił wielki harmider. Lodowisko ponownie opustoszało. Margot oparła łokcie o stół i przycisnęła dłonie do skroni.

Wśród gwizdów, oklasków i ogólnego zgiełku zawodnicy bez pośpiechu sunęli po lodzie – najpierw Szwedzi, a za nimi Niemcy. Bramkarz gości w kolorowym swetrze, w potężnych ochraniaczach sięgających od podbicia stóp aż do bioder wolno jechał w stronę swojej małej bramki.

– On zmusi ją, żeby z nim się rozwiodła. Rozumiesz, jak bardzo nie w porę zachciało ci się wrócić?

– Bzdura. Naprawdę wierzysz, że się z tobą ożeni?

– Jeżeli wszystko popsujesz, to się nie ożeni.

– Nie, Margot, nie ożeni się z tobą w żadnym razie.

– A ja ci mówię, że się ożeni.

Ich usta wciąż się poruszały, ale trwający wokoło hałas zagłuszył tę spieszoną sprzeczkę. Podniecony tłum ryczał, gdy zwinne kije ścigały krążek po lodzie, uderzały go, zahaczały, podawały dalej, chybiały i zderzały się w raptownych kolizjach. Płynnym ruchem przesuając się na swojej pozycji, to w prawo, to w lewo, bramkarz trzymał nogi złączone, tworząc z ochraniaczy szeroką tarczę.

– ...straszne, że wróciłeś. Przy nim jesteś żebrakiem. Mój Boże, teraz już wiem, że wszystko popsujesz.

– Bzdura, bzdura, będziemy bardzo ostrożni.

– Zaraz zwariuję – powiedziała Margot. – Wyprowadź mnie z tego reju. Chodźmy stąd. Jestem pewna, że on teraz nie wróci, a jeśli nawet, to będzie miał nauczkę.

– Chodźmy do mnie. Musisz ze mną pójść. Nie bądź głupia. Pospieszmy się. Za godzinę wrócisz do domu.

– Zamknij się. Nie mam zamiaru ryzykować. Urabiam go od miesiąca i właśnie dojrzał. Naprawdę ci się zdaje, że teraz machnę na wszystko ręką?

– Nie ożeni się z tobą – z przekonaniem powtórzył Rex.

– Odwieszysz mnie wreszcie do domu czy nie? – spytała, prawie krzyżąc, a przez głowę przemknęła jej myśl: „Pozwolę mu się pocałować w taksówce”.

– Jeszcze chwila. Powiedz, skąd wiesz, że jestem bez grosza?

– Poznać po twoich oczach – odparła i zaraz zatkała sobie uszy, bo zgiełk doszedł do zenitu: padła bramka, szwedzki bramkarz leżał na brzuchu, a kij, który wytrącono mu z ręki, wirując odjeżdżał coraz dalej po lodzie, niczym zgubione wiosło.

– Słuchaj, nie ma sensu tego odkładać, szkoda czasu i tyle. Prędej czy później i tak się stanie. Chodź. Z mojego okna jest ładny widok przy spuszczonej rolecie.

– Jeszcze słowo i sama pojedę do domu.

Kiedy po pomoście na tyłach łóż szli do wyjścia, Margot wzdrygnęła się nagle i zmarszczyła. Pulchny jegomość w okularach w rogowej oprawie patrzył na nią ze wstrętem. Obok niego siedziała mała dziewczynka, która przez wielką lornetkę śledziła przebieg meczu.

– Obejrzyj się – warknęła Margot do swego towarzysza. – Widzisz tego grubasa z dzieckiem? To jego szwagier i córka. Teraz już rozumiem, dlaczego mój robał gdzieś się poczołgał. Szkoda, że ich wcześniej nie zauważyłam. Ten gość strasznie po chamsku się kiedyś wobec mnie zachował, więc nie miałabym nic przeciwko temu, żeby mu ktoś zdrowo złoił skórę.

– I jeszcze mi tu opowiadasz o dzwonach weselnych – skomentował to Rex, schodząc obok niej po szerokich, wyściełanych stopniach. – On się z tobą nigdy nie ożeni. Wiesz, moja droga, mam nową propozycję. Tym razem chyba nie do odrzucenia.

– Co takiego? – spytała podejrzliwie.

– Zawiozę cię do domu, zgoda, ale sama będziesz musiała zapłacić za taksówkę, moja miła.

Paul patrzył w ślad za nią, a widoczne nad jego kołnierzem fałdy tłuszczu przybrały kolor buraków. Mimo całej swej dobroduszości chętnie byłby zrobił Margot właśnie to, czego ona mu życzyła. Zastanawiał się, kim może być jej towarzysz i gdzie się podział Albinus, nie wątpił, że pan ten jest gdzieś w pobliżu, a myśl, iż dziecko może go nagle zobaczyć, wydawała się nieznośna. Odetchnął, kiedy zabrzmiał gwizdek i można było nareszcie wymknąć się wraz z Irmą.

Wrócili do domu. Mała wyglądała na zmęczoną, a gdy matka zaczęła ją wypytywać o mecz, tylko skinęła głową, z tym lekkim, tajemniczym uśmiechem, który był jej najbardziej uroczym rysem.

– To niesamowite, jak oni śmigają po lodzie – rzekł Paul. Elisabeth spojrzała nań z namysłem i zwróciła się do córki:

– Pora spać, pora spać.

– Oj, jeszcze nie – sennym tonem poprosiła Irma.

– Boże, już prawie północ, nigdy dotąd tak długo się nie zasiedziałaś.

– Powiedz mi, Paul – rzekła Elisabeth, kiedy mała leżała już opatulona. – Czuję, że coś się stało. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, kiedy was nie było. Paul, powiedz mi!

– Ale ja nie mam nic do powiedzenia – odparł, straszliwie się czerwieniąc.

– Nikogo nie spotkaliście? – zaryzykowała. – Na pewno?

– Skąd ci to przyszło do głowy? – mruknął, do głębi zdetonowany niemal telepatyczną wrażliwością, której nabyła Elisabeth od czasu, gdy rozstała się z mężem.

– Zawsze się tego boję – szepnęła, wolno pochylając głowę.

Nazajutrz rano zbudziła ją niania, która z termometrem w ręku weszła do sypialni.

– Irma jest chora, proszę pani – oznajmiła dziarsko. – Ma prawie czterdzieści stopni.

– Czterdzieści stopni – jak echo powtórzyła Elisabeth i nagle pomyślała: „To dlatego byłam wczoraj taka niespokojna”.

Wyskoczyła z łóżka i pomknęła do pokoju dziecinnego. Irma leżała na wznak, z błyszczącymi oczami utkwionymi w suficie.

– Rybak i łódka – powiedziała, wskazując palcem sufit, na który promienie lampki

nocnej rzucały coś w rodzaju wzoru. Było jeszcze bardzo wcześnie, padał śnieg.

– Boli cię gardziółko, myszko? – spytała Elisabeth, szamocząc się jeszcze ze szlafrokiem. Pełna niepokoju pochyliła się nad twarzyczką dziecka, której rysy od wczoraj jakby się wyostrzyły.

– Mój Boże, jakie gorące ma czoło! – zawołała, odgarniając z czoła Army cienkie, jasne włosy.

– I jedna, dwie, trzy, cztery trzciny – cicho powiedziała dziewczynka, nie odrywając wzroku od sufitu.

– Zadzwońmy po doktora – zarządziła Elisabeth.

– O, nie trzeba, proszę pani – rzekła niania. – Dam jej gorącej herbaty z cytryną i pyszną aspirynkę. Wszyscy teraz zagrypieni.

Elisabeth zapukała do Paula. Właśnie się golił, więc z namydlonymi policzkami wszedł do pokoju Army. Często się zaciął przy goleniu, nawet żyłką, i teraz także przez pianę na podbródku przesiąkała mu jaskrawoczerwona plama.

– Truskawki z bitą śmietaną – cicho rzekła Irma, gdy nad nią się pochylił.

Lekarz przyjechał pod wieczór, usiadł na brzegu jej łóżka i utkwivszy spojrzenie w kącie pokoju, zaczął mierzyć puls. Irma kontemplowała siwe włosy w zagłębieniu jego zawilego ucha i żyłkę w kształcie litery W na różowej skroni.

– Dobrze – stwierdził, patrząc na nią znad okularów. Kazał małej usiąść, a Elisabeth podciągnęła jej koszulkę. Irma była bardzo blada i chuda, sterczały jej łopatki. Lekarz przyłożył stetoskop do pleców chorej dziewczynki, głęboko oddychając, i poprosił, żeby ona też oddychała.

– Dobrze – powtórzył.

Popukał ją tu i tam po klatce piersiowej i lodowatymi palcami pougniatał brzuch. Wreszcie wstał, poklepał Irmę po głowie, umył ręce i spuścił mankiety, a Elisabeth zaprowadziła go do gabinetu, gdzie usiadł wygodnie, odkręcił wieczne pióro i wypisał receptę.

– Tak – powiedział. – Grypa szaleje. Wczoraj odwołano recital, bo zachorowała i śpiewaczka, i akompaniator.

Nazajutrz rano Irmie wyraźnie spadła temperatura. Za to Paul był w kiepskiej formie, świstało mu w płucach i co chwila wydmuchiwał nos, ale powiedział, że w żadnym razie się nie położy, i nawet poszedł do biura, tak jak co dzień. Fräulein też siąkała nosem.

Kiedy wieczorem Elisabeth wyjęła córce spod pachy ciepłą szklaną rurkę, z radością ujrzała, że rtęć ledwie przekracza czerwoną linię gorączki. Irma zamrugowała, bo

raziło ją światło, i odwróciła się twarzą do ściany. W pokoju znów zapanowała ciemność. Było ciepło, przytulnie i trochę absurdalnie. Mała niebawem zasnęła, ale w środku nocy zbudził ją jakiś sen, przykry w bliżej nieokreślony sposób. Chciało jej się pić, więc po omacku odnalazła na szafce nocnej lepką szklankę lemoniady, opróżniła ją i starannie odstawiała na miejsce, lekko mlaskając.

Wydawało jej się, że w pokoju jest ciemniej niż zwykle. Za ścianą zawzięcie, nieomal ekstatycznie chrapała niania. Irma przez chwilę wsłuchiwała się w te odgłosy, a potem zaczęła czekać, aż rozlegnie się przyjazny turkot elektrycznej kolejki, która tuż obok ich domu wyjeżdżała z podziemnego tunelu. Ale jakoś się nie rozległ. Może było już za późno i pociągi przestały jeździć. Irma leżała z szeroko otwartymi oczami. Nagle usłyszała z ulicy znajomy gwizd, melodię na czterech dźwiękach. Właśnie tak gwizdał jej ojciec, kiedy przychodził do domu – dawał znak, że za chwilę będzie z nimi, więc można już podawać kolację. Doskonale wiedziała, że to nie on, tylko ten mężczyzna, co od dwóch tygodni odwiedza panią z czwartego piętra – córeczka dozorczy powiedziała jej o tym, a potem wywalila język, kiedy Irma całkiem rozsądnie stwierdziła, że to głupota przychodzić tak późno. Wiedziała też, że nie wolno jej głośno wspominać o ojcu, który mieszka ze swoją małą przyjaciółką: tyle zrozumiała z rozmowy dwóch pań, idąc za nimi na dół po schodach.

Znów zabrzmiał gwizd pod oknem. „Kto wie? – pomyślała Irma. – Może to jednak ojciec? I nikt go nie wpuści; może naumyślnie mi powiedzieli, że to ktoś obcy?”

Odrzuciła kołdrę i na palcach podeszła do okna. Po drodze potrafiła krzesło i coś miękkiego (jej słoń) zadudniło i pisnęło, spadając na podłogę; ale Fräulein dalej beztrząsco chrapała. Irma otworzyła okno i do pokoju wtargnął rozkoszny podmuch lodowatego powietrza. Na ciemnej ulicy ktoś stał i z zadartą głową patrzył na dom. Długo mu się przyglądała, lecz ku jej głębokiemu rozczarowaniu nie był to ojciec. Nieznajomy stał jak wrośnięty. W końcu odwrócił się i wolno odszedł. Irmie zrobiło się go żal. Tak zdrętwiała z zimna, że ledwo zdołała zamknąć okno, a kiedy wróciła do łóżka, nie mogła się rozgrzać. Wreszcie jednak zasnęła i śniło jej się, że gra z ojcem w hokeja. Ojciec się śmiał, a potem się pośliznął i siadł na pupie, aż zgubił cylinder, a Irma też klapnęła na lód. Był strasznie zimny, ale nie mogła wstać, a jej kij hokejowy odmaszerował jak gąsienica miernikowca.

Nazajutrz miała czterdzieści stopni gorączki, siną twarz i skarżyła się, że boli ją w boku. Natychmiast wezwano lekarza.

Tętno pacjentki wynosiło sto dwadzieścia, przy opukiwaniu klatki piersiowej nad bolesnym miejscem stwierdzono stłumienie, a osłuchiowaniem – drobne trzeszczenia. Lekarz zalecił bańki, fenacetynę i środek uspokajający. Elisabeth poczuła nagle, że oszaleje, że po tym wszystkim, co już się stało, los po prostu nie ma prawa tak nad nią się pastwić. Z wielkim trudem wzięła się w garść, żegnając się z lekarzem. Nim wyszedł, pobieżnie zbadał jeszcze nianię, która też miała wysoką gorączkę, lecz w przypadku tej

energicznej kobiety nie było powodu do obaw.

Paul odprowadził go do przedpokoju i ochryłym głosem, próbując mimo przeziębienia mówić szeptem, spytał, czy stan chorej jest groźny.

– Jeszcze raz dziś do niej zajrzę – pomału odparł lekarz. „Wiecznie to samo – myślał stary Lampert, schodząc na dół. – Wiecznie te same pytania, te same błagalne spojrzenia”. Sprawdził coś w notesie, wśliznął się do auta i siadając za kierownicą, zatrzasnął drzwiczki. Pięć minut później wchodził do innego domu.

Albinus przyjął go w ciepłej bonzurce z jedwabnym szamerunkiem, którą wkładał, ilekroć zamierzał pracować w gabinecie.

– Od wczoraj nie najlepiej się czuje – rzekł z niepokojem. – Skarży się, że wszystko ją boli.

– A temperatura? – spytał Lampert, zastanawiając się, czy powinien zawiadomić tego przejętego kochanka, że jego córka ma zapalenie płuc.

– Nie, i w tym właśnie cały szkopuł: najwyraźniej nie ma temperatury – powiedział Albinus z paniką w głosie.

– A podobno grypa bez objawów gorączki jest szczególnie niebezpieczna.

(„Właściwie dlaczego miałbym mu mówić? – pomyślał Lampert. – Bez skrupułów porzucił rodzinę. Sami mu powiedzą, jeśli zechcą, Co się będę wtrącał?”).

– No cóż – westchnął. – Rzućmy okiem na naszą czarującą inwalidkę.

Margot leżała na kanapie, naburmuszona i zarumieniona, spowita jedwabnym szlafrokiem z mnóstwem koronek.

Obok siedział Rex, założywszy nogę na nogę, i na denku pudełka od papierosów szkicował uroczą główkę chorej.

(„Prześliczna istota, bez dwóch zdań – pomyślał Lampert. – Ale trudno zaprzeczyć, że trochę źmijowata”).

Rex, pogwizdując, wyszedł do sąsiedniego pokoju. Albinus kręcił się w pobliżu. Lampert zaczął badać pacjentkę. Lekkie przeziębienie, to wszystko.

– Proszę przez dwa, trzy dni nie wychodzić z domu – poradził. – A tak przy okazji, jak tam film? Gotów?

– Tak, dzięki Bogu – odparła Margot, rozleniwionym gestem poprawiając na sobie szlafrok. – A w przyszłym miesiącu ma być prywatny pokaz. Muszę do tej pory wyzdrowieć, żeby tam nie wiem co.

(„A w dodatku – bez wyraźnego związku pomyślał Lampert – ta mała dziwka zupełnie go zniszczy”).

Po wyjściu lekarza Rex znów usiadł przy Margot i dalej szkicował od niechcenia, pogwizdując przez zęby. Albinus na chwilę stanął nad nim i z przechyloną głową śledził rytmiczne ruchy kościstej białej dłoni. Potem wrócił do gabinetu, żeby dokończyć artykuł o pewnej głośnej wystawie.

– W sumie miło być przyjacielem domu – rzekł Rex, parszając śmiechem.

Margot spojrzała na niego i gniewnie powiedziała:

– Tak, kocham cię, ty paskudo – ale nic z tego, sam wiesz.

Obrócił w palcach pudełko, a potem rzucił je na stół, aż zawiroowało po blacie.

– Słuchaj, moja droga, któregoś dnia musimy do mnie pójść, nie ma rady. Każda wizyta w tym domu to oczywiście rozkosz i w ogóle, ale pomału mi się przejada ten rodzaj uciech.

– Po pierwsze, nie krzycz. Koniecznie chcesz, żebyśmy palnęli jakąś idiotyczną nieostrożność. On przy byle prowokacji, byle podejrzeniu zabije mnie albo wyrzuci, a wtedy ty i ja zostaniemy bez grosza.

– Zabije cię – zachichotał Rex. – Dobrze sobie.

– Błagam cię, zaczekaj jeszcze trochę. Nie rozumiesz? Jak już się ze mną ożeni, będę mniej nerwowa i swobodniejsza. Żony nie tak łatwo się pozbyć. A jeszcze ten film. Mam różne plany.

– Film – znów zaśmiał się Rex.

– Tak, sam zobaczysz. Jestem pewna, że to będzie szlagier. Musimy poczekać. Niecierpliwie się tak samo jak ty, kochany.

Usiadł na brzegu kanapy i objął Margot, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Nie, nie – powiedziała, drżąc i przymykając już oczy.

– Tylko jeden maleńki całusek.

– Całkiem maleńki – rzekła zdławionym głosem. Pochylił się nad nią, lecz równocześnie gdzieś w oddali stuknęły drzwi i usłyszeli zbliżające się kroki Albinusa: dywan, podłoga, dywan, znowu podłoga.

Rex miał już wstać, ale w tej samej chwili zauważył, że jeden guzik marynarki uwiązał mu w koronkach na ramieniu Margot. Dziewczyna spróbowała szybko go wyplątać. Rex targnął koronkami, lecz nie puściły. Margot stęknęła ze zgrozą, szarpiąc supeł ostrymi, lśniącymi paznokciami. W tym momencie do pokoju wpadł Albinus.

– Nie, wcale nie ściskam Fräulein Peters – z zimną krwią oświadczył Rex. – Tylko pomagałem jej wygodniej się ułożyć i zaplątałem się, rozumie pan.

Margot wciąż szamotała się z supłem, spuściwszy rzęsy. Sytuacja była farsowa do

potęgi, a Rex świetnie się nią bawił.

Albinus w milczeniu wyciągnął z kieszeni opasły scyzoryk z tuzinem ostrzy i otworzył, jak się okazało, pilniczek. Spróbował jeszcze raz i złamał sobie paznokieć. Burleska ładnie się rozwijała.

– Na miłość boską, proszę jej nie dźgać – z ekstazą w głosie rzekł Rex.

– Ręce precz – powiedział Albinus, ale Margot wrzasnęła:

– Nie waż się ciąć koronek, odetnij guzik!

– Nie! To mój guzik! – ryknął Rex.

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby obaj mężczyźni mieli zaraz się na nią przewrócić. Rex szarpnął się po raz ostatni, coś strzeliło – i oto był wolny.

– Proszę ze mną do gabinetu – rzekł doń Albinus mrocznym tonem.

„Bądźmy teraz sprytni”, pomyślał Rex; i przypomniał sobie pewien zwód, którym już raz w przeszłości zmylił rywala.

– Proszę siadać – powiedział Albinus, srodze zmarszczony. – Chcę panu powiedzieć coś ważnego. Chodzi o wystawę Białych Kruków. Zastanawiałem się, czy nie zechciałyby mi pan pomóc. Widzi pan, właśnie kończę dosyć zaangażowany i, co tu kryć, subtelny artykuł, w którym paru wystawcom nieźle się ode mnie dostaje.

(„Oho! – pomyślał Rex. – To stąd ta grobowa mina. Zasepienie uczonego umysłu? Męki natchnienia? Pysznie”).

– Otóż chciałbym prosić – ciągnął Albinus – żeby pan zilustrował mój tekst, wtrącając weń małe karykaturki, które uwydatniałyby to, co krytykuję, ośmieszałyby zarówno kolor, jak i kreskę. Coś w tym rodzaju zrobił pan kiedyś z Barcelą.

– Jestem do dyspozycji – oświadczył Rex. – Ale ja także mam małą prośbę. Pewnie się pan domyśla: czekam na różne honoraria i trochę mi brak gotówki. Mógłbym dostać zaliczkę? Drobiazg – powiedzmy, z pięćset marek.

– Ależ oczywiście. Choćby i więcej, jeśli trzeba. Zresztą i tak musi pan sam określić swoje honorarium za te rysunki.

– Czy to katalog? – spytał Rex. – Mogę rzucić okiem? Dziewczynki, dziewczynki, dziewczynki – ciągnął z wyraźnym obrzydzeniem, oglądając reprodukcje. – Kwadratowe dziewczynki, skośne dziewczynki, dziewczynki ze słoniowacizną...

– A czemu – chytrze zapytał Albinus – tak pana nudzi widok dziewczynek?

Rex całkiem szczerze mu wyjaśnił.

– No cóż, to chyba wyłącznie kwestia gustu – odparł Albinus, który szczyił się swą wyrozumiałością. – Oczywiście nie potępiam pana. Jest to skłonność dość powszechna,

jak sędę, wśród mężczyzn o artystycznym usposobieniu. U sklepikarza bym się nią brzydził, ale u malarza wygląda ona całkiem inaczej, właściwie dość sympatycznie i romantycznie, w tym sensie, że „romans” wywodzi się z „Romy”. Niemniej jednak – dodał – wiele pan traci, zapewniam.

– Nie, piękne dzięki. Kobieta jest dla mnie tylko nieszkodliwym ssakiem albo miłą koleżanką – niezbyt często.

Albinus roześmiał się.

– Skoro mówi pan o tym tak otwarcie, pozwolę sobie też coś panu wyznać. Karenina, ta aktorka, ujrzawszy pana, z miejsca nabrała pewności, że nie interesuje się pan słabą płcią.

(„O, doprawdy?”, pomyślał Rex).

Minęło kilka dni. Margot wciąż nie mogła zgubić kaszlu, a ponieważ ogromnie przejmowała się własnym zdrowiem, siedziała w domu i z braku zajęcia – bo czytanie nie było jej mocną stroną – zabawiała się w sposób, który doradził Rex: leżąc wygodnie w kolorowym chaosie poduszek, wertowała książkę telefoniczną i dzwoniła do różnych nieznanomych osób, sklepów i firm. Zamawiała wózki dzieciinne, lilie i radia, każąc je wysyłać pod wybrane na chybił trafił adresy; robiła durni z szacownych obywateli i radziła ich żonom, żeby były mniej łatwowierne; po dziesięć razy z rzędu wykręcała ten sam numer, doprowadzając do rozpaczy spółkę Traum, Baum i Käsebier. W zamian wysłuchiwała cudownych wyznań miłosnych i jeszcze cudowniejszych klątw. Albinus wszedł i przystanął, patrząc na nią z tklwym uśmiechem, gdy zamawiała trumnę dla niejakiej Frau Kirchhof. Kimono miała rozchylone i ze złośliwą uciechą wierzgała stopkami, zasłuchana, wodząc po pokoju spojrzeniem podłużnych oczu. Albinus stał nieco z boku, namiętnie rozczulony, i bał się podejść, żeby nie zepsuć jej przyjemności.

A Margot właśnie opowiadała profesorowi Grimmowi całe swoje życie i błagała, żeby spotkał się z nią o północy, podczas gdy on na drugim końcu drutu wiódł sam ze sobą bolesny i ważki spór, czy jej zaproszenie to zwykły psikus, czy też zawdzięcza je swej sławie ichtiologa.

Wobec tych telefonicznych figli trudno się dziwić, że Paul już od pół godziny daremnie próbował się dodzwonić do Albinusa. Co chwila wykręcał jego numer i za każdym razem odpowiadał mu ten sam nieubłagany brzęczyk.

W końcu Paul wstał, dostał zawrotu głowy i ociężale usiadł z powrotem. Nie spał od dwóch dni; był chory, wstrząsała nim rozpacz, miał jednak sprawę do załatwienia i postanowił ją załatwić. Uporczywy sygnał w słuchawce sugerował, że los za wszelką cenę chce pokrzyżować mu plany, ale Paul się zawiązał: skoro nie może dopiąć swego tą drogą, poszuka innej.

Poszedł na palcach do pokoju dzieciennego, w którym było ciemno i – pomimo obecności kilku osób – bardzo cicho. Zobaczył od tyłu głowę siostry, grzebień w jej włosach i wełnianą chustę na ramionach, zawrócił z nagłą determinacją, wyszedł do hallu, wciągnął palto (jęcząc i tłumiąc szloch) i wyruszył po Albinusa.

– Proszę czekać – polecił taksówkarzowi, wysiadając przed znajomym już domem.

Akurat popychał drzwi wejściowe, gdy żwawym krokiem dogonił go Rex. Weszli równocześnie. Spojrzeli na siebie – i rozległ się gromki aplauz, bo krążek wpadł do

bramki Szwedów.

– Zamierza pan odwiedzić Herr Albinusa? – posępnie spytał Paul.

Rex uśmiechnął się i skinął głową.

– Wobec tego pozwolę sobie poinformować pana, że Herr Albinus nie będzie w najbliższym czasie przyjmował gości. Jestem bratem jego żony i mam dla niego bardzo złą nowinę.

– Chciałby pan może powierzyć mi jej przekazanie? – uprzejmie zapytał Rex.

Paul miał krótki oddech. Przystanął na pierwszym podeście. Pochylił głowę jak byk i spojrzał na Rexa, ten zaś ciekawie, wyczekująco wpatrywał się w jego obrzmiałą twarz z widocznymi śladami łez.

– Radziłbym panu odłożyć na później tę wizytę – rzekł Paul, ciężko dysząc. – Córeczka mojego szwagra umiera. – Ruszył dalej po schodach, a Rex w milczeniu poszedł jego śladem.

Słyszając za sobą impertynenckie stąpanie, Paul poczuł, jak krew uderza mu do głowy, bał się jednak, że z powodu astmy będzie musiał zwolnić kroku, więc się opanował. Kiedy stanęli przed drzwiami mieszkania, znów zwrócił się do Rexa:

– Nie wiem, kim ani czym pan jest, ale nie potrafię zrozumieć pańskiego uporu.

– O, nazywam się Axel Rex i całkiem się tu już zadomowiłem – przyjaźnie odparł zagadnięty, wyciągając długi, biały palec i naciskając guzik dzwonka.

„Czy powinienem go uderzyć?“, pomyślał Paul i zaraz sobie odpowiedział: „Jakie to ma teraz znaczenie?... Grunt, żeby szybko załatwić sprawę”.

Wpuścił ich niski, szpakowaty lokaj (angielskiego lorda tymczasem wylano).

– Powiedz panu – z westchnieniem rzekł Rex – że ten jegomość chciałby...

– Milcz! – zawołał Paul i stojąc na środku hallu, krzyknął co sił w płucach:

– Albercie! – I jeszcze raz:

– Albercie!

Ujrzawszy zniekształconą grymasem twarz szwagra, Albinus niezdarnie rzucił się w jego stronę, pośliznął się i stanął jak wryty.

– Irma jest ciężko chora – oświadczył Paul, waląc laską w podłogę. – Jedź ze mną natychmiast.

Zapadła krótka cisza. Rex wlepił w nich obu zachłanne spojrzenie. Nagle w salonie zadźwięczał przenikliwy głos Margot:

– Albert, mam z tobą do pomówienia.

– Już idę – wyjąkał Albinus i pospieszył do salonu. Margot stała z rękami założonymi na piersi.

– Moja córeczka jest ciężko chora – rzekł Albinus. – Zaraz do niej jadę.

– Oni cię okłamują – gniewnie zawołała Margot. – To pułapka, chcą cię z powrotem zwabić.

– Margot... na miłość boską! Chwyliła go za rękę:

– A jakbym tak z tobą pojechała?

– Margot, dość już tego! Musisz zrozumieć... Gdzie moja zapalniczka? Gdzie moja zapalniczka? On na mnie czeka.

– Robią z ciebie głupka. Nie puszcę cię.

– Czekają na mnie – wyjąkał Albinus, wytrzeszczając oczy.

– Jeżeli się ośmielisz...

Paul stał w hallu, wciąż w tej samej pozycji, szturchając laską podłogę. Rex wyjął z kieszeni emaliowane pudełko. Z salonu dobiegały podniecone krzyki. Rex poczęstował Paula tabletkami od kaszlu. Paul, nie patrząc, odepchnął go łokciem, aż słodkie pigułki się rozsypały. Rex parsknął śmiechem. I znów te podniecone głosy.

– Upiorna historia – mruknął Paul i wyszedł z mieszkania. Drżały mu policzki, gdy schodził na dół.

– No i co? – szeptem spytała Fräulein, kiedy wrócił.

– Nie, nie przyjdzie – odparł. Na chwilę zakrył oczy dłonią, odchrząknął i tak jak przedtem wszedł na palcach do pokoju dziecinnego.

Nic się tam nie zmieniło. Irma leżała na wznak i bezszelestnie, rytmicznie rzucała głową to w prawo, to w lewo. Jej przymknięte oczy były zmętniałe; co chwila wstrząsała nią czkawka. Elisabeth przyglądała pościel mechanicznym, bezsensownym gestem. Ze stołu spadła łyżka, a jej delikatny brzęk jeszcze długo dźwięczał w uszach wszystkim obecnym. Wynajęta pielęgniarka zmierzyła małej puls, zamrugła oczami i ostrożnie odłożyła na kołdrę drobną rączkę, jakby się bała, że ją uszkodzi.

– Może chce jej się pić? – szepnęła Elisabeth.

Pielęgniarka przecząco pokręciła głową. Ktoś cichutko zakasłał. Irma miotła się w pościeli, podciągnęła nogę, unosząc wątłe kolano, a potem bardzo wolno ją wyprostowała.

Skrzypnęły drzwi, weszła Fräulein i szepnęła coś Paulowi na ucho. Paul skinął głową i niania wyszła. Drzwi znowu skrzypnęły; ale Elisabeth nie obejrzała się za siebie...

Mężczyzna, który wszedł do pokoju, przystanął dwa kroki od łóżka. W półmroku ledwie rozróżniał jasne włosy i chustę żony, natomiast z bolesną wyrazistością widział

twarz Irmy – jej małe czarne nozdrza i żółtawy połysk wypukłego czoła. Długo tak stał, a potem bardzo szeroko otworzył usta i ktoś (jego daleki kuzyn) złapał go od tyłu pod pachy.

Po pewnym czasie stwierdził, że siedzi w gabinecie Paula. Na kanapie w rogu zasiadły dwie panie, których nazwisk nie pamiętał, i rozmawiały półgłosem; miał przedziwne wrażenie, że gdyby tylko sobie przypomniał, kim są, wszystko wróciłoby do ładu. Fräulein Irmy szlochała, skulona w fotelu. Dostojny starszy pan o szerokim, łysym czole stał przy oknie i palił, a niekiedy wspinał się na palce. Na stole lśniła szklana salaterka z pomarańczami.

– Czemu wcześniej po mnie nie przysłali? – mruknął Albinus, unosząc brwi, lecz nie zwracał się przy tym do nikogo w szczególności. Zmarszczył się, pokręcił głową i zaczął z trzaskiem wyciągać sobie palce ze stawów. Cisza. Na kominku tykał zegar. Z pokoiku dziecinnego wyszedł Lampert.

– I co? – ochryplym głosem spytał Albinus. Lampert spojrzał na dostojnego starszego pana, ten zaś lekko wzruszył ramionami i poszedł za nim do pokoju chorej.

Minęło wiele czasu. W oknach całkiem już pociemniało; nikt się nie pofatygował, żeby zaciągnąć firanki. Albinus wziął z misy pomarańczę i zaczął ją pomału obierać. Na dworze padał śnieg, tłumiąc odgłosy unoszące się nad ulicą. W kaloryferach chwilami coś pobrzękiwało. Przed domem rozległ się czyjś gwizd, cztery dźwięki (z „Zygfyryda”); potem znowu zapadła cisza. Albinus wolno jadł pomarańczę. Była strasznie kwaśna. Nagle do pokoju wszedł Paul i na nikogo nie patrząc, powiedział jedno krótkie słowo.

W pokoju dziecinnym Albinus ujrzał plecy żony, która pochylała się nad łóżkiem, nieruchoma, skupiona, i tak jakby wciąż jeszcze trzymała w dłoni widmową szklanekę. Pielęgniarka objęła ją jedną ręką za ramiona i odprowadziła w pomrokę. Albinus podszedł do łóżka. Przez chwilę niezbyt wyraźnie widział martwą twarzyczkę i przy krótką bladą wargę, która nie zasłaniała przednich zębów: jednego mleczaka brakowało. Potem wszystko zamgliło mu się przed oczami. Odwrócił się i bardzo ostrożnie, starając się niczego ani nikogo nie potrącić, wyszedł. Drzwi frontowe na dole były zamknięte. Lecz gdy tak przed nimi stał, z góry zeszła umalowana kobieta w hiszpańskiej chuście i otworzyła je, wpuszczając zaśnieżonego mężczyznę. Albinus spojrzał na zegarek. Było już po północy. Czyżby doprawdy przesiedział tam pięć godzin?

Idąc białym, miękkim, chrupiącym chodnikiem, wciąż jeszcze nie bardzo mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło. Oczami duszy ze zdumiewającą wyrazistością widział Irmę, jak gramoli się Paulowi na kolana lub oburącz odbija od ściany lekką piłkę; ale taksówki trąbiły po staremu, jakby nic się nie stało, śnieg migotał pod latarniami niby w Boże Narodzenie, niebo było czarne, i tylko w oddali, za ciemnym masywem dachów, w kierunku Gedächtniskirche, tam gdzie mieściły się wielkie kina, czerń topniała, nabierając ciepłych, brązowych rumieńców. Raptem sobie przypomniał nazwiska dwóch pań,

które siedziały na kanapie: Blanche i Rosa von Nacht.

W końcu dotarł do domu. Margot leżała na wznak, chciwie zaciągając się papierosem. Albinus niezbyt jasno pamiętał, że się z nią szkaradnie pokłócił, ale nie było to teraz istotne. W milczeniu podążała za nim wzrokiem, gdy cicho stąpając, przechadzał się po pokoju i ocierał mokrą od śniegu twarz. Czuła jedynie rozkoszne zaspokojenie. Rex wyszedł dopiero niedawno, też całkiem zaspokojony.

Być może po raz pierwszy w ciągu tego roku spędzonego z Margot wyraźnie sobie uświadomił Albinus, iż na jego życiu osiadła cienka, oślizgła warstewka ohydy. Teraz jednak los z olśniewającą wyrazistością dawał mu znaki, że pora się ocknąć; Albinus słyszał to gromkie wezwanie; rozumiał, jak niecodzienną ma szansę wznieść swoje życie na dawny poziom; z całą przytomnością rozpaczy zdawał też sobie sprawę, że gdyby w tym akurat momencie wrócił do żony, pojednanie, które w normalnych okolicznościach byłoby niemożliwe, dokonałoby się niemal samorzutnie.

Pewne wspomnienia z zeszłej nocy nie dawały mu spokoju: pamiętał, jak Paul nagle rzucił mu wilgotne, błagalne spojrzenie, a potem odwracając się, lekko go ścisnął za ramię. Pamiętał, jak przelotnie spostrzegł w lustrze oczy żony i ich rozdzierający wyraz – żaloszny, zaszczuty, lecz mimo to z cieniem uśmiechu.

Rozmyślał nad tym wszystkim, do głębi wzruszony. Tak – jeśli teraz pójdzie na pogrzeb córeczki, zostanie z żoną do końca życia.

Kiedy zadzwonił do Paula, służąca podała mu czas i miejsce pogrzebu. Nazajutrz rano wstał, gdy Margot jeszcze spała, i kazał sobie podać czarny paltot i cylinder. W pośpiechu wypił filiżankę kawy i poszedł do dawnego pokoju Irmy, w którym stał teraz długi stół przedzielony w poprzek zieloną siatką; z roztargnieniem wziął do ręki celuloidową piłeczkę i upuścił ją na blat, tak że się odbiła, lecz zamiast myśleć o swym dziecku, ujrzał inną postać – zgrabną, żywą, swawolną dziewczynę, która śmiała się, pochylona nad stołem, unosząc jedną piętę, z raketką w daleko wyciągniętej przed siebie ręce.

Pora była ruszać. Jeszcze tylko kilka minut i nad otwartym grobem weźmie Elisabeth za łokieć. Rzucił piłeczkę na stół i szybko poszedł do sypialni, żeby ostatni raz popatrzeć, jak Margot śpi. A gdy tak stał obok łóżka, sycąc oczy widokiem jej dziecinnej twarzy, miękkich różowych ust, zarumienionych policzków, przypomniał sobie pierwszą wspólną noc z tą dziewczyną i na myśl o przyszłości u boku bladej, przywiedłej żony ogarnęła go zgroza. Przyszłość ta wydała mu się podobna do jednego z owych długich, mrocznych, zakurzonych korytarzy, w których człowiek znajduje skrzynkę zabita gwoździami – albo pusty wózek.

Z wysiłkiem oderwał spojrzenie od śpiącej dziewczyny, nerwowo przygryzł paznokieć kciuka i podszedł do okna. Była odwilż. Kolorowe auta mknęły przez kałuże, rozpryskując błoto; na rogu jakaś szelma w łachmanach sprzedawała fiołki; owczarek alzacki szukał przygód, uparcie podążając za maleńkim pekińczykiem, ten zaś warczał,

odwracał się i przypadał do ziemi, uwiązany na smyczy; wielki lśniący plaster wartkiego nieba błękitnie odbijał się w szybie, którą energicznie myła służąca o nagich ramionach.

– Co tak wcześnie wstałeś? Gdzie idziesz? – rozlazłym tonem zadała Margot pytanie, przerwane ziewnięciem.

– Nigdzie – odparł, nie odwracając się.

Nie bądź taki przygnębiony, robalku – powiedziała do niego po dwóch tygodniach. – Strasznie smutna historia, no tak, ale przecież oni są teraz dla ciebie jak obcy ludzie; sam to czujesz, nie? No i oczywiście małą też przeciwko tobie nastawili. Wierz mi, naprawdę się wczuwam w to, co przeżywasz, chociaż gdybym mogła mieć dziecko, wołałabym chłopca.

– Sama jesteś dziecko – odparł, głaszcząc ją po głowie.

– A właśnie dziś musimy być w dobrych humorach – ciągnęła. – Właśnie dziś! Bo dzisiaj zaczynam karierę. Będę sławna.

– Racja, zapomniałem. Kiedy to? Naprawdę dziś?

Wszedł Rex niedbałym krokiem. Ostatnio dzień w dzień ich odwiedzał, a Albinus przy paru okazjach otworzył przed nim serce i zwierzył mu się ze wszystkiego, z czego nie mógł zwierzyć się Margot. Rex słuchał z wielką dobrocią, czynił mądre uwagi i okazywał moc współczucia, toteż Albinusowi wydawało się, że owszem, znają się niezbyt długo, ale to tylko przypadek tak zrządził, czysty traf niemający nic wspólnego z wewnętrznym, duchowym czasem, w którym zadzierzgnęła się i dojrzała ich przyjaźń.

– Nie można budować życia na lotnych piaskach nieszczęścia – powiedział mu Rex. – Jest to grzech przeciw życiu. Miałem przyjaciela, rzeźbiarza o niesamowitym wręcz wyczuciu formy. I oto nagle z litości poślubił brzydką, podstarzałą garbuskę. Nie wiem dokładnie, co między nimi zaszło, ale wkrótce po ślubie spakowali dwie walizeczki, jedną dla żony, drugą dla męża, i pomaszerowali do najbliższego domu wariatów. Moim zdaniem artysta musi kierować się wyłącznie własnym poczuciem piękna: ono nigdy go nie oszuka.

– Śmierć – oświadczył innym razem – jest chyba po prostu złym nawykiem, którego natura jak dotąd nie potrafi przezwyciężyć. Miałem przyjaciela, pięknego chłopca, pełnego życia, z twarzą anioła i muskularni pantery. Zaciął się, otwierając puszkę brzoskwiń – wie pan, tych dużych, miękkich, śliskich, co to chlupią w ustach, a potem zjeżdżają w dół. Po kilku dniach zmarł na zakażenie krwi. Idiotyczna historia, prawda? A jednak... tak, to dziwne, ale prawdziwe, że jego żywot jako dzieło sztuki nie miałby tak doskonałego kształtu, gdyby chłopcu dane było się zestarzeć. Śmierć często bywa puentą figli, które płata życie.

Umiał przy takich okazjach mówić bez końca, niezmordowanie, wymyślając anegdoty o nieistniejących przyjaciołach i przedkładając refleksje nie nazbyt głębokie jak

na umysłowość słuchacza, podane w niby to błyskotliwej formie. Choć w erudycji Rexa nie brakowało luk, inteligencję miał on sprytną i przenikliwą, a jego zapał do robienia z bliźnich durniów ocierał się o geniusz. Zapewne jedynym autentycznym rysem tego człowieka było wrodzone przeświadczenie, że wszystko, co kiedykolwiek stworzono w takich dziedzinach, jak sztuka, nauka bądź uczuciowość, jest po prostu mniej czy bardziej zręczną fintą. Choćby rozmowa dotyczyła najpoważniejszych spraw, zawsze umiał wtrącić jakieś powiedzonko dowcipne albo trywialne, a zarazem na temat, ściśle dostosowane do umysłowości lub nastroju słuchacza, lecz z drugiej strony potrafił zachować się w sposób nieprawdopodobnie niegrzeczny i arogancki, gdy rozmówca go zirytował. Nawet mówiąc z całą powagą o jakiejś książce czy też obrazie, miał Rex miłe wrażenie, że uczestniczy w spisku, jest współnikiem jakiegoś przemyślnego szarlatana – czyli autora danej książki albo obrazu.

Z zainteresowaniem obserwował cierpienia Albinusa (mając go za półgłówka o prostych namiętnościach i solidnej, aż nazbyt solidnej znajomości zagadnień malarstwa), który sądził, biedaczysko, że dotknął już samego dna ludzkiej udręki; podczas gdy Rex myślał sobie – z uczuciem miłego oczekiwania – iż nie jest to bynajmniej kres, lecz jedynie pierwszy epizod arcyuciesznej komedii, w której dla niego, Rexa, zarezerwowano miejsce w prywatnej loży kierownika sceny. A stanowiska tego w owym przedstawieniu nie piastował ani Bóg, ani diabeł. Ten pierwszy był o wiele zanadto posiwiasty, czcigodny i staromodny; natomiast ten drugi, aż do przesyty opity cudzymi grzechami, już tylko zanudzał siebie i innych, monotony jak deszcz... zwłaszcza deszcz o świcie na więziennym dziedzińcu, gdzie jakiegoś nieszczęsnego, nerwowo poziewającego niedojdę zgładza się po cichutku za to, że zamordował rodzoną babkę. Kierownik sceny, którego Rex miał na myśli, był nieuchwytnym, dwoistym, troistym, odzwierciedlającym się w samym sobie, magicznie widmowym Proteuszem, cieniem wielobarwnych szklanych kul kreślących łuk w powietrzu, zjawą żonglera na migoczącej kurtynie... Tak w każdym razie widział go Rex w rzadkich chwilach filozoficznej zadumy.

Życie traktował lekko, a jedynym ludzkim uczuciem, jakiego kiedykolwiek zaznał, był wielki gust do Margot, który usiłował sobie tłumaczyć wpływem jej cech fizycznych: jakiejś składowej zapachu skóry, faktury nabłonka warg, temperatury ciała. Nie było to jednak rzetelne wytłumaczenie. Wzajemna ich namiętność wypływała z głębokiego pokrewieństwa dusz, choć Margot była wulgarną dziewczynką z Berlina, a on kosmopolitą i artystą.

Kiedy przyszedł w owym dniu nad dniami, podając Margot płaszcz, zdołał jej powiedzieć, że wynajął pokój, w którym będą mogli spotykać się bez świadków. Rzuciła mu gniewne spojrzenie, bo Albinus stał zaledwie dziesięć kroków od nich, klepiąc się po kieszeniach. Rex zachichotał i dodał, prawie nie zniżając głosu, że będzie jej oczekiwał codziennie o ustalonej godzinie.

– Zapraszam Margot na randkę, ale ona nie chce – rzekł wesoło do Albinusa, kiedy

schodzili na dół.

– Niech no tylko spróbuje – z uśmiechem odparł Albinus, pieszczotliwie szczypiąc dziewczynę w policzek. – Zaraz się przekonamy, co z ciebie za aktorka – dodał, wciągając rękawiczki.

– Jutro o piątej, dobrze, Margot? – powiedział Rex.

– Jutro dzidzia wybiera sobie auto – oświadczył Albinus – więc nie może do pana przyjść.

– Rano spokojnie zdąży wybrać wóz. Piąta ci pasuje, Margot? A może umówmy się na szóstą, i już?

Margot nagle przestała nad sobą panować.

– Idiotyczny żart – wycedziła przez zęby. Mężczyźni roześmiali się i wymienili rozbawione spojrzenia.

Portier, który właśnie stał przed domem i rozmawiał z listonoszem, ciekawie im się przyjrzał, kiedy go mijali.

– Aż trudno uwierzyć – powiedział, gdy dostatecznie się oddalili – że ten Herr raptem parę tygodni temu stracił córeczkę.

– A drugi Herr? Kto to taki? – spytał listonosz.

– Skąd mam wiedzieć. Pewnie kolejny kochanek. Prawdę powiedziawszy, aż mi wstyd, że inni lokatorzy patrzą na to wszystko. I żeby taki bogaty, hojny pan. Zawsze powiadam: jak już musiał wziąć sobie kochankę, mógł wybrać dorodniejszą i pulchniejszą.

– Miłość jest ślepa – z zadumą stwierdził listonosz.²³

Kiedy znaleźli się w małej salce, w której dwadzieścia parę osób – aktorzy i zaproszeni goście – miało obejrzeć film, rozkoszny dreszcz przebiegł Margot po plecach. Nieopodal dostrzegła dyrektora wytwórni, w którego biurze poczuła się niegdyś tak ośmieszona. Podszedł do Albinusa, ten zaś przedstawił go dziewczynie. Dyrektor miał na prawej powiece duży żółty jęczmień.

Margot była zła, że jej nie poznał.

– Rozmawialiśmy kilka lat temu – powiedziała chytrze.

– Owszem – odparł z uprzejmym uśmiechem. – Doskonale panią pamiętam. (Wcale nie pamiętał).

Gdy tylko zgasły światła, Rex, który siedział między Margot a Albinusem, po omacku poszukał jej dłoni i mocno ją uchwycił. Przed nimi siedziała Dorianna Karenina, we wspaniałym futrze mimo panującego w sali gorąca, między producentem a człowiekiem z oszpeconą powieką, dla którego starała się być bardzo miła.

Tytuł, a potem nazwiska uczestników przewinęły się, drżąc z onieśmielenia. Projektor szumiał cicho i monotonicznie, trochę jak daleki odkurzacz. Nie było muzyki.

Margot prawie od razu pojawiła się na ekranie. Czytała książkę; potem cisnęła ją precz i skoczyła do okna; ulicą przejeżdżał konno jej narzeczony.

Ogarnęło ją takie przerażenie, że wyrwała dłoń z uścisku Rexa. Kimże była ta upiorna istota? Niezręczna i brzydka, z opuchniętymi, dziwnie zniekształconymi ustami czarnymi jak pijawki, z brwiami nie na miejscu, w niespodziewanie pogniecionej sukience, dziewczyna z ekranu patrzyła przed siebie dzikim wzrokiem, a potem raptownie zgięła się w pół, oparta brzuchem o parapet, wypinając pośladki w stronę widzów. Margot odepchnęła natrętą dłoń Rexa. Najchętniej by kogoś ugryzła albo rzuciła się na podłogę, wierzgając nogami.

Kreatura z ekranu nie miała z nią nic wspólnego: była okropna, po prostu okropna! Właściwie całkiem podobna do matki Margot – dozorczyńni – ze ślubnej fotografii.

„Może potem będzie lepiej”, pomyślała żałośnie.

Albinus pochylił się w jej stronę, niemal obejmując przy tym Rexa, i szepnął z czułością:

– Uroczo, cudownie, pojęcia nie miałem...

Naprawdę był oczarowany: pamiętał małe kino „Argus”, w którym się poznali, i wzruszało go to, że Margot gra tak koszmarnie – a zarazem z takim ładnym, dziecinnym zapałem, jak uczennica recytująca wiersz z okazji urodzin.

Rex też był zachwycony. Nigdy nie wątpił, że Margot na ekranie zrobi klapę, a teraz wiedział, że będzie się za to mściła na Albinusie. A zatem jutro przyjdzie – w odwecie. Punktualnie o piątej. Wszystko to razem było bardzo miłe. Jego ręka znów ruszyła na poszukiwanie, ale dziewczyna raptem z całej siły go uszczypnęła.

Po krótkiej nieobecności Margot znowu się pojawiła: chyłkiem przekradała się wzdłuż fasad domów, poklepując ściany i spoglądając za siebie przez ramię (co ani trochę, o dziwo, nie zdumiewało przechodniów), a potem wśliznęła się do kawiarni, bo ktoś życzliwy twierdził, że może tam zastać swego kochanka w towarzystwie pewnego wampa (Dorianny Kareniny). Wśliznęła się więc, ale od tyłu wyglądała grubo i niezgrabnie.

„Zaraz zacznę krzyczeć”, pomyślała.

Na szczęście w samą porę zrobiono przenikanie i ukazał się kawiarniany stolik, butelka w wiaderku z lodem oraz bohater, który właśnie częstował Dorianę papierosem, a potem go jej zapalił (gest ten w pojęciu wszystkich producentów symbolizuje nowo narodzoną intymność). Dorianna zamasyście przechyliła głowę do tyłu, wypuściła dym i uśmiechnęła się kącikiem ust.

Ktoś z obecnych zaczął klaskać; inni poszli jego śladem. Potem na ekranie pojawiła się Margot i aplauz ucichł. Rozdziawiła usta, tak jak w rzeczywistości nigdy ich nie rozdziawiała, i ze spuszczoną głową i bezwładnie dyndającymi rękami wyszła na ulicę.

Dorianna – ta prawdziwa, która siedziała tuż przed nimi – obejrzała się za siebie, a jej oczy przyjaźnie zalśniły w półmroku.

– Brawo, malutka – rzekła ochryłym głosem, a Margot poczuła, że ma ochotę rozdrapać jej twarz.

Tak już się bała widoku własnej osoby na ekranie, że za każdym razem była bliska omdlenia i nie miała siły odpychać ani szczypać upartej dłoni sąsiada. Rex poczuł w uchu jej gorący oddech, gdy cicho jęknęła:

– Przestań, proszę, bo się przesiądę.

Poklepał ją po kolanie i cofnął rękę.

Porzucona ukochana wróciła, a każdy jej ruch zadawał Margot katusze. Czowała się jak dusza w piekle, gdy demony odsłaniają przed nią podszewkę jej ziemskich transgresji, której istnienia nawet nie podejrzewała. Te sztywne, niezręczne, kanciaste gesty... W obrzmiałej twarzy tej kreatury rozpoznawała minę, jaką robiła jej matka, ilekroć starała się być uprzejma dla wpływowego lokatora.

– Nadzwyczaj udana scena – szepnął Albinus, znów się ku niej nachylając.

Rexa zaczynało już nudzić to, że siedzi w ciemnościach, ogląda kiepski film i raz po raz prawie się na nim kładzie rosły mężczyzna. Zamknął oczy, ujrzał pod powiekami kolorowe karykaturki, które rysował ostatnio na zamówienie Albinusa, i jął roztrząsać fascynujący, choć całkiem prosty problem, jak wyciągnąć od niego jeszcze trochę gotówki.

Dramat dobiegał końca. Porzucony przez wampa bohater w solidnych strugach filmowej ulewy udał się do apteki po truciznę, ale przypomniał sobie o matce staruszce, więc zamiast się truć, wrócił do rodzinnej zagrody. Pośród kur i świń jego poprzednia ukochana bawiła się tam z ich nieślubnym dzieckiem (nie miało ono długo pozostawać nieślubne, sądząc po minie, z jaką zajął przez płot). Był to najlepszy popis Margot. Lecz gdy niemowlę przytuliło się do niej, nagle przygładziła sukienkę grzbietem dłoni (całkiem mimowolnie), tak jakby wycierała dłoń – a dziecko spojrzało na nią z urazą. Po sali przebiegł śmiech. Margot doszła już do granic wytrzymałości i zaczęła cichutko popłakiwać.

Skoro tylko zapaliły się światła, wstała i szybko ruszyła do wyjścia.

Albinus ze stroskaną, zalęknioną miną pospieszył za nią. Rex wstał i się przeciągnął. Dorianna lekko dotknęła jego ramienia. Mężczyzna z jęczmieniem na powiece stał obok niej i ziewał.

– Kłapa – rzekła Dorianna, mrugając porozumiewawczo. – Biedna mała.

– A z własnego występu jest pani zadowolona? – ciekawie zapytał Rex.

Dorianna roześmiała się.

– Zdradzę panu sekret: prawdziwa aktorka nigdy nie bywa zadowolona.

– Publiczność też nie zawsze – z flegmą odparł Rex.

– A tak przy okazji, proszę mi łaskawie powiedzieć, droga pani, skąd ten pseudonim artystyczny? To pytanie nie daje mi spokoju.

– O, to długa historia – odrzekła melancholijnie. – Jeśli umówi się pan ze mną kiedyś na herbatę, może bardziej szczegółowo ją panu opowiem. Chłopak, który go wymyślił, popełnił samobójstwo.

– A, nic dziwnego. Ale właściwie chciałem spytać... Czytała pani Tolstoja?

– „Tols to ja”? – upewniła się Dorianna Karenina. – Nie, niestety. Czemu pan pyta?

W domu były burzliwe sceny, szlochy, jęki, histeria. Margot rzuciła się na kanapę, na łóżko i wreszcie na podłogę. Oczy jej iskrzyły się jak zagniewane brylanty; jedna pończocha się zsunęła. Świat tonął we łzach.

Próbując ją pocieszyć, Albinus bezwiednie posłużył się tymi samymi słowami, którymi pewnego razu uspokoił Irmę, całując jej siniak – lecz po śmierci Irmy słowa te brzmiały pusto.

Margot najpierw wyładowała cały gniew na Albinusie, potem straszliwymi wyrazami sponiewierała Dorianę, w końcu zaatakowała producenta. Po drodze zahaczyła o Grossmana, tego starca z jęczmieniem, choć nie miał on z całą sprawą nic a nic wspólnego.

– Dobrze – powiedział wreszcie Albinus. – Zrobię dla ciebie, co tylko zdołam. Ale naprawdę nie uważam, że ten film to kłapa. Wręcz przeciwnie, w kilku scenach zagrałaś znakomicie – na przykład w pierwszej: no, wiesz, kiedy...

– Zamilcz! – wrzasnęła Margot, rzucając w niego pomarańczą.

– Ależ posłuchaj mnie, kotku. Gotów jestem zrobić wszystko, byle tylko moja pieszczoszka była szczęśliwa. A na razie weźmy świeżą chusteczkę i otrzyjmy łzy raz na zawsze. Mam pomysł. Film jest moją własnością. Zapłaciłem za ten chłam – to znaczy za chłam, który Schwarz z niego zrobił. Nie pozwolę nigdzie go wyświetlać i zatrzymam sobie na pamiątkę.

– Nie, spal go – załkała Margot.

– Dobrze, spalę. Ręczę ci, że Dorianny to nie zachwyci. I co – zadowolona?

Wciąż jeszcze szlochała, ale już ciszej.

– No, no, nie płacz, kochanie. Jutro pójdiesz do miasta i coś sobie wybierzesz. Powiedzieć ci, co? Taką dużą rzecz na czterech kołach. Zapomniałaś? Prawda, że będzie miło? A potem mi pokażesz, co wybrałaś, i może – uśmiechnął się i uniósł brwi, chytrze przeciągając słówko „może” – ci to kupię. Wybierzemy się gdzieś, przejedziemy setki kilometrów. Zobaczysz, jak wygląda wiosna na południu... Co powiesz, Margot?

– Nie o to chodzi – odparła nadąsanym tonem.

– Chodzi o to, żebyś była szczęśliwa. A już ja cię uszczęśliwię. No, gdzie ta chusteczka? Wrócimy jesienią; weźmiesz jeszcze trochę lekcji aktorstwa i znajdziemy ci

jakiegoś naprawdę rozgarniętego producenta – na przykład Grossmana.

– Nie, tylko nie jego – mruknęła Margot, wzdrygając się.

– No więc kogo innego. A teraz bądź grzeczna i otrzyj łyzy, to pojedziemy na kolację. Proszę cię, maleńka.

– Nie będę szczęśliwa, póki się nie rozwiedziesz – powiedziała z głębokim westchnieniem. – Ale boję się, że mnie rzucisz, skoro już mnie zobaczyłeś w tym obrzydliwym filmie. O, inny na twoim miejscu dałby im po gębach za to, że zrobili ze mnie taką poczwarę! Nie, żadnego całowania. Mów, zająłeś się nareszcie rozwodem? A może w ogóle dałeś za wygraną?

– No, nie... Widzisz, to jest tak – wyjąkał Albinus. – Ty... My... Och, Margot, przecież my dopiero co... To znaczy, zwłaszcza ona... jednym słowem, ta świeża żałoba trochę mi utrudnia zadanie.

– Co ty wygadujesz? – spytała Margot, wstając. – To ona jeszcze nie wie, że chcesz się z nią rozwieść?

– Nie, nie to chciałem powiedzieć – odparł niepewnie. – Oczywiście czuje... To znaczy wie... A raczej...

Margot pomału się prostowała, unosząc się jak wąż, kiedy rozwija swe sploty.

– Szczerze powiedziawszy, ona nie chce mi dać rozwodu – rzekł wreszcie Albinus, po raz pierwszy w życiu mówiąc nieprawdę o Elisabeth.

– Ach, tak? – zapytała Margot, podchodząc bliżej. „Zaraz mnie uderzy”, ze znużeniem pomyślał Albinus. Podeszła tuż-tuż i powolnym ruchem zarzuciła mu rękę na szyję.

– Nie zniosę dłużej tej sytuacji, że jestem dla ciebie tylko kochanką – oświadczyła, przyciskając policzek do jego krawata. – Nie zniosę. Zrób coś z tym. Zaraz jutro sobie powiedz: zrobię to dla mojej małej! Są przecież adwokaci. Można to jakoś urządzić.

– Obiecuję, że jesienią załatwię sprawę – rzekł Albinus. Cicho westchnęła, podeszła do lustra i sennie spojrzała na własne odbicie.

„Rozwód? – pomyślał Albinus. – Nie, nie, wykluczone”.

W pokoju, który wynajął z myślą o schadzkach z Margot, Rex urządził sobie atelier, więc dziewczyna za każdym razem zastawała go przy pracy. Zazwyczaj melodyjnie gwizdał, kiedy rysował.

Patrząc na jego kredowobiałe policzki, mięsiste, purpurowe usta, które gwizdząc, składał w ciup, Margot czuła, że ten mężczyzna jest dla niej wszystkim. Ubrany był w jedwabną koszulę rozpiętą pod szyją i stare flanelowe spodnie. Indyjskim tuszem czynił istne cuda.

Spotykali się w ten sposób prawie w każde popołudnie, a Margot wciąż odkładała wyjazd, choć auto już kupiono i zaczęła się wiosna.

– Mogę coś zaproponować? – pewnego dnia spytał Rex Albinusa. – Po co miałby pan jechać w tę podróż z zawodowym szoferem? Ja też nieźle prowadzę.

– Bardzo to uprzejma propozycja – z lekkim wahaniem odparł Albinus. – Ale... nie chciałbym odrywać pana od pracy. Chcemy pojechać dość daleko.

– O, mną proszę się nie przejmować. I tak miałem zamiar zrobić sobie wakacje. Przepyszne słońce... zabawne staroświeckie obyczaje... pola golfowe... w programie różne wycieczki...

– Skoro tak, będziemy zachwyceni – rzeki Albinus, zastanawiając się z niepokojem, co na to powie Margot. Ona jednak po krótkim wahaniu zgodziła się:

– Dobrze, niech z nami jedzie. Właściwie dosyć go lubię, ale ostatnio ma zwyczaj zwierzać mi się ze swoich romansów i tak nad nimi wzdycha, jakby były normalne. Trochę już mnie nudzi.

Działo się to w przeddzień ich wyjazdu. Wracając po sprawunkach do domu, Margot pobiegła na chwilę do Rexa. Pudełko z farbami, ołówki, zakurzony promień słońca skośnie przecinający pokój – wszystko to przypomniało jej czasy, gdy pozowała nago.

– Co się tak spieszysz? – leniwie spytał Rex, kiedy szminkowała usta. – To już ostatni raz. Nie wiem, jak sobie damy radę w podróży.

– Obojgu nam nie brak oleju w głowie – odparła z gardłowym śmiechem.

Wybiegła na ulicę i zaczęła się rozglądać za taksówką, ale zalana słońcem jezdnia była pusta. Margot wyszła na plac – i jak zwykle, gdy wracała od Rexa, pomyślała: „Mam

skręcić w prawo, przejść przez ogród i jeszcze raz w prawo?”.

Tam właśnie była ulica, na której mieszkała w dzieciństwie.

(Przeszłość siedziała w klatce, unieszkodliwiona. Czemu by na nią nie popatrzeć?)

Ulica ani trochę się nie zmieniła. Na rogu była piekarnia, dalej sklep rzeźnicki ze złoconą głową wołu na szyldzie, a przed sklepem czekał uwiązany buldog wdowy po majorze spod piętnastego. Ale w dawnym sklepie papierniczym urządził się fryzjer. Ta sama stara gazeciarka tkwiła za swoim straganem. Była też piwiarnia, do której chadzał Otto, nieco dalej stał dom, w którym Margot się urodziła: trwał remont, sądząc po rusztowaniach. Nie miała ochoty podejść bliżej.

Kiedy zawróciła, zawołał ją znajomy głos.

Był to Kaspar, kolega jej brata. Prowadził rower z fioletową ramą i z koszykiem zawieszonym z przodu kierownicy.

– Cześć, Margot – powiedział, uśmiechając się odrobinę nieśmiało, i ruszył obok niej chodnikiem.

Gdy go ostatnio widziała, zachowywał się bardzo grubiańsko, ale wtedy występował jako członek grupy, organizacji, prawie bandy. A teraz, w pojedynkę, był po prostu starym kumplem.

– No, jak ci leci, Margot?

– Pysznie – odparła ze śmiechem. – A tobie?

– O, byle do jutra. Słyszałaś, że twoi starzy się przeprowadzili? Mieszkają w Północnym Berlinie. Powinnaś do nich kiedyś zajrzeć, Margot. Twój ojciec niedługo już pociągnie.

– A gdzie mój kochany braciszek?

– O, wyjechał. Chyba ma robotę w Bielefeld.

– Przecież wiesz, jak mnie w domu kochali – powiedziała, marszcząc czoło, wpatrzona we własne stopy, kiedy tak szła samym skrajem chodnika. – A czy potem się mną przejmowali? Obchodziło ich, co ze mnie będzie?

Kaspar odkasznął i rzekł:

– Tak czy owak to twoja rodzina, Margot. Twoją matkę wylali tu z roboty, a na nowym miejscu jej się nie podoba.

– A co o mnie mówią tutejsi ludzie? – zapytała, podnosząc na niego spojrzenie.

– O, bzdury i tyle. Obgadują cię. Zwykła rzecz. Ja tam zawsze mówię, że dziewczyna ma prawo pokierować własnym życiem, jak sama uważa. A jak ci się układa z tym twoim przyjacielem?

– Jako tako. Niedługo się ze mną ożeni.

– Świetnie – powiedział Kaspar. – Cieszę się, że tak ci się udało. Tylko szkoda, że nie można się już z tobą po dawnemu zabawić. Wielka szkoda.

– Nie masz dziewczyny? – spytała z uśmiechem.

– Nie, jak raz nie mam. Życie bywa czasem bardzo ciężkie, Margot. Pracuję w cukierni. Chciałbym mieć kiedyś własną.

– Tak, życie potrafi być ciężkie – rzekła Margot z zadumą i po chwili zatrzymała przejeżdżającą taksówkę.

– Może moglibyśmy kiedyś... – zaczął Kaspar; ale nie... już nigdy nie wykąpią się w tamtym jeziorze.

„Schodzi na psy – pomyślał, patrząc, jak Margot sadowi się w taksówce. – Powinna wyjść za jakiegoś porządnego, prostego chłopca. Ale ja bym jej nie wziął. Człowiek nigdy by nie wiedział, na czym stoi...”

Wskoczył na rower i pognął za taksówką do najbliższego rogu. Margot pomachała mu ręką, kiedy zgrabnie skręcił w przecznice.

Drogi biegnące szpalerami jabłoni, a potem śliw, potykała para przednich opon – bez końca. Pogoda sprzyjała, więc pod wieczór stalowe komórki chłodnicy całe były zapchane martwymi pszczołami, ważkami i oczennicowatymi. Rex prowadził cudownie, rozparty leniwie na niziutkim siedzeniu obracał kierownicą, dotykając jej delikatnie, zgoła marzycielsko. W tylnym oknie wisiała pluszowa małpka zapatrzona w stronę północy, od której właśnie oddalali się całym pędem.

Potem we Francji przy drogach pojawiły się topole; pokojówki w hotelach nie rozumiały, co mówi Margot, a ją to doprowadzało do szału. Powstał pomysł, żeby wiosną spędzić na Riwierze, stamtąd zaś pojechać nad włoskie jeziora. Tuż przed przyjazdem nad morze zrobili ostatni postój w miasteczku Rouginard.

Dotarli tam o zachodzie. Chmura oblana pomarańczowym rumieńcem kędzierzawiła się cienkimi kosmykami po bladozielonym niebie, nad mrocznymi górami; w przycupniętych kawiarenkach jarzyły się światła; platany na bulwarze spowijała już całunem ciemność.

Margot była zmęczona i rozdrażniona – jak zwykle, kiedy nadciągała noc. Od wyjazdu, czyli prawie od trzech tygodni (jechali bowiem bez pośpiechu, zatrzymując się w wielu malowniczych miasteczkach, w których na tym samym starym placu wznosił się zawsze ten sam stary kościół), ani przez chwilę nie była z Rexem sam na sam. Gdy zajechali do Rouginard i Albinus jął się zachwycać konturami fioletowiejących wzgórz, mruknęła przez zęby:

– Wywnętrz się, nie żałuj sobie. – Była bliska płaczu. Podjechali do jakiegoś dużego hotelu i Albinus poszedł się dowiedzieć, czy są wolne pokoje.

– Jeszcze trochę i zwariuję – rzekła Margot, nie patrząc na Rexa.

– Daj mu krople na sen – zaproponował. – Kupię w aptece.

– Już próbowałam – odparła. – Nie działa. Albinus wrócił podenerwowany.

– Nic z tego – oznajmił. – Strasznie to wszystko męczące. Przykro mi, kochanie.

Wstępowali kolejno do trzech hoteli i wszędzie był komplet. Margot kategorycznie sprzeciwiła się temu, żeby jechać do sąsiedniego miasta, twierdząc, iż na zakrętach szosy dostaje mdłości. Była taka wściekła, że Albinus bał się choćby zerknąć na nią. Wreszcie w piątym hotelu zaproszono ich, żeby wjechali windą na górę i obejrzeni jedyne dwa wolne pokoje. Młody windziarz o oliwkowej cerze stał zwrócony do nich przystojnym profilem.

– Proszę spojrzeć na te rzęsy – powiedział Rex, lekko trącając Albinusa.

– Dość tych cholernych głupot! – zawołała nagle dziewczyna.

Pokój z dwuosobowym łóżkiem był całkiem niezły, ale Margot postukiwała obcasem w podłogę i powtarzała cicho, nadąsana:

– Nie zostanę tu, nie zostanę.

– Kiedy to, owszem, miłe miejsce na jedną noc – rzekł Albinus błagalnym tonem.

Służący otworzył drzwi z pokoju do łazienki; przeszedł przez nią i otworzył drugie drzwi, za którymi ukazał się drugi pokój.

Rex i Margot spojrzeli nagle po sobie.

– Nie wiem, czy panu nie przeszkadza, że będziemy mieli wspólną łazienkę? – spytał Albinus. – Margot lubi się chlapać i guzdrać.

– W porządku – zaśmiał się Rex. – Jakoś sobie damy radę.

– Na pewno nie macie jeszcze jakiejś jedyńki? – zapytał Albinus, zwracając się do służącego, ale Margot pospiesznie się w to wmieszała:

– Bzdura – rzekła. – Możemy tu zostać. Nie mam zamiaru dłużej się telepać z miejsca na miejsce.

Kiedy wnoszono bagaż, podeszła do okna. Na śliwkowym niebie świeciła wielka gwiazda, czarne wierzchołki drzew zastygły w bezruchu, ćwierkały cykady... lecz ona nic nie widziała ani nie słyszała.

Albinus zaczął wypakowywać przybory toaletowe.

– Pierwsza się wykąpię – oświadczyła Margot, pospiesznie się rozbierając.

– Śmiało – odparł radośnie. – Ogołę się przez ten czas. Tylko nie marudź, musimy jeszcze zjeść kolację.

Widział w lustrze, jak w powietrzu śmiga sweter Margot, jej spódnica, parę bieleńnianych drobiazgów, jedna pończocha, a potem druga.

– Mała fląderka – rzekł niewyraźnie, namydlając sobie podbródek.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi, zgrzyt zasuwek i tumult puszczanej wody.

– Nie musisz tak się barykadować, przecież cię stamtąd nie wyrzucę! – zawołał ze śmiechem, napinając palcem skórę na policzku.

Zza zamkniętych drzwi dobiegał głośny, równomierny plusk leżącej wody. Albinus starannie skrobał policzek grubo platerowaną żyłką. Zastanawiał się, czy mają w tym hotelu homary à l'Américaine.

Woda wciąż płynęła, coraz głośniejsze. Albinus skręcił, by tak rzec, za róg, i miał właśnie znów zająć się swym jabłkiem Adama, na którym kępka odpornej szczeciny zawsze stawiała opór, gdy raptem wstrząsnął nim widok strużki ciekącej spod drzwi łazienki. Krany ryczały wręcz triumfalnie.

– Przecież się nie utopiła – wymamrotał, biegnąc ku drzwiom i pukając. – Nic ci nie jest, kochanie? Zrobiłaś powódź!

Żadnej odpowiedzi.

– Margot, Margot! – krzyknął, grzechocząc klamką (ani trochę nieświadom, jak przedziwną rolę grają drzwi w życiu jego własnym i kochanki).

Margot przemknęła się z powrotem do łazienki. Pełno tam było pary i ukropu. Szybko zakręciła kurki.

– Usnęłam w wannie! – żałośnie zawołała przez drzwi.

– Oszalałaś – powiedział Albinus. – Wiesz, jak mnie nastraszyłaś?!

Strumyczki czerniące jasnoszary dywan osłabły i zatrzymały się. Albinus wrócił do lustra i jeszcze raz namydlił szyję.

Po kilku minutach Margot wyszła z łazienki świeża i promienna i zaczęła się obsypywać grubą warstwą talku. Teraz z kolei Albinus poszedł się wykąpać. W łazience wciąż było duszno i parno. Zapukał do Rexa.

– Nie każę panu długo czekać! – zawołał. – Za chwilę zwolnię wannę.

– O, nie ma pośpiechu, nie ma pośpiechu! – wesoło odkrzyknął Rex.

Przy kolacji Margot była w świetnym humorze. Siedzieli na tarasie. Biała ćma trzepotała wokół lampy, aż spadła na obrus.

– Zostaniemy tu bardzo, bardzo długo – powiedziała Margot. – Strasznie mi się to miejsce podoba.

Minął tydzień, a potem drugi. Dni były bezchmurne. Roilo się od kwiatów i od cudzoziemców. Po godzinie jazdy trafiało się na piękną piaszczystą plażę wśród ciemnoczerwonych skał, na tle ciemnoniebieskiego morza. Wzgórza odziane sosnami otaczały hotel, całkiem zacny jak na ten typ budynku, w obrzydliwym stylu mauretańskim, od którego Albinus dostałby gęziej skórki, gdyby nie był taki szczęśliwy. Margot też była szczęśliwa, podobnie Rex.

Dziewczynę otaczało ogólne uwielbienie: fabrykanta jedwabi z Lyonu; cichego Anglika, kolekcjonera chrząszczy; młodzieńców, którzy grywali z nią w tenisa. Bez względu na to, kto patrzył na Margot albo prowadził ją w tańcu, Albinus nie odczuwał ani odrobiny zazdrości. Ze zdumieniem wspominał, jakie w Solfi przeżywał katusze: czemu wszystko go wtedy niepokoiło i czemu teraz taki jest jej pewny? Nie zauważył pewnego drobiazgu: tego, że Margot wcale już nie pragnie podobać się innym; potrzebowała tylko jednego mężczyzny: Rexa. A Rex był cieniem Albinusa.

Kiedyś wszyscy troje wybrali się w góry na dłuższą wycieczkę, zabłądzili i w końcu zeszli trudną, kamienistą ścieżką, która zaprowadziła ich nie tam, gdzie chcieli. Margot nie przywykła tak długo chodzić, więc mocno sobie obtarła stopę i odtąd mężczyźni na zmianę ją niesli, nieomal padając pod ciężarem, bo żaden nie był zbyt silny. Koło drugiej po południu znaleźli się w małej wiosce zalanej słońcem, akurat gdy autobus do Rouginard szykował się do odjazdu z placyku brukowanego kocimi łbami, na którym paru mężczyzn grało w *boules*. Dziewczyna i Rex wsiedli, Albinus miał już pójść ich śladem, lecz widząc, że szofer nie zajął dotąd miejsca za kierownicą i chwilę potrwa, nim pomoże pewnemu staremu wieśniakowi załadować dwie spore skrzynie, zastukał w półotwarte okno, przy którym siedziała Margot, i powiedział, że jeszcze się czegoś napędce napije. Wszedł do małego baru w rogu placu. Sięgając po piwo, potracił drobnego człowieka w ubraniu z białej flaneli, który pospiesznie płacił należność. Spojrzeli na siebie.

– Ty też tutaj, Udo? – zawołał Albinus. – Co za niespodziewana przyjemność.

– Bardzo niespodziewana – odparł Udo Conrad. – Trochę wyłysiałeś, mój stary. Jesteś tu z rodziną?

– No, nie... Widzisz, bawię przejazdem w Rouginard i...

– Świetnie – stwierdził Conrad. – Ja też mieszkam w Rouginard. Boże, autobus rusza. Pospiesz się.

– Już idę – rzekł Albinus i duszkiem dopił piwo. Conrad pobiegł truchtem do

autobusu i wsiadł. Zabrzmiał klakson. Nieuchwytnie francuskie monety wymykały się Albinusowi z palców.

– O, nie ma gwałtu – powiedział barman, melancholik z czarnym obwisłym wąsem.
– Zrobi rundę dookoła wioski i jeszcze raz zatrzyma się tu na rogu, nim odjedzie.

– Skoro tak – rzekł Albinus – to wypiję drugą szklaneczkę.

Przez zalane słońcem drzwi widział, jak długi, niski, żółty autobus szybko oddala się przez cętkowany labirynt cieni platanów, które zdawały się zlewać z pojazdem, rozcieńczając jego kontury.

„Zabawne to spotkanie z Udo – pomyślał Albinus. – Zapuścił blond bródkę, jakby dla równowagi z moją łysiną. Kiedy to myśmy się ostatnio widzieli? Sześć lat temu. Czy jestem zachwycony, że go spotkałem? Ani trochę. Myślałem, że mieszka w San Remo. Kruchy ekscentryk, trochę nie z tej ziemi i niezbyt szczęśliwy. Celibat, katar sienny, nienawidzi kotów i tykania zegarów. Niezły pisarz. Znakomity. Dziwne, że nie ma pojęcia o zmianach w moim życiu. Dziwne, że stoję tu, w tej gorącej, sennej dziurze, w której nigdy jeszcze nie byłem i zapewne nigdy więcej nie będę. Ciekawe, co teraz robi Elisabeth? Czarna suknia, beczynne dłonie. Lepiej o tym nie myśleć”.

– Ile czasu potrzeba, żeby autobus objechał wioskę? – spytał swoją powolną, ostrożną francuszczyzną.

– Parę minut – ze smutkiem odrzekł barman. „Nie bardzo rozumiem, co oni robią z tymi drewnianymi kulami. Drewnianymi? A może to jakiś metal? Najpierw chwytają je dłonią, a potem rzucają przed siebie... kula się turla i w końcu zatrzymuje. Będzie niezręcznie, jeśli Udo po drodze wda się z małą w rozmowę i ona wszystko wygada, nim sam mu powiem. Wygada? Ciekawe. Raczej niewielkie szansę, że w ogóle zaczną rozmawiać. Była dosyć cierpiąca, biedaczka, więc powinna siedzieć cicho”.

– To chyba spora wioska, sądząc po tym, jak długo autobus ją okrąży – zauważył.

– Wcale nie okrąży – odparł siedzący przy stoliku za jego plecami starzec z glinianą fajką.

– A właśnie, że okrąży – rzekł ponury barman.

– Okrążył do zeszłej niedzieli – wyjaśnił starzec. – W tym tygodniu od razu jedzie prosto w trasę.

– To już – powiedział barman – nie moja wina, nie?

– Ale co ja teraz zrobię? – zawołał Albinus, zdruzgotany.

– Zabierze się pan następnym – rozsądnie stwierdził starzec.

Kiedy w końcu wrócił do hotelu, Margot wylegiwała się na leżaku wystawionym na taras i jadła wiśnie, a Rex w kąpielówkach siedział na białej balustradzie, wystawiając do

słońca włochate opalone plecy. Spokojny, pełen szczęścia obrazek.

- Spóźniłem się na ten przeklęty autobus – z uśmiechem wyjaśnił Albinus.
- Cały ty – orzekła Margot.
- Zauważyliście może człowieczka ubranego na biało, ze złocistą bródką?
- Ja owszem – powiedział Rex. – Siedział akurat za nami. A bo co?
- Nic, nic. Tyle tylko, że go kiedyś znałem.

Nazajutrz rano Albinus jął sumiennie rozpytywać w biurze turystycznym, a potem w pewnym niemieckim pensjonacie, ale nikt nie umiał mu podać adresu Udo Conrada. „Właściwie to niewiele mamy sobie do powiedzenia – stwierdził w duchu. – Prawdopodobnie znów się na niego natknę, jeżeli jeszcze trochę tu zostaniemy. A gdybym nawet się nie natknął, mała strata”.

Rankiem po kilku dniach obudził się wcześniej niż zwykle, szeroko otworzył okiennice, uśmiechnął się do tkliwego, błękitnego nieba i do łagodnych zielonych wzgórz, świetlistych, lecz zamglonych niby barwna winieta pod bibułką, i strasznie zachciało mu się wspinać i wędrować, wdychając woniejące tymiankiem powietrze.

Margot zbudziła się.

– Tak jeszcze wcześniej – powiedziała sennym tonem.

Zaproponował, żeby się szybko ubrali i poszli gdzieś na cały dzień, tylko we dwoje...

– Idź sam – mruknęła, przewracając się na drugi bok.

– Ach, ty leniuszku – rzekł ze smutkiem. Było koło ósmej. Żwawym krokiem wyszedł z plątaniny wąskich uliczek, które pasma porannego cienia i słońca ciąły wzdłuż na pół, i zaczął piąć się pod górę.

Mijając maleńką willę pomalowaną na kolor ciepłego różu, usłyszał metaliczny stukot sekatora i zobaczył, że Udo Conrad przystrzyga coś w skalistym ogródku. Tak, zawsze miał dobrą rękę do roślin.

– Nareszcie cię dopadłem – wesoło powiedział Albinus, a tamten odwrócił się, lecz nie odwzajemnił uśmiechu.

– O – rzekł oschle. – Nie spodziewałem się, że jeszcze się zobaczymy.

Pod wpływem samotności stał się drażliwy jak stara panna i teraz chorobliwie delektował się własną urazą.

– Nie wygłupiaj się, Udo – powiedział Albinus, podchodząc bliżej i delikatnie odsuwając pierzaste gałązki mimozy, która zagradzała mu drogę, melancholijnie pochylona. – Wiesz doskonale, że wcale nie chciałem spóźnić się na autobus. Myślałem, że okrąży wioskę i wróci w to samo miejsce.

Conrad trochę zmiękł.

– Nie szkodzi – rzekł. – Często tak bywa: człowiek spotyka kogoś po dłuższej przerwie i nagle ogarnia go wręcz paniczna ochota, żeby zrobić unik. Pomyślałem, że nie cieszy cię perspektywa przymusowej pogawędki o dawnych czasach w autobusie, tym ruchomym więzieniu, całkiem zgrabnie się zresztą wymknąłeś.

Albinus roześmiał się.

– Prawda jest taka, że od paru dni na ciebie poluję. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie się podziewasz.

– No tak, dopiero przed kilkoma dniami wynająłem ten domek. A ty gdzie się zatrzymałeś?

– A, w Britannii. Naprawdę strasznie się cieszę, że cię widzę, Udo. Musisz mi wszystko o sobie opowiedzieć.

– Przejdziemy się kawalek? – z powątpiewaniem spytał Conrad. – Dobrze. Zmienię buty.

Za minutę wrócił i ruszyli pod górę chłodną, cienistą drogą, której niebieskiego asfaltu nie zdążyło jeszcze dotknąć gorące poranne słońce, wijącą się między kamiennymi murami okrytymi winoroślą.

– A jak twoja rodzina? – zainteresował się Conrad. Albinus zawahał się i po chwili odparł:

– Lepiej nie pytaj, Udo. Przydarzają mi się ostatnio straszne rzeczy. W zeszłym roku Elisabeth i ja rozstaliśmy się. A potem moja mała Irma zmarła na zapalenie płuc. Jeśli pozwolisz, wolałbym o tych sprawach nie mówić.

– Jakie to przykre – rzekł Conrad.

Obaj zamilkli, Albinus zastanawiał się, czy nie byłoby romantycznie i zajmująco, gdyby opowiedział o swojej namiętnej miłości temu dawnemu koledze, który zawsze dotąd znał go jako nieśmiałka unikającego przygód; odłożył to jednak na później. Natomiast Conrad myślał o tym, że popełnił błąd, idąc z Albinusem na spacer: wolał towarzystwo ludzi beztroskich i szczęśliwych.

– Nie wiedziałem, że jesteś we Francji – powiedział Albinus. – Wydawało mi się, że zazwyczaj mieszkasz w kraju Mussoliniego.

– A kto to taki, ten Mussolini? – spytał Conrad, z namysłem marszcząc brwi.

– Ach, nic się nie zmieniłeś – zaśmiał się Albinus. – Nie bój się, nie będę mówił o polityce. Opowiedz mi, proszę, o swojej pracy. Twoja ostatnia powieść była nadzwyczajna.

– Obawiam się – rzekł Udo – że nasza ojczyzna nie jest na odpowiednim poziomie, aby docenić to, co piszę. Chętnie pisałbym po francusku, ale żał mi rozstawać się z do-

świadczeniem i bogactwem, które zgromadziłem, posługując się naszym językiem.

– Daj spokój – zaprotestował Albinus. – Mnóstwo osób uwielbia twoje książki.

– Nie tak jak ja sam je uwielbiam. Minie wiele lat, może nawet całe stulecie, nim należycie mnie docenią. A i to pod warunkiem że sztuka pisania i czytania nie popadnie tymczasem w całkowite zapomnienie; bo od półwiecza w Niemczech zapomina się ją dość gruntownie.

– Jak to? – spytał Albinus.

– No cóż, kiedy literatura karmi się wyłącznie Życiem i Życiorysami, znaczy to, że umiera. A o powieściach podszytych Freudem lub opiewających wiejską ciszę mam niskie mniemanie. Powiesz może, że nie liczą się literackie masy, lecz tych kilku prawdziwych pisarzy, którzy wyniośle trzymają się na uboczu, niedostrzegani przez namaszczone, pompatyczną współczesność. Ale tak czy owak sytuacja ta wystawia mnie chwilami na ciężką próbę. Dostaję szału, kiedy widzę, jakie książki serio się traktuje.

– Nie – odparł Albinus. – Wcale się z tobą nie zgadzam. Skoro nasza epoka interesuje się problemami społecznymi, nie widzę powodu, żeby utalentowani pisarze nie mieli jej w tym pomóc. Wojna, powojenne niepokoje...

– Przestań – łagodnie jęknął Conrad.

Znowu zamilkli. Kręta droga zaprowadziła ich do sosnowego zagajnika, w którym świegot cykad brzmiał jak niekończące się nakręcanie i turkot zabawki napędzanej sprężyną. Strumyk płynął po płaskich kamieniach, a one zdawały się drzeć pod węzłami wody. Usiedli na suchej, słodkowonnej murawie.

– Ale czy nie czujesz się trochę wyrzutkiem przez to, że stale mieszkasz za granicą? – spytał Albinus, zadzierając głowę, żeby spojrzeć na wierzchołki sosen, nieco podobne do alg pływających w niebieskiej wodzie. – Nie tęsknisz za dźwiękiem niemieckiej mowy?

– Och, czasem spotykam przypadkiem jakichś rodaków; zdarzają się przy tym całkiem zabawne sytuacje. Zauważyłem na przykład, że turyści niemieccy skłonni są myśleć, iż nikt na świecie nie rozumie ich języka.

– Nie mógłbym stale mieszkać za granicą – rzekł Albinus, kładąc się na plecach i podążając marzycielskim spojrzeniem za widocznymi wśród zielonych gałęzi konturami niebieskich zatok, lagun i strumyków.

– Tego dnia, kiedy się spotkaliśmy – powiedział Conrad, także się kładąc z dłońmi pod głową – przeżyłem coś dosyć fascynującego dzięki twoim przyjaciółom, którzy jechali ze mną autobusem. Znasz tę parę, prawda?

– Owszem, trochę – z lekkim śmieszkiem odparł Albinus.

– Tak też myślałem, bo strasznie ich rozweseliło to, że nie zdążyłeś wsiąść.

(„Szelmotka – z rozczuleniem pomyślał Albinus. – Powiedzieć mu o niej? Nie”).

– Nieźle się bawiłem, słuchając ich rozmowy. Ale nie czułem specjalnej nostalgii. Dziwna rzecz: im więcej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że w życiu artysty przychodzi chwila, kiedy ojczyzna przestaje mu być potrzebna. To tak jak z tymi stworzeniami, które najpierw żyją w wodzie, a potem na lądzie.

– Coś we mnie zawsze tęskniłoby za chłodem wody – rzekł Albinus z nieco ciężką przekorą. – Nawiasem mówiąc, znalazłem ładny fragment na samym początku *Odkrycia Taprobany*, tej nowej książki Bauma. Otóż przed wiekami pewien chiński podróżnik trafił przez pustynię Gobi do Indii, a gdy dotarł na Cejlon i w sanktuarium na wzgórzu stanął obok wielkiego Buddy z jadeitu, zobaczył, że jakiś kupiec składa jako wotum przedmiot pochodzący z Chin, biały jedwabny wachlarz, no i...

– I wtedy – przerwał mu Conrad – „podróżnika ogarnęło nagle przemożne znużenie długim pobytem na obczyźnie”. Znam, znam, chociaż nie przeczytałem ostatniego płodu tego koszmarnego durnia i nigdy go nie przeczytam. Zresztą kupcy, których tu widuję, niezbyt się nadają do roli katalizatorów nostalgii.

Znów obaj zamilkli, obaj setnie znudzeni. Conrad jeszcze przez parę minut napawał się widokiem sosen i nieba, po czym usiadł i rzekł:

– Wiesz, stary, bardzo mi przykro, ale czy miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy zawrócili? Muszę jeszcze trochę popisać przed południem.

– Słusznie – zgodził się Albinus i zaraz wstał. – Ja też muszę wracać.

W milczeniu zeszedli ścieżką, a pod drzwiami Conrada z wylewną serdecznością uścisnęli sobie dłonie.

„No, nareszcie – z wielką ulgą pomyślał Albinus. – Więcej do niego nie pójde, nie ma obawy!”

W drodze do domu postanowił wstąpić do *bar-tabacs* po papierosy i właśnie odsuwał grzbietem dłoni dźwięcznie falującą zasłonkę z koralików i trzciniek, gdy zderzył się z emerytowanym pułkownikiem francuskim, który od dwóch czy trzech dni siedział w jadalni przy sąsiednim stole. Albinus cofnął się na wąski chodnik.

– *Pardon* – rzekł oficer (dziarski jegomość). – Piękny ranek, co?

– Przepiękny – zgodził się Albinus.

– A gdzież to się dziś podziewają kochankowie? – spytał pułkownik.

– Co ma pan na myśli? – zdziwił się Albinus.

– No cóż: ludzi, którzy obściskują się po kątach (*qui se pelotent dans tous les coins*), tak zwykle się określa, prawda? – powiedział pułkownik, a jego porcelanowo błękitne, przekrwione oczy miały wyraz, który Francuzi nazywają *goguenard*. – Żeby jeszcze – dodał – nie robili tego w ogrodzie tuż pod moim oknem. W starym człowieku budzi to zazdrość.

– Co ma pan na myśli? – powtórzył Albinus.

– Nie dam rady powiedzieć tego wszystkiego jeszcze raz po niemiecku – zaśmiał się oficer. – Życzę miłego dnia.

I odszedł. Albinus wszedł do sklepiku.

– Co za bzdura! – zawołał, twardym wzrokiem wpatrując się w kobietę, która siedziała na taborecie za ladą.

– *Comment, Monsieur?* – spytała.

– Kompletna bzdura! – powtórzył, przystając na rogu, i jeszcze przez chwilę stał tam ze zmarszczonym czołem, zawadzając przechodniom. Miał niejasne wrażenie, że cała sytuacja nagle przekręciła się wspaniałym i trzeba ją czytać od tyłu, jeśli chce się zrozumieć. Nie czuł ani odrobiny bólu czy zdumienia. Po prostu jakaś siła, choć mroczna i złowieszcza, mimo to gładko i bezszelestnie sunęła ku niemu; on zaś trwał w marzycielskim, bezradnym odrętwieniu, nie próbując nawet zrobić uniku przed tym upiornym natarciem, jak gdyby obserwował interesujące zjawisko, które nie może wyrządzić mu szkody, póki nie minie odrętwienie.

– Niemożliwe – powiedział nagle, i wtedy przyszła mu do głowy dziwaczna, pokrętna myśl, podążył za jej niesamowitym, nietoperzym lotem-dygotem, jakby i ona

była czymś, czego nie należy się bać, lecz to zbadać. Obrócił się, o mało nie przewracając dziewczynki w czarnym fartuszk, i spiesznie ruszył tam, skąd dopiero co przyszedł.

Conrad pisał w swoim ogrodzie, ale przed chwilą udał się do pracowni na parterze po potrzebny akurat notatnik i właśnie go szukał na biurku przy oknie, kiedy spostrzegł twarz Albinusa, który mu się przez to okno przyglądał. („A niechże go – pomyślał szybko. – Nigdy mi już nie da spokoju? Co chwila wyskakuje jak spod ziemi”).

– Słuchaj, Udo – rzekł Albinus dziwnym tonem, jakby zacierały mu się kontury wyrazów. – Zapomniałem o coś cię spytać. O czym oni rozmawiali w autobusie?

– *Pardon?* – zdziwił się Conrad.

– O czym ci dwoje rozmawiali w autobusie? Powiedziałeś, że było to dla ciebie fascynujące przeżycie.

– Co takiego? – spytał Conrad. – Ach tak, przypominam sobie. Owszem, poniekąd fascynujące. Tak, masz rację. Mówisz o tej scenie, o której wspomniałem, żeby dać ci przykład, jak zachowują się Niemcy, kiedy myślą, że nikt ich nie rozumie? O to ci chodzi?

Albinus skinął głową.

– No cóż – rzekł Conrad – były to najbardziej tandetne, krzykliwe, najobrzydliwsze brednie zakochanych, jakie w życiu słyszałem. Ci twoi znajomi mówili o swojej miłości z taką swobodą, jakby byli sami w raju, i to dosyć ohydny, niestety.

– Udo – powiedział Albinus – czy możesz przysiąc, że to prawda?

– *Pardon?*

– *Czy jesteś zupełnie, ale to zupełnie pewien tego, co mówisz?*

– Ależ tak. O co w tym wszystkim w ogóle chodzi? Czekał, wyjdę do ogrodu, nic nie słyszę przez szybę.

Znalazł notatnik i wyszedł.

– Hej, gdzie jesteś? – zawołał. Lecz Albinus znikł. Conrad wyszedł na ulicę. Nie, gościa nie było już widać.

– Zachodzi obawa – mruknął Conrad – że zdarzyła mi się gafa (co za paskudny asonans! „Czy istotnie zachodzi *obawa*, że to była... la, la, la, la... *gafa?*” (Straszne!).

Albinus zszedł równym krokiem do miasteczka, ani trochę nie przyspieszając przeciął bulwar i znalazł się w hotelu. Wjechał na górę, wszedł do swojego – i Margot – pokoju. Był on pusty, łóżko niezaścielone, komuś wylało się trochę kawy, na białym dywaniku połyskiwała łyżeczka. Z pochyloną głową wpatrzył się w ten lśniący punkt. Z ogrodu dobiegł przenikliwy śmiech Margot.

Albinus wychylił się przez okno. Szła obok chłopaka w białych szortach, paplając, wywijając rakieta, która błyszczała w słońcu jak szczerze złoto. Chłopak spostrzegł Albinusa w oknie na drugim piętrze. Margot zadarła głowę, spojrzała i stanęła.

Albinus zrobił ręką taki ruch, jakby coś chwycił i przyciskał do piersi: gest ten miał znaczyć: „chodź na górę” i tak też go rozumiała. Skinęła głową i ruszyła leniwym krokiem po zwirowanej ścieżce w stronę oleandrów, które rosły na prawo i lewo od drzwi wejściowych.

Odszedł od okna, przykucnął nad walizką i otworzył ją, ale zaraz sobie przypomniał, że to, czego szuka, schowane jest gdzie indziej. Podeszedł do szafy i wsunął rękę do kieszeni żółtego płaszcza z wielbłądziej wełny. Szybko obejrzał wyjęty stamtąd przedmiot, sprawdzając, czy nabity: a potem ustawił się przy drzwiach.

Skoro tylko się otworzą, natychmiast ją zastrzeli. Nie będzie się fatygował zadawaniem pytań. Wszystko było jasne jak śmierć i ze swoiście szkaradną łatwością mieściło się w logice sytuacji. Oszukiwali go systematycznie, wytrwale, z artyzmem. Margot musi zginąć, i to już.

Gdy tak czatował na nią przy drzwiach, w wyobraźni zaczął towarzyszyć jej krok. Teraz weszła do hotelu; teraz jedzie windą na górę. Nasłuchiwał, kiedy korytarzem zacznie się zbliżać stukot obcasów. Ale jego fantazja prześcignęła Margot. Było zupełnie cicho. Musi więc zacząć od nowa. Pistolet wydawał się naturalnym przedłużeniem dłoni – napiętej, spragnionej rozładowania: myśl o naciśnięciu wklęsłego spustu sprawiała Albinusowi nieledwie zmysłową przyjemność.

O mało nie strzelił w białe zamknięte drzwi, kiedy usłyszał lekkie klaskanie jej gumowych podeszew – ależ tak, oczywiście: miała na nogach tenisówki, więc nie mogła stukać obcasami. Teraz! Wtem jednak rozległy się jakieś inne kroki.

– Czy Madame pozwoli, że zabiorę tacę? – spytano po francusku za drzwiami. Margot weszła razem z pokojówką. Albinus bezwiednie wsunął pistolet do kieszeni.

– Czego chcesz? – zapytała dziewczyna. – Mogłeś przecież sam zejść na dół, zamiast wołać mnie tak obcesowo.

Nie odpowiedział, tylko patrzył z pochyloną głową, jak pokojówka stawia na tacy naczynia i sięga po upuszczoną łyżeczkę. Podniosła tacę, promiennie się uśmiechnęła i wyszła, a drzwi nareszcie się zamknęły.

– Albert, co się w ogóle stało?

Wsunął dłoń do kieszeni. Margot z bolesnym dygotem padła na krzesło przy łóżku, zgięła opaloną szyję i zaczęła szybko rozwiązywać sznurowadło białego pantofla. Widział jej lśniące włosy szatynki i niebieskawy cień na podgolonym karku. Nie sposób strzelić, kiedy ona akurat zdejmuje but. Starła sobie skórę tuż nad piętą i krew przesiąkła przez białą skarpetkę.

– To bez sensu, że za każdym razem tak sobie obcieram – rzekła, podnosząc głowę. Zobaczyła czarny pistolet w jego dłoni.

– Przestań się nim bawić, głupku – powiedziała bardzo spokojnie.

– Wstań – szepnął Albinus, kurczowo chwytając ją za nadgarstek.

– Właśnie, że nie wstanę – odparła, wolną ręką ściągając skarpetkę. – No puszczaj. Patrz, przykleiło się do skarpetki.

Potrząsnął nią tak gwałtownie, że krzesło zaklekotało. Wczepiła się w brzeg łóżka i parsknęła śmiechem.

– Proszę bardzo, zastrzel mnie – powiedziała. – Będzie całkiem jak w tej sztuce, którą widzieliśmy, tej z czarnuchem i poduszką, a ja jestem dokładnie tak samo niewinna jak tamta dziewczyna.

– Kłamiesz – szepnął Albinus. – Ty i ten łajdak. Nic tylko podstępny i o-o-oszustwa, i... – Zatrzęsała mu się górna warga. Usiłował zapanować nad jękaniem.

– Proszę cię, odłóż go. Nie będę z tobą rozmawiać, póki nie odłożysz. Nie wiem, co się właściwie stało, i nie chcę wiedzieć. Wiem tylko jedno: jestem ci wierna, jestem wierna...

– Dobrze – ochrypłym głosem rzekł Albinus. – Możesz powiedzieć, co masz do powiedzenia. Ale potem umrzesz.

– Nie potrzebujesz mnie zabijać – naprawdę nie potrzebujesz, kochanie.

– Mów dalej. No, mów.

(„...jakbym skoczyła do drzwi – pomyślała – może bym akurat zdążyła wybiec na korytarz. Narobiłabym wrzasku i ludzie przylecieliby z dołu. Ale to by wszystko popsuło, wszystko...”)

– Nie mogę mówić, póki trzymasz to żelastwo. Proszę cię, odłóż.

(„...a może dałabym radę wytrącić mu z ręki?...”)

– Nie – odparł Albinus. – Przede wszystkim musisz się przyznać... Mam informacje... Wiem wszystko... Wiem wszystko... – powtórzyła miącym się głosem, przechadzając się po pokoju i uderzając kantem dłoni w meble. – Wiem wszystko. Siedział za wami w autobusie, a wy zachowywaliście się jak para kochanków. No pewnie, że cię zastrzelę.

– Tak właśnie myślałam – powiedziała Margot. – Wiedziałam, że nie zrozumiesz. Na miłość boską, odłóż go, Albert.

– A co tu jest do rozumienia? – wrzasnął. – Co tu jest do wyjaśniania?

– Po pierwsze wiesz przecież doskonale, Albert, że jego nie interesują kobiety.

– Milcz! – krzyknął Albinus. – To było od samego początku wredne kłamstwo, łotrowska sztuczka.

(„Krzyczy, no to po strachu”, pomyślała Margot).

– Nie, on naprawdę nie interesuje się kobietami – podjęła po chwili. – Ale raz, dla kawału, powiedziałam do niego: „Słuchaj, przekonajmy się, czy potrafię tak zrobić, żebyś zapomniał o tych swoich chłopcach”. Oboje wiedzieliśmy, że to tylko kawał. Nic więcej nie było, nic więcej nie było, kochanie.

– Wstrętne kłamstwo. Nie wierzę. Conrad was widział. Ten francuski pułkownik też. Tylko ja byłem ślepy.

– Och, bo ja często go tak prowokowałam – odparła z niezmaconym spokojem. – To było bardzo śmieszne. Ale jak masz się denerwować, to już więcej nie będę.

– Czyli zdradzałaś mnie dla żartu? Co za plugastwo!

– Ale gdzie tam, wcale cię nie zdradzałam! Jak śmiesz w ogóle tak mówić. Zresztą on by nie dał rady się do tego przyłożyć. Ani razu się nie pocałowaliśmy, bo nawet takiego drobiazgu oboje byśmy się brzydzili.

– A gdybym tak go przepytał – nie przy tobie, oczywiście nie przy tobie?

– Pytaj, czemu nie. Powie ci dokładnie to samo. Tylko że się ośmieszysz.

Rozmawiali w ten sposób godzinę. Margot stopniowo brała górę. W końcu jednak nie wytrzymała i dostała napadu hysterii. Rzuciła się na łóżko, wciąż jeszcze ubrana w białą sukienkę do tenisa, z jedną stopą bosą, a gdy się pomału uspokoiła, zaczęła płakać z głową wtuloną w poduszki.

Albinus siedział w fotelu przy oknie; na dworze świeciło słońce, a od kortów niosły się wesołe głosy jakichś Anglików. Przebiegł pamięcią wszystkie najdrobniejsze epizody,

od samego początku swej znajomości z Rexem, i stwierdził, że ten i ów muśnięty jest tym sinym światłem, w którym tonie teraz całe jego istnienie. Coś zostało nieodwołalnie zniszczone; choćby Margot najbardziej przekonująco próbowała udowodnić, że była mu wierna, wszystko miał odtąd płamić trujący smak zwątpienia.

W końcu wstał, podszedł do łóżka, popatrzył na jej różową, pomarszczoną piętę z kawałkiem czarnego plastra – kiedy właściwie zdążyła go przykleić? – popatrzył na złocistobrązową skórę smukłej, lecz silnej łydki i uświadomił sobie, że mógłby ją zabić, ale rozstać się z nią nie potrafi.

– Dobrze, Margot – rzekł ponuro. – Wierzę ci. Ale musisz zaraz wstać i się przebrać. Natychmiast się spakujemy i wyjedziemy stąd. Fizycznie nie jestem teraz zdolny do spotkania z nim: nie ręczę za siebie. Nie żebym wierzył, że mnie z nim zdradziłaś, nie, nie dlatego; ale po prostu nie jestem w stanie, zbyt wyraźnie to wszystko sobie wyobraziłem i... no, mniejsza... Chodź, wstań...

– Pocałuj mnie – powiedziała miękko.

– Nie, nie teraz. Chcę stąd jak najszybciej wyjechać... O mało cię w tym pokoju nie zastrzeliłem i na pewno cię zastrzelę, jeżeli natychmiast się nie spakujemy, natychmiast.

– Jak sobie chcesz – odparła. – Tylko pamiętaj, proszę, że znieważyłeś mnie i moją miłość do ciebie w najgorszy z możliwych sposobów. Później to pewnie zrozumiesz.

Spakowali się szybko i w milczeniu, nie patrząc na siebie. Portier przyszedł po bagaż.

Rex grał w pokera z dwojgiem Amerykanów i z jakimś Rosjaninem na tarasie w cieniu ogromnego eukaliptusa. Tego ranka szczęście mu nie sprzyjało. Już się namyślał, żeby przy następnym tasowaniu zatrzymać w ręku parę kart albo w pewien specjalny sposób posłużyć się lusterkiem ukrytym w wieczku papierośnicy (choć nie lubił takich małostkowych sztuczek i uciekał się do nich tylko wtedy, kiedy grał z nowicjuszami), lecz nagle ujrzał przez magnolie, że uliczką od garażu jedzie samochód Albinusa. Auto skręciło niezdarnie i znikło.

– Co to znowu za numer? – mruknął. – Kto prowadzi?

Zapłacił, co był winien, i zaczął szukać Margot. Nie znalazł jej na kortach ani w ogrodzie. Wjechał na górę. Zobaczył, że drzwi Albinusa są uchylone. Pokój był martwy, otwarta szafa – pusta, podobnie jak szklana półeczka nad umywalką. Na podłodze leżała podarta i zmięta gazeta.

Rex pociągnął się za dolną wargę i przeszedł do własnego pokoju. Pomyślał – bez przekonania – że może znajdzie tam list, który mu wyjaśni sytuację. Ale oczywiście nic nie znalazł. Cmoknął, po czym zszedł do hallu, żeby sprawdzić, czy chociaż zapłacili za niego rachunek.

Wiele osób, nie dysponując skądinąd żadną specjalistyczną wiedzą, potrafi mimo to doprowadzić do porządku instalację elektryczną, gdy nastąpi tajemnicze zdarzenie zwane „krótkim spięciem”; albo za pomocą scyzoryka uruchomić zatrzymany zegarek; lub nawet – w razie konieczności – usmażyć kotlet. Albinus nie był jednym z tych ludzi. Nie umiał zawiązać muszki, obciąć sobie paznokci u prawej ręki ani zawinąć paczki; nie umiał odkorkować butelki, nie rozdziobując na drobne kawałki jednej połowy korka i nie topiąc drugiej. W dzieciństwie nigdy niczego nie budował, jak to często robią chłopcy. Za młodu nigdy nie rozebrał roweru na części i poza samą jazdą właściwie nic nie potrafił z nim zrobić; ilekroć zdarzyło mu się przebić dętkę, prowadził okulawioną maszynę – mlaszczącą jak stary kalosz – do najbliższego warsztatu. Kiedy w późniejszych latach studiował konserwację sztuki, zawsze bał się własnoręcznie dotknąć płótna. Podczas wojny wyróżnił się zdumiewającym brakiem jakichkolwiek zdolności manualnych. Wobec powyższego dziwne wydaje się nie tyle to, że był bardzo kiepskim kierowcą, ile fakt, że w ogóle umiał kierować autem.

Wolno i z trudem (po zawiłym sporze, którego sedna nie zdołał pojąć, z policjantem na skrzyżowaniu) wyprowadził wóz z Rouginard i trochę przyspieszył.

– Byłbyś łaskaw mi powiedzieć, dokąd jedziemy, jeśli łaska? – kąśliwie spytała Margot.

Wzruszył ramionami, patrząc prosto przed siebie, prosto w lśniącą, niebieskoczarą szosę. Odkąd wyjechali z Rouginard, gdzie w wąskich uliczkach roiło się od ludzi i aut, więc musiał co chwila trąbić, hamować z raptownym szarpnięciem i niezdarnie skręcać – odkąd zaczęli gładko się toczyć szosą, przez głowę przelatywały mu rozmaite myśli, mroczne i skłębione: że droga pnie się coraz wyżej i wkrótce zacznie niebezpiecznie wici się wśród gór; że guzik Rexa zaplątał się w koronki Margot, a on, Albinus, nigdy jeszcze nie czuł w sercu takiego ciężaru i bólu.

– Wszystko mi jedno, dokąd jedziemy – rzekła Margot.

– Po prostu chciałabym wiedzieć. I proszę cię, trzymaj się prawej strony. Jak nie umiesz prowadzić, to lepiej pojedźmy pociągiem albo w najbliższym garażu wynajmijmy szofera.

Albinus gwałtownie zahamował, bo w oddali pojawił się jakiś autokar.

– Co ty wyprawiasz, Albert? Trzymaj się prawej strony, to zupełnie wystarczy.

Autokar pełen turystów minął ich jak burza. Albinus znów ruszył. Droga zaczęła okrążyć górę.

„Czy to ważne, dokąd jedziemy? – pomyślał. – I tak nie ucieknę przed tą męką. Najbardziej tandetne, krzykliwe, najobrzydliwsze... Zaraz zwariuję”.

– Więcej się ciebie pytać nie będę – powiedziała Margot – ale na miłość boską, nie rób takich zygzaków przed każdym zakrętem. Istny cyrk. Co ty robisz z tą kierownicą? Gdybyś wiedział, jak mnie boli głowa. Odetchnę, kiedy wreszcie gdzieś dojedziemy, byle gdzie.

– Przysięgasz, że nic między wami nie było? – słabym głosem spytał Albinus i zaraz poczuł, jak gorące łzy przesłaniają mu widok. Zamrugał i droga znów się ukazała.

– Przysięgam – rzekła Margot. – Mam już dość tego przysięgania. Zabij mnie, ale więcej nie męcz. A tak w ogóle, to jest mi za gorąco. Chyba zdejmę płaszcz.

Albinus zahamował. Margot roześmiała się.

– Czy to powód, żeby od razu hamować? O rany.

Pomagając dziewczynie zdjąć prochowiec, przypomniał sobie z niebywałą wyrazistością, jak to dawno temu w pewnej nędznej kafejce po raz pierwszy zauważył ruch jej ramion i nachylenie pięknej szyi, kiedy wyłuskiwała się z rękawów.

Łzy niepohamowanie spłynęły mu po policzkach. Margot objęła go i przycisnęła skroń do jego spuszczonej głowy.

Ich auto stało blisko kamiennego krawężnika, mocnego, niespełna trzydziestocentymetrowego murku, za którym zaczynało się strome zbocze wąwozu zarośniętego jeżynami. Hen, z dołu dobiegał poświst i grzmot wartkiego potoku. Po lewej stronie pochyło wznosiła się czerwona skała porośnięta na szczycie sosnami. Słońce prażyło. Nieco dalej przed nimi mężczyzna w ciemnych okularach siedział na poboczu i tłukł kamienie.

– Tak bardzo cię kocham – jęknął Albinus. – Tak bardzo.

Pieścił jej dłonie i głaskał ją konwulsyjnie. Zaśmiała się cicho, z satysfakcją.

– Daj mi teraz poprowadzić – poprosiła. – Wiesz, że jestem w tym lepsza.

– Nie, robię postępy – odparł, uśmiechając się, przetykając, wydmuchując nos. – Dziwne, że naprawdę nie wiem, dokąd jedziemy. Bagaż wysłałem chyba do San Remo, ale pewien nie jestem.

Uruchomił silnik i pojechali dalej. Albinus miał wrażenie, że prowadzi mu się łatwiej, auto jest bardziej posłuszne, a on już nie wczepia się tak nerwowo w kierownicę. Zakręty stawały się coraz częstsze. Po jednej stronie wznosiło się strome urwisko; po drugiej zionął wąwóz. Słońce kłuło w oczy. Wskazówka szybkościomierza drżała i pięła

się w górę.

Zbliżali się do ostrego wirażu i Albinus postanowił wziąć go szczególnie zręcznie. Wysoko nad szosą staruszka zbierająca zioła ujrzała, jak na prawo od urwiska niebieski samochodzik pędzi w stronę zakrętu, za którym mkną z przeciwka na niewiadome spotkanie dwaj skuleni nad kierownicami rowerzyści.

Staruszka zbierająca zioła na zboczu wzgórza widziała, jak do ostrego zakrętu zbliżają się z przeciwnych stron samochód i dwójka rowerzystów. Z samolotu pocztowego, który przez roziskrzony błękitem podniebny kurz leciał ku wybrzeżu, pilot widział serpentyny drogi, cień skrzydeł swej maszyny sunący po zalanych słońcem stokach i dwie wioski oddalone od siebie o dwadzieścia kilometrów. Gdyby wzbił się jeszcze wyżej, dostrzegłby może równocześnie góry Prowansji i dalekie miasto w innym kraju – powiedzmy, Berlin – gdzie także panował upał; tego akurat dnia policzek ziemi od Gibraltaru aż po Sztokholm malowało bowiem łagodne słońce.

W Berlinie tego akurat dnia sprzedano wiele porcji lodów. Irma patrzyła niegdyś z łakomą powagą, jak lodziarz smaruje cienki wafel gęstą, żółtawą masą, od której smaku język tańczy i rozkosznie bolą przednie zęby. Gdy więc Elisabeth wyszła na balkon i spostrzegła takiego właśnie lodziarza, zdziwiła się, że od stóp do głów ubrany jest na biało, a ona sama – na czarno.

Rano zbudziła się bardzo niespokojna, teraz zaś z dziwną rozpaczą zdała sobie sprawę, że oto po raz pierwszy otrząsnęła się z tępego odrętwienia, do którego ostatnio już całkiem przywykła, i nie rozumie, czemu czuje się tak dziwnie nieswojo. Postąpiła jeszcze chwilę na balkonie, myśląc o wczorajszym dniu, choć nic szczególnego w nim nie było: codzienna przejażdżka na cmentarz, pszczoły siadające na kwiatkach Elisabeth, wilgotny połysk bukszpanowego żywopłotu otaczającego grób; cisza i miękka ziemia.

„Co też to może być? – zastanawiała się. – Czemu aż mnie całą ciarki przechodzą?”

Widziała lodziarza w białej czapce. Balkon tak jakby się unosił – coraz wyżej, wyżej. Słońce odbijało się olśniewającym blaskiem w płytach chodnika, w Berlinie, w Brukseli, w Paryżu i dalej na południu. Samolot pocztowy leciał do St. Cassien. Staruszka zbierała zioła na skalistej pochyłości. Co najmniej przez rok miała potem opowiadać ludziom, jak widziała... co widziała...

Albinus nie bardzo potrafił ustalić, kiedy i skąd dowiedział się tego wszystkiego: ile minęło czasu, odkąd radośnie wziął wiraż (kilka tygodni), gdzie teraz jest (w klinice w Grasse), co dokładnie zrobili mu chirurdzy (trepanację) i dlaczego tak długo leżał bez zmysłów (z powodu wylewu krwi do mózgu). Przyszła jednak chwila, kiedy wszystkie te strzępki informacji skupiły się w jedną całość: żyje, jest w pełni przytomny i wie, że Margot i pielęgniarka są gdzieś w pobliżu. Czuł się tak, jakby właśnie się zbudził z miłej drzemki. Ale tego, jaka jest pora dnia, nie wiedział. Zapewne był dopiero wczesny ranek.

Czoło i oczy zasłaniał mu miękki, gruby bandaż. Ale czaszkę już odsłonięto i Albinus z dziwnym uczuciem dotykał palcami świeżo odrosłej szczeciny na głowie. Zachował w pamięci pewien obraz, krzykliwie jaskrawy niczym kolorowa fotografia na szkle: lśniący łuk niebieskiej drogi, na lewo zielono-czerwone urwisko, na prawo biały krawężnik, a z przodu nadjeżdżają rowerzyści – dwie zakurzone mały w pomarańczowych swetrach. Raptowne szarpnięcie kierownicą, żeby ich ominąć – i oto wóz pomknął w górę, wspinając się na stos kamieni po prawej, a w następnym ułamku tej samej sekundy tuż za przednią szybą ukazał się słup telegraficzny. Wyciągnięta ręka Margot przekreśliła ten obraz – i zaraz magiczna latarnia zgasła.

Luki w tym wspomnieniu wypełniła właśnie Margot. Wczoraj, przedwczoraj, a może jeszcze dawniej, powiedziała mu – a raczej nie ona, tylko jej głos, czemu sam głos? Czemu tak dawno już jej nie widział? Ten bandaż. Niedługo pewnie go zdejmą... Co mu powiedział głos Margot?

– ...Gdyby nie ten słup telegraficzny, przekoziółkowalibyśmy przez krawężnik i polecili w przepaść. To było straszne. Do tej pory mam na biodrze wielkiego siniaka. Wóz zrobił salto i rozbił się jak jajko. Kosztował... *le wóz... mille... beaucoup mille marks.* – (Uwaga adresowana najwidoczniej do pielęgniarki). – Albert, jak jest po francusku dwadzieścia tysięcy?

– Och, cóż to ma za znaczenie... Grunt, że żyjesz!

– Ci rowerzyści byli bardzo mili. Pomogli wszystko pozbierać. Nie znaleźli tylko rakiet do tenisa.

Rakiet do tenisa? Słońce na tenisowej rakiecie. Czemu to takie niemiłe? Ach, racja, ten koszmar w Rouginard. On z bronią w ręku. Ona coraz bliżej na gumowych podszwach. .. Nonsens – wszystko się wyjaśniło, wszystko było w porządku... Która godzina? Kiedy zdejmą mu bandaż? Kiedy będzie mógł wstać? Czy sprawa trafiła do gazet, do

niemieckich?

Kręcił głową w różne strony. Niepokoił go bandaż. No i ta niezbornosc zmysłów. Jego uszy chłoneły przez cały ten czas tyle wrażeń, a oczy – zupełnie żadnych. Nie wiedział, jak wygląda pokój, pielęgniarka, lekarz. A pora dnia? Czy to ranek? Albinus porządnie się wyspał, snem długim i słodkim. Okno musiało być chyba otwarte, bo słyszał dobiegający z zewnątrz stukot końskich kopyt, a także dźwięk płynącej wody i podzwonne wiadra. Może jest tam podwórko ze studnią i z chłodnym porannym cieniem platanów.

Przez jakiś czas leżał bez ruchu, usiłując przełożyć wszystkie te chaotyczne dźwięki na odpowiadające im kształty i barwy. Akurat odwrotnie, niż gdyby sobie wyobrażał głosy aniołów Botticellego. Niebawem usłyszał śmiech Margot, a potem pielęgniarki. Widocznie siedziały w sąsiednim pokoju. Pielęgniarka uczyła Margot poprawnej francuskiej wymowy. „*Soucoupe, soucoupe*”, parokrotnie powtórzyła Margot i obie cicho się zaśmiały.

Czując, że robi coś najsurowiej zabronionego, Albinus ostrożnie podciągnął bandaż i zerknął. Ale w pokoju wciąż panowała nieprzenikniona ciemność. Nie widział nawet niebieskawego poblasku okna ani tych bladych plam światła, które nocą gnieźdzą się na ścianach. Czyli jednak była noc, a nie ranek, nawet nie świt. Czarna, bezksiężycowa noc. Jakże zwodnicze bywają dźwięki. A może to firanki są takie grube?

Z sąsiedniego pokoju dobiegał miły grzechot naczyń.

– *Café aimé toujours, thé nicht toujours.*

Albinus zaczął obmacywać blat szafki nocnej, aż napotkał palcami elektryczną lampkę. Nacisnął pstryczek raz i drugi, ale ciemność pozostała bez zmian, jakby była za ciężka, aby dało się ją ruszyć. Pewnie wyciągnięto wtyczkę z kontaktu. Po omacku poszukał zapalek i rzeczywiście znalazł pudełko. W środku była tylko jedna zapalka, potarł nią o draskę, usłyszał ciche skwierczenie, jakby się zapaliła, lecz nie zobaczył płomienia. Cisnął ją precz i raptem poczuł lekką siarczaną woń. Dziwne.

– Margot! – zawołał nagle. – Margot!

Szybkie kroki i odgłos otwieranych drzwi. Ale nic się nie zmieniło. Przecież za drzwiami nie może chyba być ciemno, skoro one tam piją kawę?

– Zapal światło – rzekł gniewnie. – Proszę cię, zapal światło.

– Niegrzeczny chłopiec – powiedział głos Margot. Albinus usłyszał, że dziewczyna nadchodzi szybkim i pewnym krokiem przez bezwzględna noc. – Nie wolno ci dotykać bandaża.

– Jak to? Ty mnie chyba widzisz – wyjąkał. – Jakim cudem mnie widzisz? Zapal światło, słyszysz? Natychmiast!

– *Calmez-vous.* Proszę się nie ekscytować – powiedział głos pielęgniarki.

Te dźwięki, te kroki i głosy zdawały się poruszać na jakiejś innej płaszczyźnie. Albinus był tu, a one gdzieś indziej, a mimo to – w jakiś niewytłumaczalny sposób – tuż-tuż. Między nimi a spowijającą go nocą wznosiła się nieprzenikniona ściana. Tarł powieki, kręcił głową to w tę, to w tamtą stronę, rzucał się na łóżku, lecz nie mógł przedrzeć się przez litą ciemność, która była jakby częścią jego samego.

– To niemożliwe! – powiedział z rozpaczliwą emfazą.

– Oszaleję! Otwórz okno, zrób coś!

– Okno jest otwarte – odparła cicho.

– No to może nie ma słońca... Margot, może przy bardzo słonecznej pogodzie coś bym jednak zobaczył. Choćby najdrobniejsze mgnienie. Albo przez okulary.

– Leż spokojnie, mój drogi. Słońce świeci, jest przepiękny ranek. Albert, sprawiasz mi ból.

– Ja... ja... – Albinus zrobił głęboki wdech, aż klatka piersiowa rozděła mu się niczym potworny globus pełen wirującego ryku, który zaraz z siebie wypuścił, zmysłowo, na jednej nucie... a kiedy nic już nie zostało, znów zaczął wzbierać.

Po draśnięciach i sińcach znikł z czasem wszelki ślad, włosy odrosły, ale straszliwe wrażenie, że ma przed sobą litą czarną ścianę, trwało. W atakach śmiertelnej zgrozy wył, miotał się po pokoju i rozpaczliwie usiłował zedrzeć z oczu jakąś niewiadomą przesłonę, a gdy i ta faza minęła, zapadł w stan połowicznej świadomości, z którego jednak wkrótce znów się wyłoniła nieznośna góra udreki, porównywalna jedynie z paniką, w jaką wpada ktoś, kto budzi się w grobie.

Stopniowo wszakże napady te stawały się coraz rzadsze. Godzinami leżał na wznak, milczący i nieruchomy, wsłuchując się w odgłosy dnia, jak gdyby odwrócone doń plecami, pochłonięte wesołą rozmową z innymi. Nagle wspominał tamten poranek w Rouginard – w istocie początek całej tej sytuacji – i znowu zaczynał jęczeć. Wyobrażał sobie niebo, błękitne dale, światło i cień, jaskrawozielony stok upstrzony różowymi domami, piękne senne pejzaże, na które dawniej patrzył tak mało, tak mało...

Zanim wyszedł ze szpitala, Margot przeczytała mu list od Rexa, tej oto treści:

„Nie wiem, drogi Albinusie, co bardziej mnie oszołomiło – krzywda, jaką mi wyrządziłeś swym niepojętym i bardzo nieuprzejmym odjazdem, czy też nieszczęście, które cię spotkało. Lecz choć zraniłeś mnie do żywego, całym sercem współczuję ci w tym nieszczęściu, zwłaszcza gdy pomyślę, jak kochasz malarstwo i te uroki barw i linii, dzięki którym wzrok jest księciem pośród naszych zmysłów.

Wyruszam dziś z Paryża do Anglii, a stamtąd do Nowego Jorku, i sporo czasu minie, zanim znów ujrzę Niemcy. Przekaż ode mnie, proszę, życzliwe pozdrowienia swojej towarzyszce, której płocho i zepsuta natura była zapewne przyczyną nielojalności, jaką mi okazałeś. Osoba ta jest, niestety, stała tylko wobec samej siebie; lecz podobnie jak wiele kobiet pragnie być podziwiana, a pragnienie to przeradza się w niechęć, gdy mężczyzna wyraża się bez ogródek, ma odrażającą powierzchowność i nienaturalne skłonności, może więc budzić w niej jedynie złośliwe rozbawienie i wstręt.

Wierz mi, Albinusie, lubiłem cię ogromnie, bardziej niż ci to kiedykolwiek dałem odczuć; ale gdybyś mi wyraźnie powiedział, że moja obecność drażni was oboje, wysoce bym sobie cenił twoją szczerość, a na błogie wspomnienia naszych rozmów o malarstwie, naszych przechadzek w świecie barw, nie rzuciłby tak smutnej pomroki cień twej zdradzieckiej ucieczki”.

– Owszem, tak pisze homoseksualista – stwierdził Albinus. – W każdym razie cieszę się, że już go z nami nie ma. Wiesz, Margot, może to Bóg ukarał mnie za to, że ci

nie ufałem, ale biada ci, jeżeli...

– Jeżeli co? No mów, Albert, skończ zdanie...

– Nic, nic. Wierzę ci. O, wierzę ci.

Umilkł, a potem zaczął wydawać ten zdławiony dźwięk – ni to jęk, ni to ryk – który zawsze zwiastował paroksyzm zgrozy wobec otaczającej go ciemności.

– Książę pośród naszych zmysłów – parokrotnie powtórzył łamiącym się głosem. – Książę, zaiste...

Kiedy się uspokoił, Margot powiedziała, że idzie do biura podróży. Pocałowała go w policzek i żwawo ruszyła cienistą stroną ulicy.

Weszła do chłodnej restauracyjki i usiadła obok Rexa, który popijał białe wino.

– No i jak? – spytał. – Co powiedział ten nieszczęśnik na mój list? Prawda, że zgrabnie się wysłowiłem?

– Tak, gładko poszło. W środę jedziemy do Zurychu, do tego specjalisty. Zajmij się, proszę, biletami. Ale dla siebie kup miejscówkę w innym wagonie, tak będzie bezpieczniej.

– Wątpię – niedbałym tonem rzekł Rex – czy dadzą mi bilety za darmo.

Margot czule się uśmiechnęła i zaczęła wyjmować z torebki banknoty.

– A tak w ogóle – dodał Rex – byłoby dużo prościej, gdybym to ja trzymał kasę.

Choć Albinus już parę razy – w czeluściach nocy rozbrzmiewającej pogodną paplaniną dnia – wychodził na spacer, żałośnie niepewny spacer po chrzęszczących zwierem ścieżkach szpitalnego ogrodu, okazało się, że do podróży do Zurychu jest zupełnie nieprzygotowany. Na dworcu dostał zawrotu głowy – a nikt nie czuje się tak dziwnie, tak bezradnie jak niewidomy, kiedy kręci mu się w głowie. Oszalała go różnorodność dźwięków, kroków, głosów ludzkich, zgrzyt kół, obecność ostrych i krzepkich przedmiotów, które zdawały się napierać podstępny tłumem, toteż każdą sekundę wypełniał strach, że o coś zawadzi, chociaż Margot go prowadziła.

W pociągu czuł narastające w gardle mdłości, bo nie mógł zgrać brzęku i kołysania wagonu z jakimkolwiek ruchem naprzód, choćby najusilniej próbował wyobrazić sobie pejzaż, który niewątpliwie śmigał za oknem. A potem w Zurychu znów musiał przemykać się wśród niewidzialnych ludzi i rzeczy – przeszkód i narożników czyhających z zapartym tchem, żeby go uderzyć.

– No, chodźże, nie bój się – z irytacją rzekła Margot. – Przecież cię prowadzę. A teraz stań. To nic takiego, wsiądziemy tylko do taksówki. Podnieś nogę. Musisz być aż taki bojaźliwy? Słowo daję, zachowujesz się, jakbyś miał dwa lata.

Profesor, sławny okulista, dokładnie zbadał oczy Albinusa. Miał miękki, śliski głos, więc Albinus wyobraził go sobie jako starca o gładko wygolonej, księżowskiej twarzy, choć w rzeczywistości lekarz był dość jeszcze młody i nosił szczeciniasty wąsik. Powtórzył to, co pacjent po większej części już wiedział: nerwy wzrokowe uległy uszkodzeniu tam, gdzie krzyżują się w mózgu. Kontuzja ta może się z czasem zaleczyć; może też nastąpić całkowita atrofia – sytuacja jest niejasna, a prawdopodobieństwo obu tych rozwiązań jednakowe. W każdym razie, wzięwszy pod uwagę obecny stan chorego, najważniejszy jest zupełny spokój. Górskie sanatorium byłoby ideałem.

– A potem zobaczymy – rzekł profesor.

– Zobaczymy? – z melancholijnym uśmiechem powtórzył Albinus.

Pobyty w sanatorium nie nęcił Margot. Dwoje starych Irlandczyków, których poznali w hotelu, zaproponowało, że wynajmie im mały domek w górach, tuż nad modnym uzdrowiskiem. Dziewczyna spytała Rexa o zdanie i oboje pojechali (zostawiając Albinusa pod opieką wynajętej pielęgniarki), żeby zobaczyć, co to za miejsce. Okazało się całkiem miłe: nieduży jednopiętrowy domek z czystymi pokojami i kąpielnicą pełną święconej wody przy każdych drzwiach.

Położenie domu odpowiadało Rexowi: ustronne, wysoko na zboczu góry w gęstwinie czarnych jodeł, zaledwie o kwadrans piechotą od wioski i hoteli w dolinie. Wybrał dla siebie najbardziej słoneczny pokój na piętrze. Ze wsi sprowadzono kucharkę. Rex wygłosił do niej wielce sugestywne przemówienie:

– Proponujemy pani taką wysoką gażę, ponieważ będzie pani służyć człowiekowi, który ośleplł wskutek raptownego wstrząsu psychicznego. Sprawuję nad nim opiekę lekarską, ale z uwagi na stan umysłu chorego nie ma on prawa wiedzieć, że prócz niego i jego bratanicy mieszka w domu lekarz. Jeśli więc zdradzi pani moją obecność choćby najlżejszą wzmianką, bezpośrednią czy pośrednią, na przykład zwróci się do mnie tak, że pacjent usłyszy, zakłóci to proces zdrowienia, a pani w oczach prawa będzie odpowiedzialna za wszelkie tego skutki, postępek zaś taki jest w Szwajcarii, o ile mi wiadomo, zagrożony nader surową karą. Radzę też nie zbliżać się do pacjenta i nie wdawać z nim w jakiegokolwiek rozmowy. Miewa on napady szaleństwa i dopuszcza się wtedy straszliwie gwałtownych czynów. Może to panią zainteresuje, że raz już poważnie okaleczył pewną starszą kobietę (mocno do pani pod wieloma względami podobną, choć nie tak urodziwą), a mianowicie podeptał jej twarz. Nie bardzo bym chciał, żeby coś takiego się powtórzyło. A najważniejsze, że jeśli zacznie pani rozpuszczać we wsi plotki, budząc ludzką ciekawość, mój pacjent w swym obecnym stanie może wszystko w domu porozbijać, poczynając od pani własnej głowy. Czy wyrażam się jasno?

Przerażona kobieta o mało nie zrezygnowała z tej wspaniale płatnej pracy, a zgodziła się ją przyjąć dopiero, gdy Rex zapewnił ją, iż nigdy nie będzie musiała oglądać ślepcą, bo służy mu bratanica, a zresztą jest on całkiem nieszkodliwy, póki zostawia się go w spokoju. Ustalił też z nią, że żadnemu chłopcu od rzeźnika, żadnej praczce nie pozwoli się przekroczyć furtki. Kiedy już to załatwiono, Margot wróciła po Albinusa, a Rex przez ten czas zajął się przeprowadzką. Przywiózł bagaż całej trójki, przydzielał wszystkim pokoje i dopilnował, żeby usunięto wszelkie zbędne a łatwo tłukące się przedmioty. Potem udał się do swego pokoju i melodyjnie gwizdząc, porozwieszał na ścianach niezbyt stosowne rysunki piórkiem i tuszem.

Koło piątej sięgnął po lornetkę i dostrzegł daleko w dole wynajęty samochód, który właśnie nadjeżdżał. Margot w jaskrawoczerwonej bluzie wyskoczyła i pomogła Albinusowi wysiąść. Zgarbiony, w ciemnych okularach, wyglądał jak sowa. Auto zawróciło i znikło za zakrętem drogi, przy której rósł w tym miejscu gęsty las.

Margot wzięła za łokieć potulnego, niezręcznego mężczyznę, on zaś ruszył pod górę ścieżką, trzymając przed sobą laskę. Oboje znikli za jodłami, znów się pojawili, raz jeszcze znikli i wreszcie wyszli na niewielki taras z ogródkiem, gdzie ponura kucharka (nawiasem mówiąc, całym sercem oddana już Rexowi) bojaźliwie ruszyła im na spotkanie i starając się nie patrzeć na niebezpiecznego wariata, odebrała od Margot teczkę.

Rex tymczasem wychylił się przez okno i powitał dziewczynę zabawnymi gestami: przycisnął dłoń do serca, a potem urywanym ruchem wzniosł obie ręce, do złudzenia

naśladować Puncha, była to jednak oczywiście tylko pantomima, choć w bardziej sprzyjających okolicznościach potrafiłby też imponująco piszczeć. Margot posłała mu uśmiech i prowadząc Albinusa za łokieć, weszła do domu.

– Oprowadź mnie po pokojach i opisz mi wszystko – poprosił Albinus. Właściwie nie był niczego ciekaw, ale sądził, że taka runda sprawi Margot przyjemność: uwielbiała wprowadzać się do nowego mieszkania.

– Mała jadalnia, mały salonik, mały gabinet – objaśniała, oprowadzając go po parterze. Albinus dotykał mebli, poklepywał rozmaite sprzęty niczym główki nieznajomych dzieci i usiłował zorientować się w topografii.

– Czyli okno jest tam – powiedział, ufnie wskazując ślepą ścianę. Bolesnie zderzył się z kaniem stołu i zaczął udawać, że zrobił to celowo: oburącz obmacał stół, jakby chciał zdjąć zeń miarę.

Potem ramię w ramię weszli po skrzypiących drewnianych schodach. Na najwyższym stopniu siedział Rex i bezgłośnie skręcał się ze śmiechu. Margot pogroziła mu palcem; ostrożnie wstał i cofnął się, stąpając na palcach. Była to właściwie zbędna pedanteria, bo schody trzeszczały ogłuszająco pod stopami ślepca.

Skręcili w korytarz. Rex, który tymczasem wycofał się na próg swego pokoju, zrobił kilka przysiadów, przyciskając dłoń do ust. Margot gniewnie pokręciła głową – była to niebezpieczna zabawa, uczniackie zbytki.

– Tu jest moja sypialnia, a tu twoja – oznajmiła,

– Czemu nie wspólna? – smutno spytał Albinus,

– Och, Albert – westchnęła. – Wiesz, co powiedział lekarz.

Kiedy już wszędzie zajrzeli (tylko nie do pokoju Rexa, rzecz jasna), Albinus spróbował obejść cały dom bez jej pomocy, po prostu żeby pokazać, jak wspaniale wszystko mu uwidoczniła. Lecz prawie natychmiast zabłądził, wpakował się na ścianę, smutno się uśmiechnął i o mało nie rozbił umywalki. Zabłąkał się też do narożnego pokoju (właśnie tego, który zajął dla siebie Rex, z jedynym wejściem z korytarzyka), ale zupełnie już zdezorientowany pomyślał, że wychodzi z łazienki.

– Uważaj, to graciarnia – powiedziała Margot. – Rozbijesz sobie głowę. A teraz zawróć i spróbuj iść prosto przed siebie, aż trafisz do łóżka. Właściwie sama nie wiem, czy całe to łazęgowanie ci służy. Nie wyobrażaj sobie, że ci pozwolę codziennie tak zwiedzać; tylko dzisiaj zrobiłam wyjątek.

I tak zresztą był już zupełnie wyczerpany. Margot położyła go do łóżka i przyniosła mu kolację. Kiedy zasnął, poszła do Rexa. Ponieważ nie zdążyli jeszcze się dogadać z miejscową akustyką, rozmawiali szeptem. Ale równie dobrze mogliby mówić głośno: sypialnia Albinusa była dostatecznie daleko.

Nieprzenikniony całun, w jakim tkwił teraz Albinus, nadawał jego myślom i uczuciom pewną surowość, a nawet szlachetność. Mrok odgradzał go od dawnego życia, które nagle zgasło na najostrzejszym zakręcie. Galerię wyobraźni zaludniały zapamiętane sceny: Margot we wzorzystym fartuchu odsuwa fioletową firankę (jakże tęsknił dziś za jej burym kolorem!); Margot pod lśniącym parasolem skacze przez purpurowe kałuże; Margot naga przed lustrem szafy z ubraniami żuje żółtą bułkę; Margot w połyskliwym kostiumie kąpielowym rzuca piłką; Margot w srebrzystej sukni wieczorowej, z opalonymi ramionami.

Potem myślał o żonie, a życie z nią było teraz jakby skąpane w bladym, przygaszonym świetle i tylko czasem coś wyłaniało się z tego mlecznego oparu: jej jasne włosy w łagodnym blasku lampy, odbłysek na ramie obrazu, Irma bawiąca się szklanymi kulkami (w każdej tęcza), a później znowu mgła – i spokojne, nieomal lotne ruchy Elisabeth.

Wszystko z jego dawnego życia – nawet to, co najsmutniejsze i najbardziej wstydlive – powlekał zwodniczy urok barw. Albinus ze zgrozą uświadamiał sobie, jak niewielki użytek robił dotychczas z oczu, barwy te migały mu bowiem na zbyt niewyraźnym tle, a ich kontury były osobliwie zamazane. Jeśli na przykład wspominał krajobraz, w którym niegdyś żył, nie potrafił nazwać ani jednej rośliny prócz dębów i róż, ani jednego ptaka prócz wróbli i wron, a nawet i one więcej miały wspólnego z heraldyką niż z przyrodą. Zrozumiał, że w gruncie rzeczy nie bardzo różnił się dawniej od pewnego typu wąsko wyspecjalizowanego fachowca, którym tak pogardzał: robotnika znającego wyłącznie swoje narzędzia, wirtuoza, który jest zaledwie mięsistą przystawką do skrzypiec. Specjalnością Albinusa była jego pasja do sztuki, jego najgenialniejszym odkryciem stała się Margot. Teraz jednak ocalał z niej tylko głos, szelest, woń perfum, jak gdyby wróciła w mrok małego kina, z którego ją wydobył.

Nie zawsze jednak umiał się pocieszyć refleksjami natury estetycznej czy moralnej; nie zawsze umiał wmówić sobie, że fizyczna ślepotą równa się duchowej wizji; daremnie usiłował mamić się mrzonką, iż jego życie z Margot stało się teraz szczęśliwsze, zyskało większą głębię i czystość, próżno pogrążał się w myślach o jej wzruszającym poświęceniu. Oczywiście, że go wzruszało, oczywiście, że była lepsza od najbardziej oddanej żony – ta niewidzialna Margot, ten anielski chłód, ten głos, który zaklinał go, żeby się nie ekscytował. Lecz ilekroć Albinus chwycił ją w ciemnościach za rękę, ilekroć próbował wyrazić wdzięczność, natychmiast wzniecało to w nim taką tęsknotę za jej widokiem, że

całe moralizowanie brało w łeb.

Rex uwielbiał siedzieć z nim w pokoju i śledzić jego ruchy. Margot, przytulona do piersi ślepcy, równocześnie odpychała jego ramię, z komicznie zrezygnowaną miną wznosząc oczy do sufitu albo pokazując Albinusowi język, co było szczególnie zabawne przez kontrast z szalonym, tkliwym wyrazem twarzy niewidomego. Potem zręcznie się oswobadzała i odchodziła do Rexa, który siedział na parapecie, w białych spodniach, z bosymi stopami o długich palcach i nagim torsem, bo uwielbiał smażyć sobie plecy w słońcu. Albinus póływał w fotelu, ubrany w pidżamę i szlafrok. Twarz pokrywał mu szczeciniasty zarost; na skroni błyszcząca różowa blizna; wyglądał jak brodaty więzień.

– Margot, chodź do mnie – mówił błagalnie, wyciągając ręce.

Rex, który kochał ryzyko, podchodził czasem na palcach bosych stóp tuż do Albinusa i z najwyższą delikatnością go dotykał. Albinus wydawał tkliwy pomruk i próbował objąć rzekomą Margot, a Rex bezszelestnie się odsuwał i wracał na parapet – swój stały posterunek.

– Kochanie, proszę cię, chodź do mnie – jęczał Albinus, gramoląc się z fotela i brnąc po omacku w jej stronę. Rex podciągał nogi na parapet, a Margot krzyczała na Albinusa, grożąc, że natychmiast zostawi go samego z pielęgniarką, jeśli nie będzie posłuszny. Wracał więc na fotel, powłócząc nogami, ze skruszonym uśmiechem.

– Dobrze, dobrze – wzdychał. – Poczytaj mi coś. Gazetę.

A Margot znów przewracała oczami, wznosząc je do sufitu. Rex ostrożnie siadał na kanapie i brał dziewczynę na kolana. Margot rozkładała gazetę, wygładzała ją, przeglądała z namysłem i zaczynała czytać. Albinus co jakiś czas kiwał głową i pomału konsumował niewidzialne wiśnie, wypluwając niewidzialne pestki w zwiniętą dłoń. Rex przedrzeźniał Margot, na przemian sznurując i wsysając wargi, tak jak ona to robiła w trakcie lektury. Albo udawał, że upuszcza ją na podłogę, aż głos jej nagle skakał o ton w górę i musiała odnajdywać koniec urwanego zdania.

„Tak, może to i lepiej – myślał Albinus. – Nasze uczucie jest teraz czystsze i wznioślejsze. Skoro ze mną została, znaczy, że naprawdę mnie kocha. To dobrze, to dobrze”. I nagle wybuchał głośnym szlochem, załamywał ręce i błagał ją, żeby zawiozła go do jeszcze jednego specjalisty, do trzeciego, do czwartego – na operację, choćby na tortury – byle tylko odzyskał wzrok.

Rex ziewał bezgłośnie, brał z miski na stole garść wiśni i wychodził do ogrodu.

W pierwszych dniach tego życia we trójkę Rex i Margot zachowywali sporą ostrożność, chociaż owszem, zabawiali się nieszkodliwymi psotami. W korytarzu przed drzwiami swego pokoju Rex wznosił na wszelki wypadek barykadę ze skrzynek i kufrów, którą dziewczyna co noc forsowała. Lecz odkąd Albinus po raz pierwszy obszedł cały dom, stracił zainteresowanie jego topografią, natomiast całkiem nieźle orientował się w

rozkładzie swej sypialni i gabinetu.

Margot opisała mu po kolei błękit tapet, żółć firanek, ale kochanek namówił ją, żeby pozmieniała kolory. Fakt, że niewidomy musi sobie wyobrazać swój mały świat w fikcyjnych barwach, które narzucił mu Rex, był dla tego ostatniego źródłem wybornej rozrywki.

W swoich własnych pokojach Albinus miał wrażenie, że prawie już widzi meble i inne przedmioty, dawało mu to więc poczucie bezpieczeństwa. Ale gdy siedział w ogrodzie, czuł, że otacza go bezkresne nieznanie, bo wszystko było za duże, zbyt nieuchwytnie i pełne dźwięków, aby mógł wytworzyć sobie jakikolwiek obraz rzeczywistości. Usiłował ćwiczyć słuch i odgadywać ruchy na podstawie odgłosów. Niebawem okazało się, że Rexowi trudno jest niepostrzeżenie wchodzić i wychodzić. Choćby najbardziej bezszelestnie się poruszał, Albinus natychmiast zwracał ku niemu głowę i pytał: „Czy to ty, kochanie?”, a kiedy Margot odpowiadała mu z innego kąta, złościło go, że tak się pomylił w rachunkach.

Dni mijały, a im mocniej Albinus wyęczał słuch, tym śmielsi stawali się Rex i Margot: przywykli do bezpiecznej zasłony jego ślepoty, toteż zamiast tak jak na początku jadać posiłki w kuchni, pod tępo rozkochanym wejrzeniem starej Emilii, Rex z czasem pokusił się o to, żeby siadać z państwem domu przy wspólnym stole. Jadł po mistrzowsku, bezszelestnie, nie tykając talerza nożem ani widelcem, żując niczym biesiadnik z niemego filmu, w idealnej zgodzie z rytmem szczęk Albinusa, przy akompaniamencie pogodnie melodyjnego głosu dziewczyny, która celowo mówiła bardzo donośnie, podczas gdy mężczyźni gryzli i połykali kęs za kęsem. Pewnego razu Rex się udławił: Albinus, któremu Margot właśnie nalewała kawę do filiżanki, nagle usłyszał z drugiego końca stołu dziwną eksplozję, sromotne parsknięcie. Dziewczyna natychmiast zaczęła trajkotać trzy po trzy, lecz Albinus jej przerwał, podnosząc dłoń.

– Co to takiego? – spytał. – Co to takiego?

Rex wziął talerz i wyszedł na palcach, zasłaniając usta serwetką. Ale gdy się przeciskał przez uchylone drzwi, upuścił widelec.

Albinus raptownie obrócił się na krześle.

– Co to? – zaniepokoił się. – Kto tam jest?

– O, to tylko Emilia. Coś taki nerwowy?

– Przecież ona nigdy tu nie wchodzi.

– Akurat dzisiaj weszła!

– A już myślałem, że w uszach mi się mieni – powiedział Albinus. – Na przykład wczoraj miałem nieodparte wrażenie, że ktoś skrada się boszo korytarzem.

– Uważaj, bo jeszcze zwariujesz – oschle rzekła Margot. Popołudniami, w porze

drzemki Albinusa, chodziła czasem z Rexem na spacer. Odbierali z poczty korespondencję i gazety albo szli pod górę, aż do wodospadu, a parokrotnie wybrali się do kafejki w prześlicznym miasteczku, które leżało nieco niżej. Pewnego razu wracali do domu i właśnie zaczęli piąć się prowadzącą doń stromą ścieżką, gdy Rex powiedział:

– Radzę ci nie upierać się przy małżeństwie. Przez ten drobiazg, że rzucił żonę, zaczął w niej chyba, niestety, widzieć czcigodną świętą z obrazka na szkłe. Nie zechce stłuc tego witraża. Prościej i lepiej będzie stopniowo przejąć jego majątek.

– Przecież i tak już sporo zgarnęliśmy, nie?

– Musisz go urobić, żeby sprzedał tę posiadłość na Pomorzu, no i obrazy – ciągnął Rex – albo któryś dom w Berlinie. Wystarczy odrobina sprytu i rzecz się uda. Na razie książeczka czekowa doskonale spełnia zadanie. On wszystko podpisuje jak automat, ale konto niedługo się wyczerpie. I tak zresztą musimy się pospieszyć. Miło byłoby móc go zostawić, powiedzmy, już tej zimy; a zanim odejdziemy, kupimy mu psa – ot, drobny dowód wdzięczności.

– Nie mów tak głośno – zwróciła mu uwagę Margot. – Jesteśmy już przy kamieniu.

Kamień ten, a właściwie głaz – szary, obrośnięty powojem – wyglądał jak owca i wyznaczał granicę, poza którą niebezpiecznie było się odzywać. Poszli więc dalej w milczeniu i po kilku minutach znaleźli się nieopodal ogrodowej furtki. Margot nagle roześmiała się i wskazała palcem wiewiórkę. Rex rzucił w zwierzątko kamykiem, ale nie trafił.

– Oj, zabij ją, one tak szkodzą drzewom – cicho rzekła Margot.

– Kto szkodzi drzewom? – spytał jakiś donośny głos. Był to Albinus.

Stał, lekko się kiwając, wśród krzewów bzu na kamiennym schodku między ścieżką a trawnikiem.

– Margot, z kim ty tam rozmawiasz? – spytał. Nagle osunęła mu się stopa, upuścił laskę i siadł ociężale na schodku.

– Jak śmiesz sam odchodzić tak daleko od domu? – zawołała dziewczyna i brutalnym szarpnięciem pomogła Albinusowi wstać. Drobiniki żwiru przywarły mu do dłoni; rozpostarł palce i dziecinny ruchem spróbował zetrzeć z nich żwir.

– Chciałam złapać wiewiórkę – rzekła Margot, wciskając mu laskę w dłoń. – A niby co ci się roilo, że ja tu robię?

– Zdawało mi się... – zaczął. – Kto to? – krzyknął przenikliwie i o mało znów nie stracił równowagi, robiąc raptowny zwrot w stronę Rexa, który ostrożnie szedł przez trawnik.

– Nikogo tu nie ma – powiedziała Margot. – Jestem sama. Co cię napadło? – Czują,

że zaczyna jej brakować cierpliwości.

– Zaprowadź mnie do domu – poprosił niemal ze łzami. – Za dużo tu dźwięków. Drzewa, wiatr, wiewiórki i różne inne rzeczy, których nawet nie umiem nazwać. Nie wiem, co się dookoła mnie dzieje... Taki tu zgiełk.

– Odtąd będziesz siedział pod kluczem – oświadczyła, po czym zawlokła go do domu.

Wkrótce potem słońce jak zwykle znikło za najbliższą górą. Margot i Rex jak zwykle siedzieli obok siebie na kanapie i palili, a dwa metry dalej w skórzanym fotelu siedział Albinus, uporczywie w nich mierząc mlecznoniebieskimi oczami. Margot na jego prośbę opowiedziała mu o swym dzieciństwie. Zrobiła to nawet z przyjemnością. Do łóżka poszedł wcześniej: powoli wdrapał się na schody, szukając każdego stopnia czubkiem stopy i laską.

W środku nocy zbudził się i zaczął obmacywać cyferblat budzika, z którego zdjęto szkiełko, aż w końcu ustalił położenie wskazówek. Było mniej więcej pół do drugiej. Czuł dziwny niepokój. Ostatnimi czasy coś nie pozwalało mu skupić się na tych poważnych i pięknych myślach, które były dlań jedyną osłoną przed okropnościami ślepoty.

Leżał i myślał: „Co też to może być? Elisabeth? Nie, jest przecież daleko. Gdzieś daleko w dole. Kochany, blady, smutny cień, którego nigdy nie wolno mi już niepokoić. Margot? Nie, ten bratersko-siostrzany układ między nami to rzecz chwilowa. No więc co?”

Nie bardzo wiedząc, czego chce, wymknął się z łóżka i po omacku dobrnął do drzwi Margot (z jego pokoju nie było innego wyjścia). Wieczorem zawsze zamykała je na klucz, więc Albinus nie mógł się wydostać.

„Jaka mądra”, pomyślał z czułością i przyłożył ucho do dziurki od klucza, w nadziei, że usłyszy oddech śpiącej. Ale nic nie usłyszał.

– Cichutka jak myszka – szepnął. – Gdybym mógł ją chociaż pogłaskać po głowie i zaraz odejść. Może zapomniała zamknąć drzwi na klucz.

Bez większej nadziei nacisnął klamkę. Nie, nie zapomniała.

Nagle sobie przypomniał, że jako pryszczaty młokos w pewną upalną letnią noc przełazi po gzymsie nadreńskiego domu ze swojego pokoju do służbówki (tylko po to, by się przekonać, że służąca nie śpi sama) – lecz był jeszcze wtedy lekki i zwinny, jeszcze wtedy widział.

„Ale czemu nie miałbym spróbować? – pomyślał z melancholijną brawurą. – Nawet jeśli spadnę i skręcę kark, co z tego?”

Najpierw odszukał laskę, przechylił się przez parapet i zaczął po omacku szukać sąsiedniego okna. Było otwarte, więc szyba zadźwięczała, kiedy dotknął jej laską.

„Ależ twardo śpi! – pomyślał. – Musi być zmęczona tym, że po całych dniach mną się opiekuje”.

Kiedy cofał laskę, o coś nią zawadził. Wymknęła mu się z ręki i ze stłumionym stukotem spadła na ziemię.

Albinus chwycił się futryny, wygramolił na parapet, ruszył po gzymsie w lewo, trzymając się czegoś, co było zapewne rynną, przeszedł nad jej zimnym żelaznym zakrętem i wczepił się w parapet sąsiedniego pokoju.

„Jakie to proste!”, pomyślał nie bez dumy.

– Serwus, Margot – rzekł półgłosem, usiłując wpełznąć przez otwarte okno. Obsunęła mu się noga i omal nie runął tyłem prosto w abstrakcję ogrodu. Serce łomotało mu jak szalone. Niczym węgorz prześliznął się po parapecie do pokoju, potrącając przy tym jakiś ciężki przedmiot, który z hałasem spadł na podłogę.

Albinus stanął jak wryty. Twarz miał całą spoconą. Poczuł, że dłoń mu się lepi (od żywicy, bo dom zbudowany był z sosnowych bali).

– Margot, kochanie – powiedział radośnie. Cisza. Odszukał łóżko. Przykryte było koronkową narzutą: nikt w nim nie spał tej nocy.

Albinus usiadł na łóżku i zastanowił się. Gdyby łóżko było ciepłe, z pościelą w nieładzie, bez trudu by się domyślił, że Margot niebawem wróci.

Po paru chwilach wyszedł na korytarz (brak laski bardzo go krępował) i zaczął nasłuchiwać. Wydało mu się, że słyszy dobiegający skądś cichy, przytłumiony odgłos – ni to trzask, ni to szelest. Wszystko to w sumie zaczynało już być niesamowite.

– Margot, gdzie jesteś? – zawołał.

Wciąż ta sama cisza. A potem gdzieś otworzyły się drzwi.

– Margot, Margot – powtórzył Albinus, po omacku idąc korytarzem.

– Tak, tak, jestem tu – odpowiedział opanowany głos.

– Co się stało, Margot? Czemu nie poszłaś do łóżka?

Zderzyli się w ciemnym przejściu, a kiedy jej dotknął, poczuł, że jest naga.

– Leżałam w słońcu – wyjaśniła. – Jak co rano.

– Ale przecież jest noc! – zawołał, dysząc ciężko. – Nie rozumiem. Coś mi się tu nie zgadza. Wiem, bo namacałem wskazówki budzika. Jest pół do drugiej.

– Bzdura. Jest pół do siódmej, piękny, słoneczny ranek. Widać budzik ci się popsuł. Za często go macasz. Ale jak się właściwie wydostałeś z pokoju?

– Margot, czy rzeczywiście jest rano? Mówisz prawdę?

Nagle przysunęła się do niego i wspinając się na palce, objęła go oburącz za szyję, tak jak dawniej.

– Wprawdzie jest dzień – rzekła miękko – ale jeśli chcesz, jeśli chcesz, najdroższy... to w drodze wyjątku...

Nie bardzo miała ochotę, lecz nie było innego sposobu. Teraz Albinus nie mógł już dłużej zważać na to, że wciąż jeszcze jest zimno, że nie śpiewają ptaki, czuł bowiem tylko jedno – zazartą, żarliwą błogość, a potem zapadł w głęboki sen i spał aż do południa. Kiedy się zbudził, Margot złążała go za jego alpinistyczny wyczyn, a gdy się melancholijnie uśmiechnęła, tym bardziej się rozzłościła i dała mu po twarzy.

Cały dzień przesiedział w saloniku, rozmyślając o szczęśliwym poranku i zastanawiając się, ile minie dni, zanim znów zazna takiego szczęścia. Wtem całkiem wyraźnie usłyszał jakiś podejrzany kaszelek. Nie mogła to być Margot. Wiedział, że poszła do kuchni.

– Kto to? – zapytał.

Nie było odpowiedzi.

„Kolejna halucynacja!”, pomyślał ze znużeniem i nagle zrozumiał, co go tak zaniepokoiło w nocy – tak, tak, właśnie te dziwne dźwięki, które czasem słyszy.

– Powiedz mi, Margot – poprosił, kiedy dziewczyna wróciła. – Czy w domu nie ma nikogo prócz Emilii? Jesteś pewna?

– Tyś chyba zwariował! – odparła szorstko. Lecz raz wzbudzone podejrzenie nie dawało mu odtąd spokoju. Przez cały dzień siedział nieruchomo, w ponurym zasłuchaniu.

Rexa ogromnie to wszystko bawiło, a choć Margot błagała, żeby był rozsądniejszy, nie zważał na jej przestrogi. Pewnego razu, siedząc zaledwie pół metra od Albinusa, zaczął nawet gwizdać jak wilga, bardzo zresztą umiejętnie. Margot musiała wyjaśnić, że ptak przysiadł na parapecie i stąd ten śpiew.

– Przepłósz go – surowym tonem zażądał Albinus.

– Szszsz, szszsz – powiedziała Margot, kładąc dłoń na wydatnych wargach Rexa.

– Wiesz – rzekł Albinus po kilku dniach. – Chętnie bym porozmawiał z Emilią. Smakują mi jej budynie.

– Wykluczone – odparła Margot. – Jest głucha jak pień i śmiertelnie się ciebie boi.

Albinus przez parę chwil intensywnie myślał.

– Niemożliwe – rzekł pomału.

– Co niemożliwe, Albert?

– O, nic – mruknął. – Nic takiego.

– Wiesz, Margot – powiedział wkrótce potem. – Najwyższy czas, żeby mnie ktoś ogolił. Sprowadź ze wsi fryzjera.

– Nie ma potrzeby – odrzekła. – Z brodą bardzo ci do twarzy.

Albinusowi wydało się, że ktoś – nie Margot, tylko ktoś obok niej – cicho zachichotał.

Numer „Berliner Zeitung” z krótką informacją o wypadku pokazał Paulowi pewien pracownik jego biura, więc Paul natychmiast pojechał do domu, bojąc się, że Elisabeth też mogła przeczytać tę wiadomość. Okazało się jednak, że nie przeczytała, choć egzemplarz tej właśnie gazety (której zazwyczaj nie kupowali) o dziwo był akurat w domu. Jeszcze tego samego dnia Paul porozumiał się telegraficznie z posterunkiem policji w Grasse, a w końcu skontaktował się też z lekarzem szpitalnym, który powiadomił go, że Albinus będzie żył, ale jest zupełnie niewidomy. Paul bardzo delikatnie powtórzył to siostrze.

Ponieważ on i szwagier korzystali z usług jednego banku, bez trudu ustalił adres Albinusa w Szwajcarii. Dyrektor, stary znajomy, z którym Paul od lat załatwiał interesy, pokazał mu czeki: napływały regularnie i jakby z pośpiechem, a Paul zdumiał się, że Albinus podejmuje aż takie sumy. Podpis się zgadzał, choć wszystkie zawijasy były bardzo niepewne, a całość żałośnie obsuwała się skosem w dół, ale cyfry nakreśliła jakaś inna ręka – śmiałym, męskim pismem, z rozmachem i fantazją, wszystko zaś razem z lekka trąciło fałszerstwem. Paul pomyślał, czy owo dziwne wrażenie nie bierze się przypadkiem stąd, że niewidomy podpisuje to, co mu mówią, a nie to, co widzi. Dziwnie wysokie były też kwoty, których żądał, tak jakby on sam – albo ktoś inny – gorączkowo usiłował wyciągnąć tyle pieniędzy, ile tylko się da. Aż wreszcie nadszedł czek bez pokrycia.

„Odchodzi tam jakieś świństwo – pomyślał Paul. – Czuję w kościach. Ale co to właściwie może być?”

Wyobraził sobie Albinusa, sam na sam z niebezpieczną kochanką, zdanego na jej łaskę, w czarnym domu ślepoty...

Minęło kilka dni. Paul był straszliwie niespokojny. Nie tylko dlatego, że Albinus w ciemno podpisywał czeki (pieniądze tak czy owak miał prawo roztrwonić, może z rozmysłem, a może bezwiednie – Elisabeth ich nie potrzebowała, a nie było już Irmy, o którą trzeba by się troszczyć), lecz z powodu jego całkowitej bezbronności w podłym świecie, który wokół siebie wyhodował.

Pewnego wieczoru po powrocie do domu Paul zobaczył, że Elisabeth pakuje neseser. Wydawała się, o dziwo, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w ciągu wielu ostatnich miesięcy.

– Co się dzieje? – spytał. – Dokądś się wybierasz?

– Nie ja, tylko ty – odparła cicho.

Nazajutrz Paul pojechał do Szwajcarii. W Brigaud złapał taksówkę i w godzinę z niewielkim okładem dotarł do miasteczka, nad którym mieszkał Albinus. Zatrzymał się przed pocztą, a poczmistrzyni, młoda i bardzo gadatliwa, objaśniła mu drogę, dodając, że Albinus mieszka z bratanicą i z lekarzem. Paul natychmiast ruszył dalej. Wiedział, kim jest bratanica. Zaskoczyła go natomiast obecność lekarza. Zdawała się świadczyć, że Albinus ma lepszą opiekę, niż wolno było się spodziewać.

„Więc może jednak głupio zrobiłem, że przyjechałem – przyszła Paulowi do głowy niemą myśl. – Może jest całkiem kontent. Ale skoro już tu dotarłem... W każdym razie pomówię z tym lekarzem. Biedak, zrujnowane życie... I kto by pomyślał...”

Tego ranka Margot pojechała z Emilią do wsi. Nie zauważyła taksówki Paula; ale na poczcie powiedziano jej, że jakiś zażywny jegomość dopytywał o Albinusa i przed chwilą pojechał dalej, żeby z nim się zobaczyć.

W tej akurat chwili Albinus i Rex siedzieli naprzeciw siebie w saloniku, do którego przez oszklone drzwi prowadzące na taras wlewało się słońce. Rex siedział na składanym stołku. Był nagusieńki. Dzięki codziennym kąpielom słonecznym jego szczupłe, lecz krzepkie ciało, porośnięte na piersi gęstwą czarnych włosów w kształcie orła z rozpostartymi skrzydłami, przybrało barwę ciemnego brązu. Między pełnymi, czerwonymi wargami trzymał długie źdźbło trawy i z nogą założoną na nogę (a były one równie owłosione jak pierś), z podbródkiem podpartym dłonią siedział niczym *Myśliciel* Rodina, wpatrzony w Albinusa, który zdawał się wpatrywać weń z takim samym natężeniem.

Niewidomy miał na sobie obszerny szlafrok w kolorze mysiej szarości, a jego brodata twarz wyrażała pełne udręki napięcie. Słuchał – ostatnio nic, tylko słuchał. Rex wiedział o tym i patrzył z uwagą, jak myśli tamtego odbijają się na jego obliczu, jak gdyby stało się ono jednym wielkim okiem, odkąd stracił dwoje prawdziwych. Zabawę tę mogło urozmaicić parę drobnych testów: Rex lekko klepnął się po kolanie, a Albinus, który właśnie podniósł dłoń do zmarszczonego czoła, zastygł z ręką w powietrzu. Potem obserwator wolno się pochylił i bardzo delikatnie dotknął czoła Albinusa rozkwitłym czubkiem trawki, którą przed chwilą ssał. Niewidomy dziwnie westchnął i odegnał urojoną muchę. Rex połaskotał go w usta, a Albinus powtórzył ten sam bezradny ruch. Była to zaiste wyśmienita rozrywka...

Nagle ślepiec przechylił głowę. Rex także się obrócił i przez szklane drzwi ujrzał tęgiego jegomościa w kraciastej czapce, którego zaczerwienioną twarz natychmiast rozpoznał: przybysz stał na tarasie i ze zdumieniem przyglądał się temu, co działo się w

pokoju.

Rex położył palec na ustach i pokazał intruzowi na migi, że zaraz do niego wyjdzie. Ale tęgi jegomość pchnął drzwi i wszedł do środka.

– Oczywiście znam pana. To pan jest Rex – rzekł Paul i zrobił głęboki wdech, wlepiając spojrzenie w nagusa, który uśmiechał się z palcem na ustach.

Tymczasem Albinus wstał. Wyglądał, jakby czerwonawy odcień blizny rozlał mu się na całe czoło. Nagle zaczął krzyczeć i bredzić, tak że dopiero stopniowo z tych strzępów ułożyły się słowa.

– Paul, jestem tu sam! – krzyczał. – Paul, proszę cię, powiedz, że jestem sam. Ten człowiek wyjechał do Ameryki. Nie ma go tu. Paul, błagam cię. Jestem zupełnie ślepy.

– Szkoda, że pan wszystko popsuł – rzekł Rex, wybiegł z pokoju i ruszył po schodach na górę.

Paul chwycił laskę niewidomego i dogonił zbiega, ten zaś odwrócił się, podnosząc ręce w obronnym geście; i oto Paul, dobroduszny Paul, który nigdy jeszcze nie uderzył żywego stworzenia, z całej siły zamachnął się i trafił Rexa w głowę, aż huknęło. Rex odskoczył, z twarzą wciąż jeszcze wykrzywioną w pogodnym grymasie, i nagle stało się coś całkiem niezwykłego: niczym Adam tuż po Upadku skulił się pod białą ścianą i blado uśmiechnięty zasłonił dłonią swą nagość.

Paul znów sunął ku niemu, ale Rex zrobił unik i wbiegł na górę.

W tej samej chwili ktoś wpadł na Paula od tyłu. Był to Albinus: wczepiał się w niego i skowyczał, trzymając w ręce marmurowy przycisk do papierów.

– Paul – jęknął. – Paul, już wszystko rozumiem. Daj mi mój płaszcz, szybko. Wisi w szafie, o tam.

– Który, ten żółty? – spytał Paul, z trudem łapiąc oddech. Albinus natychmiast wymacał w kieszeni to, czego szukał, i przestał bełkotać.

– Zaraz cię stąd zabieram – wysapał Paul. – Zdejmij szlafrok i włóż ten płaszcz. Daj ten przycisk. Chodź, pomogę ci... Masz, weź moją czapkę. Nie szkodzi, że jesteś w kapciach. Jedźmy stąd, jedźmy stąd, Albercie. Na dole czeka taksówka. Przede wszystkim trzeba cię wydobyć z tej izby tortur.

– Zaczekaj chwilę – odparł Albinus. – Najpierw muszę z nią porozmawiać. Lada chwila wróci. Muszę, Paul. To nie potrwa długo.

Lecz Paul wypchnął go do ogrodu, a potem zawołał i skinął na szofera.

– Muszę z nią porozmawiać – powtórzył Albinus. – I to z bliska. Na miłość boską, Paul, powiedz mi, może ona już tu jest? Może już wróciła?

– Nie, uspokój się. Musimy jechać. Nikogo tu nie ma. Tylko ten goły nędznik

wygląda przez okno. Chodź, Albercie, chodź!

– Dobrze, pojedziemy – zgodził się Albinus – ale koniecznie mi powiedz, jeśli ją zobaczysz. Może ją spotkamy po drodze. Musiałbym w takim razie z nią porozmawiać. Z bliska, z całkiem bliska.

Ruszyli na dół ścieżką, lecz po kilku krokach Albinus raptem rozpostarł ręce i w nagłym omdleniu padł na wznak. Taksówkarz przybiegł z pomocą, po czym on i Paul zanieśli Albinusa do auta. Jeden pantofel niewidomego został na ścieżce.

W tej samej chwili podjechała dwukółka i wyskoczyła z niej Margot. Podbiegła do nich i coś krzyknęła, ale taksówka już zawracała; cofając się, o mało nie przejechała dziewczyny, a potem ostro ruszyła i znikła za zakrętem.

We wtorek Elisabeth dostała depezę, a w środę koło ósmej wieczór usłyszała z hallu głos Paula i stukot laski. Drzwi otworzyły się i Paul wprowadził Albinusa.

Był on gładko wygolony, w ciemnych okularach; na bladym czole miał bliznę. Nieznajomy garnitur w kolorze brązu wpadającego w fiolet (sam Albinus nigdy by takiego odcienia nie wybrał) wydawał się trochę na niego za duży.

– Przywiozłem go – cicho rzekł Paul.

Elisabeth zaczęła szlochać, przyciskając do ust chusteczkę. Albinus złożył milczący ukłon w stronę tego zdławionego szlochu.

– Chodź, umyjemy ręce – powiedział Paul, wolno prowadząc go przez pokój.

Potem wszyscy troje usiedli w stołowym i zjedli kolację. Elisabeth nie mogła się przyzwyczaić do tego, że patrzy na męża. Miała takie wrażenie, jakby czuł on każde jej spojrzenie. Melancholijna powaga jego powolnych ruchów budziła w niej spokojną, ekstatyczną litość. Paul mówił do niego jak do dziecka i nawet szynkę na talerzu drobno mu pokrajał.

Albinusa umieszczono w dawnym pokoju Army. Elisabeth zdziwiła się, że tak łatwo jej przyszło zakłócić święty sen małego pokoiku dla wygody tego obcego, rośłego, cichego lokatora; poprzesuwać i powymieniać wszystkie sprzęty, dostosowując pomieszczenie do potrzeb niewidomego.

Albinus nie odzywał się. Początkowo, rzecz jasna – zanim wyjechali ze Szwajcarii – z zacietrzewioną nieustępliwością błagał Paula, żeby sprowadził mu Margot; przysięgał, że to ostatnie spotkanie potrwa tylko chwilkę. (Bo czy wiele potrzebowałby czasu, aby w swojskiej ciemności sięgnąć po omacku i jedną ręką mocno przytrzymując dziewczynę, wbić koniec lufy w jej bok i nafaszerować ją kulami?) Paul uparcie odmawiał, a potem Albinus nic już nie mówił. W milczeniu jechał do Berlina, w milczeniu przybył na miejsce i przez następne trzy dni także milczał, toteż Elisabeth nigdy już nie usłyszała jego głosu (no, może raz): jakby był nie tylko niewidomy, ale i niemy.

Ciężki czarny przedmiot, skarbica siedmiu skondensowanych śmierci, leżał owinięty jedwabnym szalikiem w czeluściach kieszeni płaszcza. Po przyjeździe Albinus zdołał go przełożyć do komody przy łóżku. Klucz trzymał w kieszonce kamizelki, a na noc chował pod poduszkę. Parokrotnie zauważono, że coś obraca i ścisza w dłoni, ale nikt tego nie skomentował. Dotyk klucza w palcach, jego ciężar ledwie wyczuwalny w

kieszeni był dla Albinusa jakby cudownym zaklęciem, które – w to nie wątpił – pewnego dnia otworzy zatrzaśnięte wrota ślepoty.

I wciąż nie odzywał się ani słowem. Obecność Elisabeth, jej lekki krok, szept (bo zawsze zwracała się teraz szeptem do służących i do Paula, jak gdyby mieli w domu ciężką chorobę) – wszystko to było nie mniej blade i cieniste niż jej obraz w pamięci Albinusa: ot, wspomnienie prawie bezdźwięczne snuło się z roztargnieniem po mieszkaniu, zostawiając w powietrzu dyskretny ślad wody kolońskiej. Prawdziwe życie, okrutne, gibkie i silne niby anakonda, to życie, które pragnął niezwłocznie unicestwić, było gdzie indziej – ale gdzie? Nie wiedział. Z niebywałą wyrazistością przedstawiał sobie Margot i Rexa: szybcy i czujni, ze strasznymi, promiennymi, wytrzeszczonymi oczami i długimi, giętkimi kończynami pakowali się po jego wyjeździe; Margot łąsiła się do Rexa i pieściła go wśród otwartych kufków, a potem oboje odjechali – ale dokąd, dokąd? Ani odrobiny światła w ciemnościach. Lecz ich kręty szlak płonął w Albinusie niczym ślad, jaki zostawia na skórze plugawe, pełzające stworzenie.

Minęły trzy ciche dni. Czwartego dnia wczesnym rankiem tak się złożyło, że Albinus został sam. Paul poszedł na policję (chciał rozwikłać kilka kwestii), pokojówka krzątała się w głębi mieszkania, a Elisabeth, która przez całą noc nie zmrużyła oka, jeszcze nie wstała. Albinus dręczony niepokojem kręcił się po domu, obmacując meble i drzwi. Z gabinetu już od paru chwil słychać było dzwonek telefonu i to mu przypomniało, że właśnie przez telefon ma szansę czegoś się dowiedzieć: ktoś mógłby go poinformować, czy artysta Rex wrócił do Berlina. Nie umiał jednak wygrzebać z pamięci ani jednego numeru, a zresztą zdawał sobie sprawę, że nie zdoła wymówić tego nazwiska, choć takie jest krótkie. Telefon dzwonił coraz natarczywiej. Albinus po omacku trafił do stolika, podniósł niewidzialną słuchawkę...

Głos jakby skądś znajomy spytał o Herr Hochenwarta, czyli o Paula.

– Wyszedł – odparł Albinus.

Rozmówca zawahał się i nagle zawołał promiennym tonem:

– Ojej, czy to Herr Albinus?

– Tak. Kto mówi?

– Schiffermiller. Przed chwilą dzwoniłem do biura Herr Hochenwarta, ale jeszcze się tam nie pokazał, więc pomyślałem, że tu spróbuję go złapać. Mam szczęście, że pana zastałem, Herr Albinus!

– A o co chodzi?

– No, nic złego chyba się nie stało, ale pomyślałem sobie, że mam obowiązek się upewnić. Widzi pan, Fräulein Peters właśnie przysłała po rzeczy, a ja... hmmm... wpuściłem ją do pańskiego mieszkania, ale nie jestem pewien... Więc pomyślałem, że może lepiej zadzwonię...

– W porządku – rzekł Albinus, z trudem poruszając wargami (były odrętwiałe jak od kokainy).

– Co pan powiedział, Herr Albinus?

Z wielkim wysiłkiem zapanował nad wymową.

– W porządku – powtórzył tym razem już wyraźnie i drżącą ręką odwiesił słuchawkę.

Powlókł się z powrotem do swojego pokoju i otworzył świętą komodę, po omacku wrócił do hallu i spróbował odszukać kapelusz i laskę. Trwało to jednak zbyt długo, więc zrezygnował. Ostrożnie zszedł ze schodów, powłócząc nogami i poklepując ścianę, czepiając się poręczy i gorączkowo mrużąc pod nosem. Po paru chwilach znalazł się na ulicy. Coś zimnego i łaskoczącego kapało mu na czoło: deszcz. Uchwycił się żelaznego parkanu otaczającego ogródek przed domem i zaczął rozpaczliwie się modlić, żeby zatrąbił klakson taksówki. Niebawem usłyszał wilgotny, niespieszny poszum opon. Zawołał, ale dźwięk kół obojętnie się oddalił.

– Czy mogę pomóc panu przejść? – spytał jakiś miły młody głos.

– Na miłość boską, proszę mi złapać taksówkę – błagalnie rzekł Albinus.

I oto znów nadciągnął szum kół. Ktoś pomógł Albinusowi wsiąść i zatrzasnął drzwiczki. (Na trzecim piętrze otworzyło się okno, ale było już za późno).

– Prosto przed siebie, prosto przed siebie – polecił Albinus, a kiedy taksówka ruszyła, zastukał palcem w szybę i podał adres.

„Policzę zakręty”, postanowił. Pierwszy – to będzie Motzstrasse. Z lewej usłyszał przenikliwy dzwonek elektrycznego tramwaju. Przesunął dłonią po siedzeniu, po przepierzeniu dzielącym go od szofera i nad podłogą, nagle owładnięty niepokojącą myślą, że ktoś może obok niego siedzieć. Kolejny zakręt. To już musi być Victoria-Luisen-Platz, a może Pragerplatz? Za chwilę Kaiseralee.

Taksówka stanęła. Czyżbym już dojechał? Niemożliwe. Dopiero skrzyżowanie. Jeszcze co najmniej pięć minut... Ale drzwiczki się otworzyły.

– Kaiseralee pięćdziesiąt sześć – oznajmił taksówkarz. Albinus wysiadł. W powietrzu przed nim radośnie wzbil się głos, który przed chwilą słyszał przez telefon, tym razem w pełnym wydaniu. Portier Schiffermiller oświadczył:

– Miło znów pana widzieć, Herr Albinus. Młoda dama jest na górze, w pańskim mieszkaniu. Robi...

– Cicho, cicho – szepnął Albinus. – Proszę zapłacić za taksówkę. Moje oczy...

Uderzył kolaniem o jakiś przedmiot, który zakolebał się i zabrzęczał – pewnie dziecinny rowerek zostawiony na chodniku.

– Niech mnie pan zaprowadzi do domu – powiedział. – Proszę mi dać klucz od mojego mieszkania. Szybko, jeśli łaska. A teraz niech mi pan pomoże trafić do windy. Nie, nie, może pan zostać na dole. Sam pojedę. Sam nacisnę guzik.

Winda wzniosła się z cichym jękiem, a on poczuł lekki zawrót głowy. Potem podłoga tak jakby szarpnęła się pod podeszwami jego filcowych pantofli. A więc dojechał.

Wysiadł z windy, ruszył przed siebie i trafił stopą w otchłań – nie, nic takiego, to tylko pierwszy stopień schodów prowadzących w dół. Albinus tak dygotał, że musiał chwilę postać bez ruchu.

– Na prawo, bardziej na prawo – szepnął i z wyciągniętą ręką przeszedł przez podest. W końcu znalazł dziurkę od klucza, wcisnął w nią klucz i przekręcił.

Och, nareszcie ten dźwięk, za którym tęsknił od tyłu dni – troszkę na lewo, w saloniku... szelest papieru do pakowania, a potem cichy trzask, jak przy kucaniu, kiedy strzela w stawach.

– Za chwilę będzie mi pan potrzebny, Herr Schiffermiller – zabrzmiał głos Margot, w którym czuć było wysiłek. – Musi mi pan pomóc to znieść...

Głos umilkł w pół zdania.

„Zobaczyła mnie”, pomyślał Albinus, wyciągając z kieszeni pistolet.

Z lewej, z saloniku, usłyszał metaliczny stukot zamka walizki. Margot lekko stęknęła z satysfakcją – no, wreszcie się zamknęło – i śpiewnym tonem podjęła:

– ...na dół. A może wezwałby pan...

Przy słowie „pan” jej głos jakby zrobił zwrot i nagle zamilkł.

Albinus w prawej ręce trzymał gotowy do strzału pistolet, a lewą wymacał futrynę, wszedł, zatrzaskał za sobą drzwi i stanął zwrócony do nich plecami.

Panowała kompletna cisza. Wiedział jednak, że jest z Margot sam w pokoju, a pokój ma tylko jedno wyjście – te właśnie drzwi, które on sobą zastawia. Wyraźnie widział całe wnętrze, prawie jakby oczy miał w pełni sprawne: po lewej kanapa w paski, pod prawą ścianą stolik z porcelanową figurką baletnicy; w rogu przy oknie szafka z cennymi miniaturami; na środku jeszcze jeden stół, duży, bardzo błyszczący i gładki.

Albinus wyciągnął przed siebie rękę z zaciśniętą pięścią i zaczął pomału wodzić lufą to tu, to tam, usiłując wywołać w ten sposób jakiś efekt akustyczny, który zdradziłby mu, gdzie dokładnie jest Margot. Czuł, że dziewczyna stoi niedaleko miniatur; stamtąd właśnie dobiegał go lekki powiew ciepła zabarwiony wonią perfum „L’heure bleue”; coś w tamtym kącie drżało jak powietrze nad piaskiem w upalny dzień na brzegu morza. Albinus skrócił łuk, po którym wędrowała jego dłoń, i nagle usłyszał cichy szelest. Strzelić? Nie, jeszcze nie. Musi podejść do niej znacznie bliżej. Nadział się na stół stojący

pośrodku pokoju i znieruchomiał. Czuł, że Margot skrada się pod boczną ścianę, ale jego własne ciało, choć prawie nieruchome, robiło tyle hałasu, że jej nie słyszał. Tak, teraz była bardziej na lewo, przy oknie. O, gdyby straciła głowę, gdyby zaczęła otwierać okno i krzyczeć, byłoby bosko – miałyby cel jak marzenie. Ale jeśli ruszy w jej stronę, a ona wymknie mu się, okrążając stół? „Lepiej zamknąć drzwi na klucz”, pomyślał. Ale klucza nie było (drzwi zawsze robiły Albinusowi na przekór). Jedną ręką mocno złapał za krawędź stołu i cofając się, pociągnął mebel ku drzwiom, żeby mieć go z tyłu. I znów to ciepło, które wyczuwał, przesunęło się, skuliło, przygasało. Odkąd zatarasował wyjście, poczuł się swobodniej i raz jeszcze wziął na muszkę to coś żywego, co drżało w ciemnościach.

Podchodził teraz jak najciszej, żeby uchwycić choćby najcichszy szmer. Ciuciubabka, ślepa babka... zimowy wieczór w wiejskim dworku, dawno, dawno temu. Potknął się o coś twardego, więc pomacał jedną ręką ten niewidoczny przedmiot, ani na sekundę nie luzując napiętej linii, którą przecinał pokój. Aha, kuferek. Odepchnął go kolanem i ruszył dalej, pędząc przed sobą niewidzialną ofiarę do hipotetycznego kąta. Jej milczenie z początku go irytowało; teraz jednak całkiem wyraźnie ją wyczuwał – nie oddech, nie bicie serca, lecz jakby ogólne wrażenie: głos samego jej życia, które miał lada chwila unicestwić. A potem – spokój, pogoda, światło.

Nagle uzmysłowił sobie, że w narożniku, do którego zmierza, zelżało napięcie. Wycelował pistolet nieco w bok i zmusił do powrotu jej ciepłą aurę. Wydało mu się, że natychmiast gnę się ona jak płomień w przeciągu; zaczęła się czołgać, wyciągać... skradać w stronę jego nóg. Tracąc panowanie nad sobą, ze wściekłym jękiem nacisnął spust.

Wystrzał rozdarł ciemność, a tuż potem coś uderzyło Albinusa w kolana, więc upadł i na chwilę zaplątał się w krzesło, którym w niego rzucono. Padając, upuścił broń, ale zaraz ją odnalazł. Równocześnie usłyszał przyspieszony oddech, w nozdrza razila go woń perfum i potu, a jakaś zimna, zwinna dłoń spróbowała wyszarpnąć mu oręż z ręki. Pochwycił coś żywego, coś, co wydało z siebie ohydny wrzask, jak gdyby jakąś koszmarną istotę połaskotał jej równie koszmarny samiec. Ręka, którą chwycił, wyrwała w końcu pistolet i Albinus poczuł szturchnięcie lufy; a kiedy zabrzmiała słaba detonacja, odległa, zdawałoby się, o całe mile, z innego świata, coś zarazem dźgnęło go w bok, aż oczy wypełnił mu olśniewający splendor.

„Więc to już wszystko – pomyślał Albinus całkiem miękko, jakby leżał w łóżku. – Jeszcze przez chwilę muszę być cicho, a potem bardzo wolno pójdę po tym świetlistym piasku bólu, ku tej błękitnej, jakże błękitnej fali. Ileż błogości ma w sobie błękit. Nie wiedziałem, że może być aż tak błękitny. Życie, jeden wielki bałagan. Teraz wiem już wszystko. Nadciąga, nadciąga, nadciąga, żeby mnie zatopić. O, już jest. Jak boli. Brak mi tchu...”

Z pochyłą głową usiadł na podłodze, a potem wolno pochylił się do przodu i

niczym wielka, miękka lalka upadł na bok.

Didaskalia do tej ostatniej niemej sceny: drzwi – szeroko otwarte. Stół – odepchnięty od nich. Dywan – wybrzuszony u stóp stołu na kształt zamrożonej fali. Krzesło – leży nieopodal zwłok mężczyzny w brązowym ubraniu o fioletowym odcieniu i w filcowych pantoflach. Pistoletu nie widać. Leży pod mężczyzną. Szafka, w której trzymano miniatury – pusta. Na stoliku, na którym przed wiekami stała porcelanowa baletnica (przeniesiona później do innego pokoju), leży damska rękawiczka, z zewnątrz czarna, wewnątrz biała. Obok kanapy w paski stoi elegancki kuferek, wciąż jeszcze z nalepką „Rouginard, Hôtel Britannia”.

Drzwi z hallu na klatkę schodową też są szeroko otwarte.

Posłowie

Historia Alberta Albinusa, bohatera *Śmiechu w ciemności* Vladimira Nabokova (Władimir Władimirowicz Nabokow, 1899 Sankt Petersburg – 1977 Lozanna, Szwajcaria), jest skrajnie banalna, o czym przekonuje pierwszy akapit powieści, który ją po prostu streszcza: „Żył sobie raz w niemieckim mieście Berlinie mężczyzna imieniem Albinus, bogaty, szanowany, szczęśliwy; pewnego dnia porzucił żonę dla młodej kochanki; kochał, lecz nie był kochany; i życie jego zakończyło się katastrofą”¹. Można odnieść wrażenie, że to streszczenie filmowego melodramatu, ot, rzecz o panu w średnim wieku, którego niszczy fatalne zauroczenie młodą, bezwzględną dziewczyną. Jest to, ma się rozumieć, zabieg jak najbardziej świadomy. Jak autor powiada w jednym z listów, pisał tę powieść, widząc ją jako film². Ściślej biorąc, ta uwaga odnosi się do powstania

¹ V. Nabokov, *Śmiech w ciemności*, przeł. M. Kłobukowski, niniejsze wydanie, s. 7. Dalsze cytaty ze *Śmiechu w ciemności* i odwołania do tego utworu na podstawie tego samego wydania. Po cytacie lub odwołaniu w nawiasie znajdzie się numer strony.

² List do Waltera Mintona, datowany 4 listopada 1958. Informacja za B. Boyd, *Vladimir Nabokov: The Russian Years*, Princeton, New Jersey 1990, s. 368. Odwołuję się tu do oryginału obu części biografii pióra Briana Boyda, gdyż polski przekład jest w stosunku do oryginału drastycznie okrojony, a informacje przytaczane w niniejszym posłowniu zostały w polskim wydaniu pominięte.

pierwotnej wersji dzieła, jego rosyjskiego pierwowzoru, zatytułowanego zresztą inaczej. *Śmiech w ciemności* (*Laughter in the Dark*) jest wersją nie tylko angielskojęzyczną, ale w dodatku zmienioną, do tego stopnia różną, że można mówić nie o tłumaczeniu, tylko o różnych wariantach, o swego rodzaju powieściowych bliźniakach. Przyjrzyjmy się dziejom powstawania i przemian utworu.

Pod koniec stycznia 1931 r. Nabokowowi przyszedł do głowy zarys pomysłu nowej powieści: ślepiec zdradzany przez swoją żonę. Rzecz miała nosić tytuł *Rajski ptak* (*Rajskaja ptica*). Ostatecznie z pomysłu pozostała tylko zdrada niewidomego przez kobietę. Zmieniła się też nazwa, nowa powieść, ukończona pod koniec maja, nosiła tytuł *Camera obscura* (*Kamera obskura*). W trakcie powstawania utworu autor mieszkał w wynajętym mieszkaniu w berlińskiej dzielnicy Schöneberg przy Luitpoldstrasse 27. Pisarz konsultował się z okulistą w kwestii gwałtownej utraty wzroku przez bohatera.

W kwestii wątków filmowych konsultować się nie musiał, znał trochę świat kina, zdarzało mu się statystować w filmach (była to jedna z jego prac zarobkowych), i doświadczeniem takim obdarzył bohatera *Maszeńki* (1926, ang. *Mary*), lubił wytwory dziesiątej muzy, chodził nawet na konwencjonalne i głupie komedie, bawiła go groteskowość filmowych klisz¹. Nie tylko jednak kinowy banał go pociągał. Jak pisze jego biograf, „ubóstwiał komedie Bustera Keatona, Harolda Lloyda, Chaplina, Flipa i Flapa (właśc. Stan Laurel i Oliver Hardy) i braci Marx i jeszcze po trzydziestu latach potrafił dokładnie i plastycznie scena po scenie zrekonstruować kiedyś widziane obrazy”². Lubiał też komedie

¹ Por. B. Boyd, op. cit., s. 362–363.

² Ibidem, s. 363.

René Claire'a. Doceniał także dzieła innych gatunków, na przykład niektóre obrazy niemieckiego ekspresjonizmu, jak również słynne *Męczeństwo Joanny Darc* (1926, *La Passion de Jeanne d'Arc*) Carla Theodora Dreyera. W wywiadzie udzielonym w 1970 roku Alfredowi Appelowi juniorowi znajdujemy spory fragment poświęcony filmowi¹, do którego to fragmentu zreszłą odwołuje się biograf pisarza. Swą oryginalnością i romantyzmem, jak pisał w liście do Grigorija Hessena, oczarowało go w późnych latach życia *Zeszłego roku w Marienbadzie* (1961, *L'année dernière à Marienbad*) Alaina Resnais według scenariusza pisarza, którego wysoko cenił, Alaina Robbe-Grilleta².

Świadectwem miłości do kina jest publikowany w najbliższych latach po powstaniu (1928) jedynie czasopiśmienniczo („Rul” 1928, nr 2433), a więc pochodzący z okresu, gdy w filmie kończyła się era niema, wiersz *Kinematograf* (*Kiniematograf*), zaczynający się od znamienych słów: „Lublu je swietowyje bałagany / wsio beznadieżnieje i wsio nieźniej” (czyli dosłownie: „Kocham świetlne budy jarmarczne / coraz bardziej beznadziejnie i coraz bardziej czule”)³. Nabokov wyśmiewa w nim sztuczne filmowe konwencje i naiwności, pytając w końcu: „Muzo, gdzież jesteś?” i zakładając w ten sposób możliwość filmu prawdziwie artystycznego. Pojawia się nawet jedno z ulubionych słów pisarza: *poszłak*, co oznacza człowieka będącego wciele niem *poszłosti*, czyli (to rosyjskie słowo jest nieprzetłumaczalne) banału, trywialności, pospolitości, napuszonego

¹ V. Nabokov, *Strong Opinions*, New York 1973, s. 161–165.

² B. Boyd, *Vladimir Nabokov: The American Years*, Princeton, New Jersey 1991, s. 464.

³ Ten i dalsze cytaty z wiersza według wydania: W.W. Nabokov, *Stichotworienija*, sost. M.E. Malikowa, Sankt-Pietierburg 2002 („Nowaja Bibliotieka poeta”), s. 344–345.

udawania. Wiersz zdradza też znajomość procesu powstawania filmu: „Wot spalnia ozarionnaja. Smotritie,/kak eta szal upała na kowior./Nie widien oslepitielnyj jupitier,/nie słyszen razdrażonnyj razysior” („Oto oświetlona sypialnia. Patrzcie,/jak ten szal upadł na dywan./Nie widać oślepijącego reflektora,/nie słysząc zdenerwowanego reżysera”).

Filmowe ślady możemy śledzić jednak przede wszystkim w prozie pisarza. Brak motywów lub wątków filmowych jest w jego powieściach czymś wyjątkowym, pojawiają się one, poczynając już od debiutanckiej *Maszeńki*, gdzie – jak już wspomnieliśmy – mamy do czynienia z motywem filmowego statysty, który „sprzedaje swój cień” (a cień to jeden z głównych lejtmotywów utworu). W *Królu, damie, walecie* (1928, *Korol, dama, walet*, ang. *King, Queen, Knave*) związki z kinem są jeszcze wyraźniejsze. Już w tym utworze widzimy wpływ filmu jako niezwykle popularnej rozrywki na ludzkie zachowania. W *Obronie Łużyna* (1930, *Zaszczita Łużyna*, ang. *The Defense*) złożona bohaterowi propozycja zagrania w filmie (motywy filmowe pojawiają się zresztą już wcześniej), w którym byłaby sekwencja turnieju szachowego, decyduje o jego samobójczej decyzji. Charakterystyczne, że wytwórnia filmowa nazywa się tu *Veritas*, czyli „prawda”. Filmowa iluzja wkracza w życie i przekształca się w prawdę jego kresu. Ostateczna (amerykańska, 1966) wersja *Rozpaczy* (edycja czasopiśmiennicza 1934, książk. 1936, *Otczajanije*, ang. *Despair*) kończy się planem próby desperackiej ucieczki przed policją. Bohater usiłuje wmówić zgromadzonym gapiom, że są świadkami kręcenia filmu, a on zgodnie z jego fabułą powinien wymknąć się prześladowcom w mundurach. I tutaj filmowe motywy pojawiają się już wcześniej. Tożsamy z bohaterem narrator zastanawia się w pewnym momencie, jak zacząć kolejny rozdział,

i podaje kilka wariantów jego początku. Jednym z nich jest słówko „Tymczasem...”. Po nim następuje komentarz: „Dawno temu ta sztuczka była ulubienicą kinematografu alias biografu alias iluzjonu. Widział człowiek, jak bohater robi to czy tamto, a tymczasem... Wielokropek i akcja przenosiła się na wieś”¹. Jako zapowiedź zakończenia ostatecznej wesji może być odczytana rozmowa bohatera z jego przyszłą ofiarą, Feliksem. „Kim twoim zdaniem jestem?” – pyta narrator, a jego rozmówca po chwili odpowiada: „Może jest pan aktorem”. Narrator potwierdza jego domysł, choć aktorem bynajmniej nie jest².

Można by kontynuować ten przegląd wybranych motywów filmowych w kolejnych powieściach Nabokova, ale brak na to miejsca, więc ograniczymy się tylko do szczególnie wyrazistych przykładów. Zresztą obok powieści należy wspomnieć także o opowiadaniach.

Ogólnie rzecz biorąc, trzeba powiedzieć, że rzeczywistość filmu, skonstruowana ze światem „realnym”, włącza się w grę wielu rzeczywistości, właściwą dziełu Nabokova. Fragment świadczący o jego zainteresowaniu filmem i o tym, jak bardzo wrażliwy był na dzieła sztuki filmowej, znajdujemy już w okresie przedpowieściowym (choć chodzi o utwór zapowiadający już powieściowy debiut), w stosunkowo wczesnym opowiadaniu *List, który nigdy nie dotarł do Rosji* (1925, *Pis'mo w Rossiju*, ang. *A Letter that Never Reached Russia*):

Za zakrętem, nad chodnikiem (co za niespodzianka!) faluje brylantami fasada kina. Wewnątrz – na prostokątnym, księżycowo bladym ekranie – można oglądać mniej lub

¹ V. Nabokov, *Rozpacz*, przeł. L. Engelking, Warszawa 2003, s. 55.

² *Ibidem*, s. 87–88.

bardziej sprawnie wyszkolonych mimów: ogromna twarz dziewczyny o szarych, migotliwych oczach i czarnych wargach, przeciętych pionowymi, błyszczącymi pęknięciami nadciąga z ekranu i rośnie, wpatrzona w ciemną salę, a po jej policzku spływa cudowna, długa, lśniąca łza. Czasem (o, chwilo niebiańska!) pojawia się prawdziwe życie, nieświadome, że je sfilmowano: przypadkowy tłum, świetliste wody, bezszelestnie, lecz widzialnie szumiące drzewo¹.

Niezwykłe precyzyjnie są tu uchwycone deformacje, jakim podlega rzeczywistość przeniesiona na czarno-białą pozbawioną ścieżki dźwiękowej taśmę filmową. Nabokov koncentruje się na zbliżeniach (wielkich planach) i detalach (dużych zbliżeniach), które stanowiły niemal najważniejszą zasadę filmu niemego i przez pierwszych teoretyków obok montażu uważane były za jedną z głównych cech specyficznych nowej sztuki². W cytowanym urywku odnotowana jest też opozycja, którą teoria filmu wyraźnie sformułowała dopiero w latach pięćdziesiątych XX wieku, opozycja kreatywnego i dokumentalnego nurtu kina, filmu wierzącego w obraz i filmu wierzącego w rzeczywistość, filmu fikcji i filmu faktu³.

W opowiadaniu *Asystent reżysera* (1943, *The Assistant Producer*) motywy filmowe zapowiada już początek:

Znaczenie? No cóż, chodzi o to, że czasami życie jest właśnie tym – asystentem reżysera. Dziś wieczorem skoczymy do kina. Wejdziemy w lata trzydzieste i jeszcze głębiej

¹ V. Nabokov, *List, który nigdy nie dotarł do Rosji*, przeł. M. Kłobukowski, (w:) *List, który nigdy nie dotarł do Rosji i inne opowiadania*, Warszawa 2007, s. 217.

² Por. J. Płażewski, *Język filmu*, Warszawa 1961, s. 51.

³ Por. A. Bazin, *Ewolucja języka filmu*, (w:) *Film i rzeczywistość*, przeł. B. Michałek, Warszawa 1963, s. 59.

– w dwudzieste, a potem skrećimy za róg do starego kina-teatru „Europa”¹.

Potem narrator przypomina nam o filmowych skojarzeniach:

Widmowe masy widmowych kozaków na widmowych koniach prowadzą atak, a na ich tle błędnie nazwisko asystenta reżysera. Potem pojawia się elegancki generał Gołubkow: leniwie obserwuje pole bitwy przez lornetkę teatralną. Kiedy kino i my byliśmy młodzi, pokazywano nam w takich wypadkach obraz zgrabnie ujęty w dwa połączone ze sobą kręgi. Teraz już się tego nie robi. Następne ujęcie ukazuje generała Gołubkowa, który pozbywszy się nagle całego rozleniwienia, wskakuje na siodło, wzbija się przez chwilę do nieba na swym stającym dęba rumaku, a potem rusza i pędzi do szalonego natarcia.

Tylko to jednak, co niespodziewane, jest podczerwonym światłem sztuki: zamiast odruchu warunkowego w postaci ra-ta-ta karabinów maszynowych, z oddali rozlega się śpiew kobiety.

(AR, s. 486–487)

I dalej: „Co dziwne, ten okropny scenariusz rozegrał się w rzeczywistości (AR, s. 487). I: „Ponura przebitka z krukami albo wronami, albo jakimikolwiek dostępnymi właśnie ptakami, krążącymi w półmroku i powoli opadającymi na pokrytą trupami równinę gdzieś w hrabstwie Ventura. Martwa dłoń żołnierza białych ciągle ściska medalion

¹ V. Nabokov, *Asystent reżysera*, przeł. L. Engelking, (w:) *Kęs życia i inne opowiadania*, Warszawa 2009, s. 485. Dalsze cytaty z owego utworu na podstawie tego samego wydania, po cytacie lub odwołaniu w nawiasie znajdzie się skrót AR i numer strony.

z wizerunkiem matki. Leżący obok czerwonoarmista ma na swej poszarpanej piersi list do domu i ta sama staruszka prześwituje przez rozpływające się litery” (AR, s. 487–488). Odwołania do filmu można by mnożyć. Ostatnie pojawia się na końcu opowiadania:

Tak czy owak seans skończony. Podajesz płaszcz swojej dziewczynie i przyłóczacie się do zmierzającego ku drzwiom na zewnątrz prądu podobnych wam osób. Wyjścia ewakuacyjne otwierają się na nieoczekiwane boczne skrzydła nocy i kierują w różne strony najbliższe strużki tłumy. Jeśli, tak jak ja, ze względu na orientację lubisz wychodzić tą samą drogą, którą przyszedłeś, przejdiesz obok plakatów przed dwiema godzinami tak pociągających. Rosyjski kawalerzysta w na wpół polskim mundurze pochyla się z konika, takiego, jakiego używa się do gry w polo, żeby zagarnąć swoją ukochaną w czerwonych bucikach i z czarnymi lokami wymykającymi się spod karakułowej czapy. Łuk Tryumfalny obejmuje się z Kremlem o przyciemnionych kopułach. Błyskający monoklem agent obcego mocarstwa otrzymuje od generała Gotubkowa plik tajnych dokumentów...

(AR, s. 506–507)

Historia, skądinąd prawdziwa (La Slavska to Nadieżda Plewicka, jej mąż – generał N.W. Skoblin, oboje zostali na Zachodzie radzieckimi agentami, Plewicką skazano na dwadzieścia lat więzienia, jej mąż zniknął)¹, o czym ci czytelnicy utworu Nabokova, którzy wywodzili się z szere-

¹ A. Luksemburg, S. Iljin, *Kommentarii*, (w:) Władimir Nabokow, *Sobranije sočinenij amierikanskogo pierioda w piati tomach*, t. III, Sankt-Pietierburg 2000, s. 640–641; G. Barabtarlo, [hasło] *English Short Stories*, (w:) *The Garland Companion to Vladimir Nabokov*, ed. V.E. Alexandrov, New York 1995, s. 105–106.

gów rosyjskich emigrantów, doskonale wiedzieli, opowiedziana jest tu z odwołaniem do konwencji filmu szpiegowskiego oraz filmowego melodramatu. Jak zauważa Asunción Barreras Gómez: „Nabokov wykorzystuje tę formę dzieła filmowego, żeby ją sparodiować i zapewnić sobie dystans, rezultatem jest tekst parodystyczny”¹. Parodia, jak wiadomo, stanowi jeden z ulubionych środków pisarza, a dystans jest mu szczególnie potrzebny w wypadku utworu, który wykorzystuje wydarzenia realne. Nabokov miał powiedzieć Andrew Fieldowi, że w opowiadaniu tym zbliżył się do rzeczywistości „bardziej niż kiedykolwiek”².

Wróćmy jednak do powieści. W *Lolice* (1955, ros. 1967) nie umknęło uwadze pisarza to, jak bardzo zależny od wzorów filmowych jest amerykański *modus vivendi*, styl życia i sposób bycia. Czytamy tu, że Humbert i tytułowa bohaterka „zachłannie i niewybrednie” obejrzeni w ciągu roku „chyba ze sto pięćdziesiąt albo i dwieście seansów”³. Pod koniec pierwszej części powieści znajdujemy nawiązanie do montażu filmowego: „Zrzuciłem ubranie i wciągnąłem piżamę z fantastyczną, zdawałoby się, natychmiastowością, jaką sugeruje kino, ilekroć montażysta wytnie efekt przebierania” (L, s. 155). W drugiej części zaś pojawia się wzmianka o ewentualnej ekranizacji książki (chodzi tu oczywiście o tekst autora przedstawionego, Humberta Humberta): „Jeśli chcecie sfilmować moją książkę, niech jedna z tych twarzy bardzo wolno przeniknie w moją własną, gdy ja będę na to patrzył” (L, s. 269). Mamy tu do czynienia

¹ A. Barreras Gómez, *El juego intelectual. Ironía y textualidad en las narraciones breves de Vladimir Nabokov*, Logroño 2003, s. 198.

² A. Field, *VN: The Life and Art of Vladimir Nabokov*, London 1987, s. 125.

³ V. Nabokov, *Lolita*, przeł. M. Kłobukowski, s.l. [Warszawa] 1997, s. 204. Dalsze cytaty z *Lolity* na podstawie tego samego wydania, po cytacie lub odwołaniu w nawiasie znajdzie się skrót L i numer strony.

z typowo filmowym zabiegiem przenikania. Pewien fragment Ameryki, Nowy Orlean, kojarzy się narratorowi z filmem (zapewne chodzi o *Przeminęło z wiatrem* [1939, *Gone with the Wind*, reż. Victor Fleming]): „Przedwojenne domy z balkonami o balustradach z kutego żelaza i schodami ręcznej roboty, w stylu tych, po których w dostatnim Technicolorze zbiegają filmowe damy z pocałunkiem słońca na ramionach, unosząc jedynym w swoim rodzaju gestem dwóch drobnych rączek przód falbaniastych spódnic, podczas gdy oddana Murzynka kiwa głową na górnym podejściu” (L, s. 187). Kiedy planowano pierwszą ekranizację *Lolity* (film Stanleya Kubricka miał premierę w roku 1961), Nabokov napisał scenariusz. Charakterystyczne, że umieścił w nim samego siebie:

Droga gruntowa w kanionie

Humbert zatrzymuje się na porośniętym bujną roślinnością, kwiecistym poboczu.

HUMBERT Nie powinienem był szukać skrótów. Zgubiliśmy się.

LOLITA Poradź się tego głupka z siatką, o tam.

Łowca motyli. Nazywa się Vladimir Nabokov. Na wysokim kwiecie przysiada, rozpościerając skrzydła, perłowiec. Nabokov chwytą go szybkim machnięciem siatki. Humbert podchodzi do niego. Ściskając ją przez fałdę muślinu pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, Nabokov uśmierca swoją zdobycz, wyciąga martwego owada z siatki i kładzie go na dłoni.

HUMBERT Czy to rzadki okaz?

NABOKOV Okaz nie może być rzadki albo pospolity, może być tylko kiepski albo doskonały.

HUMBERT Czy mógłby mi pan powiedzieć...

NABOKOV Miał pan na myśli „rzadki gatunek”. To dobry okaz dość rzadkiego podgatunku.

HUMBERT Rozumiem. Czy mógłby mi pan powiedzieć, czy ta droga prowadzi do Dympleton?

NABOKOV Nie mam zielonego pojęcia. Widziałem paru drwali (wskazując ręką) tam. Mogą to wiedzieć¹.

Pisarz nie był zadowolony, że reżyser nie wykorzystał jego scenariusza, chociaż o filmie Stanleya Kubricka wypowiedział się dość przychylnie. W jednym z wywiadów powiedział: „Nie chcę sugerować, że film Kubricka okazał się mierny; sam w sobie jest pierwszorzędny, nie jest jednak tym, co napisałem. Kino często nadaje odcień *posztosti* powieści, którą zniekształca i spospolica w swym krzywym zwierciadle. Kubrick, jak sądzę, uniknął tej skazy w swej wersji, nigdy jednak nie zrozumiem, dlaczego nie poszedł za moimi wskazówkami i marzeniami”².

W *Adzie* (1969) też nie brakuje chwytów filmowych. Jeden przykład niech tu wystarczy. Oto kilka postaci omawia ekranizację pewnej książki, dzieła postaci drugoplanowej, a temat wymiany zdań jak gdyby przerzuca się na technikę opisu:

¹ V. Nabokov, *Lolita: A Screenplay*, New York 1983, s. 127–128.

² V. Nabokov, *Strong Opinions*, s. 105–106.

Gdyby najechało się teraz kamerą na inną grupę osób, stojącą o parę kroków dalej, pod fioletowymi girlandami sklepienia patia, można by było ukazać w średnim planie ubraną w sukienkę w groszki ciężarną żonę maestra (...). Podczas tej okropnej rozmowy rzucała ukradkowe spojrzenia i zobaczyła teraz, że czysty, dziki Van stoi pod tulipanowcem (...). Porzuciła brzeg basenu i leżącego tam trupa i ruszyła ku tulipanowcowi, z powodów strategicznych wybierając drogę okrężną między autorką – ta, wciąż nieświadoma tego, co robią jej książce, drzemata na leżaku (z jego drewnianych poręczy jej pulchne palce wyrastały jak różowe grzyby) – a odtwórczynią głównej roli kobiecej, właśnie rozmyślającej nad sceną miłosną (...).

– Dobra – powiedział Wroński. – Lećmy dalej z tym cholernym scenopisem. No więc on wychodzi z patia koło basenu, a ponieważ zastanawiamy się nad nakręceniem tego w kolorze...

Van wyszedł z patia przy basenie i pomaszerował przed siebie. (...) Po chwili zauważył, że Ada śpiesznie idzie za nim. Unosząc łokieć i ukazując czarną gwiazdę pachy, zerwała z głowy czepek i wstrząsnąwszy głową, uwolniła strumień włosów. Lucette, w kolorze, pędziła za nią. (...) Lucette zatrzymała się, żeby podnieść czepek i okulary słoneczne siostry. Słoneczne lary i penaty, szkoda byłoby je zostawić! Moja mała pedantyczna Lucette (nigdy cię nie zapomnę...) umieściła oba przedmioty na pniaku obok butelki po piwie, znowu podbiegła, potem wróciła, żeby przyjrzeć się skupisku różowych grzybów, które chrapiąc, przylgnęły do pniaka. Podwójne ujęcie, podwójna ekspozycja¹.

¹ V. Nabokov, *Ada albo Żar. Kronika rodzinna*, przeł. L. Engelking, Warszawa 2009, s. 242-249.

Nie ma jednak wątpliwości, że powieścią, w której związki z filmem są najważniejsze, jest *Camera obscura* (i jej angielska wersja). Sam autor stwierdził w rozmowie z Alfredem Appelem juniorem (powtarzając, choć nie dosłownie, tezę z cytowanego wcześniej listu do Minton), że „chciał całą książkę napisać tak, jakby to był film”, dodał jednak: „Nie myślałem o formie scenariusza”¹.

Pisarz świadom jest tego, jaki wpływ mają spektakle filmowe na wzory zachowań: bohaterka działa tak, jakby stała przed kamerą. „Gra” z talentem i jej „publiczność” (bohater, czyli w wersji rosyjskiej Kretschmar, w angielskiej Albinus) jest oczarowana. Dziewczyna podejmuje się czasem niełatwych „zadań aktorskich”:

– *Naprawdę mną nie gardzisz? – spytała, uśmiechając się przez łzy, z niejakim trudem, bo przecież nie było żadnych łez, przez które mogłaby się uśmiechać.*

(s. 75)

Oczywiście „filmowe” zachowania bohaterki to kinematograficzne klisze, doskonały przykład *posztosti*. Kretschmar/Albinus dostosowuje się do stylu partnerki. Liczne sceny powieści to parodia filmowego melodramatu. Całą powieść można czytać między innymi jako taką właśnie parodię².

„Kinematograficzność” piątej powieści Nabokova zauważyli już pierwsi jej recenzenci. Władisław Chodasiewicz pisał w niezwykle przenikliwym omówieniu książki:

¹ Wypowiedź cytowana w A. Appel, Jr., *Nabokov's Dark Cinema*, New York 1974, s. 258.

² W jednym z wywiadów Nabokov powiedział: „Satyra jest lekcją, parodia – grą” (V. Nabokov, *Strong Opinions*, New York 1973, s. 75). Jego koncepcji pisarstwa bliższa była – rzecz jasna – gra, toteż parodia odgrywa w jego twórczości niebagatelną rolę.

„«Powieść Sirina przypomina scenariusz filmowy». To zdanie w najrozmaitszych wariacjach powraca w druku i w rozmowach. I trzeba powiedzieć, że (...) jest ono słuszne. Już samo tempo, w którym przebiegają wydarzenia, duża liczba samodzielnych epizodów, niektóre chwytły (szczególnie w przedstawieniu wypadku samochodowego), częściowo nawet charakterystyczne obrazy postaci powieści – wszystko to mocno przypomina kinematograf. Powszechna opinia w tym wypadku jest całkowicie słuszna. Jednakże, jak to bywa niemal zawsze, jest to tylko ogólnik i sąd taki nie dociera do tego, co w powieści naprawdę istotne.

Powiedzieć, że powieść Sirina podobna jest do filmu, to powiedzieć o niej zbyt mało i zbyt mało zrozumieć z tego, co podpowiada ona uważnej ludzkiej świadomości. Czy naprawdę warto było pisarzowi przyjmować styl opowiadania kinematograficznego jedynie dla owego stylu? Przecież, jeśli chcemy być ściśli, takie zadanie literackie jest wręcz niemożliwe, ponieważ im pełniej się je zrealizuje, tym bardziej powieść przekształci się w rozszerzony, bardziej szczegółowo opracowany scenariusz filmowy – i tyle. (...) Pierwsza i najważniejsza obserwacja, którą trzeba uczynić, mówiąc od powieści Sirina, jest taka, że kinematograf kieruje bynajmniej nie tylko stylem autora, ale również losem postaci. Podpowiada on nie tylko te czy inne chwytły autorowi, lecz także działania postaciom. (...) Słowem, w powieści Sirina kinematograf jest najważniejszą siłą kierującą, to pozostając za sceną, jak *Fatum* tragedii, to pojawiając się bezpośrednio na scenie jako działająca postać. Czytelnik od pierwszych linii zostaje wprowadzony w świat filmowy”¹.

¹ W. Chodasiewicz, [recenzja książki *Kamiera obskura*], „Wozroždienije” 1934, nr 3256 (z 3 maja), s. 3–4. Cyt. za przedrukiem w: idem, *Koleblemyj trienożnik*, sost. W.G. Pierielmutier, Moskwa 1991, s. 559–560.

Urywki powieści drukowały paryski „Russkij inwalid” (*Fragment powieści [Otrywok iz romana]*, 22 maja 1931) i berliński „Nasz wiek” (*Ciemność [T’ma]*, 8 listopada 1932). Inne fragmenty utworu (*Kamiera obskura [Gława iz romana]*; *Kamiera obskura: otrywok iz romana*) ukazały się w numerach 4043 i 4197 paryskiego dziennika „Poslednije nowosti” odpowiednio 17 kwietnia i 18 września 1932 r. Całość powieści opublikowało w odcinkach czasopismo „Sowriemiennyje zapiski” (nr 49–52, *Camera obscura*, tytuł pisany alfabetem łacińskim) w latach 1932–1933. Pierwsze wydanie książkowe wyszło nakładem dwu edytorów (Knigoizdatielstwo „Sowriemiennyje zapiski” i „Paraboła”) w Paryżu i Berlinie w grudniu 1933 r.¹

W roku 1934 powieścią zainteresował się edytor brytyjski. Rzecz przetłumaczyła niejaka Winifred Roy i książka pt. *Camera Obscura* ukazała się w Londynie w wydawnictwie John John Long Limited w styczniu 1936 (z datą 1935). Jako autor figurował Vladimir Nabokoff-Sirin². Znanych jest zaledwie kilka zachowanych egzemplarzy tej publikacji, ponieważ znakomita większość nakładu uległa unicestwieniu podczas II wojny światowej³. Przekład, jak w listach pisał sam autor, był okropny⁴. W efekcie niezadowolony

¹ Informacje bibliograficzne według: M. Juliar, *Vladimir Nabokov: A Descriptive Bibliography*, New York 1986, s. 106, 112, 500–502.

² M. Juliar, op. cit., s. 568–570.

³ Egzemplarz tego tłumaczenia pojawiał się na aukcjach w słynnym londyńskim domu aukcyjnym Sotheby’s: w latach 2002, 2005 i w lipcu 2008. Informowano przy tym, że „znane są jedynie dwa inne egzemplarze w obwolucie”, więc we wszystkich trzech wypadkach chodziło prawdopodobnie o jeden i ten sam egzemplarz publikacji. Książka tanieje, ale i tak jest bardzo droga, w roku 2002 przewidywano cenę 20 do 30 tysięcy funtów, w 2005 – 18 do 22 tysięcy, a w 2008 – 9 do 12 tysięcy. J.C., *Love for Sale: Nabokov’s Rare Novel*, „The Times Literary Supplement”, nr z 11 VII 2008 (5493), s. 36.

⁴ B. Boyd (*Vladimir Nabokov: The Russian Years*, s. 409) powołuje się na niepublikowane listy do Wadima Rudniewa (z 11 VI 1934) i do matki (z 13 VIII tegoż roku).

autor postanowił przetłumaczyć powieść samodzielnie. Pracę nad autoprzekładem zaczął jesienią 1937 r., kiedy prawa do powieści wykupił edytor amerykański. Pracował nad wersją angielską głównie, jak sam wspomina¹, na francuskiej Riwierze. Postanowił dokonać pewnych zmian, także zmiany tytułu. Rozważał różne możliwości, np.: *Latarnia magiczna* (*The Magic Lantern*), *Niezdarna ćma* (*The Clumsy Moth*), *Ślepa ćma* (*The Blind Moth*)². Ostatecznie zdecydował się na *Laughter in the Dark*. Pod tym tytułem książka ukazała się w wydawnictwie The Bobbs-Merrill Company z siedzibą w Indianapolis i Nowym Jorku w maju 1938 r. Znika tu już pseudonim Sirin, jako autor widnieje Vladimir Nabokoff³. W roku 1969 powstała ekranizacja powieści w reżyserii wybitnego filmowca brytyjskiego, Tony'ego Richardsona.

Jak zauważa Aleksandr Dolinin, tytuł wersji rosyjskiej należy odczytywać jako metaforę „uproszczonego i zniekształconego postrzegania świata”⁴, ale trzeba go chyba uznać za bardziej wieloznaczny. Tytuł angielski również opalizuje rozmaitymi sensami, wieloznaczne są oba jego człony, a wśród znaczeń ciemności jest też niewątpliwie mrok w sali kinowej podczas projekcji filmu.

W angielskiej wersji powieści „filmowość” nie została bynajmniej stonowana, wprost przeciwnie, Nabokov jeszcze ją wyostrzył. W ogóle zauważmy, jak bardzo świat otaczający postaci tej powieści jest sztuczny. Sporo tu, zwłaszcza w początkowych partiach utworu, aluzji nie tylko do filmu, ale też do teatru (utwór kończą didaskalia, tak właśnie na-

¹ V. Nabokov, *Strong Opinions*, s. 82.

² Por. B. Boyd, *Vladimir Nabokov: The Russian Years*, s. 445.

³ M. Juliar, op. cit., s. 107–108, 115–116.

⁴ A. Dolinin, *Istinnaja żyzn pisatiela Sirina* (w:) *Istinnaja żyzn pisatiela Sirina. Raboty o Nabokowie*, Sankt-Pietierburg 2004, s. 95.

zwane) oraz malarstwa, malarskiego widzenia świata („jego życie – czytamy o Albinusie już na pierwszej stronie – sta- wało się [...] wspaniałą galerią obrazów”, s. 7–8). Można to tłumaczyć faktem, że bohater powieści to historyk sztuki, więc jego percepcja jest zawodowo ukierunkowana, odbiera on świat, widząc go przez pryzmat płócien wybitnych malarzy. Nie przypadkiem jednak i nie tylko ze względu na intrygę, w celu zetknięcia z Albinusem rysownika Axela Rexa, pisarz wprowadza pomysł ożywienia jakiegoś malowidła, zrobienia filmu animowanego z dzieła malarskiego. Takim połączeniem sztuczności malarskiej i filmowej jest świat *Śmiechu w ciemności*. Albinus – nazwisko redukuje tę postać do koloru (pochodzi przecież od łac. *albus* – „biały”) – nie zauważa, iż jest postacią z takiego filmu.

Nazwisko bohatera angielskiej wersji powieści (bohater wersji rosyjskiej nazywa się inaczej: Kretschmar)¹ włącza się w grę czerni i bieli, światła i cieni, tak wyraźną w całym utworze. *Camera obscura* powstała przecież w okresie, gdy film był jeszcze wyłącznie czarno-biały; dodajmy, że efekt światłocienia charakterystyczny był dla niemieckiej kinematografii ekspresjonistycznej, która święciła tryumfy w drugiej i trzeciej dekadzie XX w.

¹ Pisarz podaje w autobiografii zabawny powód takiego nazwania bohatera, opisując swoje pierwsze doświadczenia z entomologią: złowil w swych młodzieńczych latach „piękną błyszczkę *Plusia* (obecnie *Phytometra*), która jak się od razu zorientowałem, różniła się od swego najbliższego krewniaka liliowo-kasztanowymi (zamiast zlocistobrazowymi) przednimi skrzydłami oraz węższą plamką spodnią, i w tej postaci nie figurowała w żadnej z moich książek. Wysłałem jej opis i rysunek Richardowi Southowi do publikacji w piśmie «Entomologist». On też jej nie znał, ale z ujmującą uprzejmością sprawdził w zbiorach Muzeum Brytyjskiego – i dowiedział się, że ćma została już dawno opisana przez Kretschmara jako *Plusia excelsa*. Przyjąłem tę smutną wiadomość (...) z najwyższym stoicyzmem; ale po wielu latach (...) zemściłem się na pierwszym odkrywcym o jej ćmy, nadając jego nazwisko ślepcowi w swojej powieści”. V. Nabokov, *Pamięci, przemów*, przeł. A. Kołyszko, Warszawa 2004, s. 121–122, podkreślenie autora cytatu.

W sztucznym świecie królem, ba, stwórcą i panem, a więc bogiem, jest artysta. Od razu nasuwa się doskonała kandydatura na takiego władcę: Axel Rex (to nazwisko nie przypadkiem znaczy „król”)¹ jest przecież zdolnym artystą, gardzi pseudosztuką (wystarczy przypomnieć sobie jego rozmowę z pisarzem Baumem, kiedy rozważania tego ostatniego: „Liczy się nie książka, którą piszemy, lecz problem, jaki ona stawia – i rozwiązuje. Opisując tropiki, muszę podejść do tematu od najważniejszej strony, a jest nim wyzysk, okrucieństwo białego kolonisty. Gdy pomyśli pan...” ucina krótkim i stanowczym: „Nie pomyślę”, s. 101) i ma do świata artystyczny dystans, bawi się światem (w zabawie tej, zauważmy, głośno brzmi nuta sadyzmu), chętnie obnażając jego groteskowość i karykaturalność. I rzeczywiście, Axel gra rolę boga. Kiedy Albinus oślepnie, próbuje stwarzać jego świat, igra z niewidomym, każąc mu domyślać się czego innego niż to, co dzieje się naprawdę. Namawia nawet Margot (takie imię nosi w wersji angielskiej obiekt fascynacji bohatera, w wersji rosyjskiej mamy Magdę), żeby ta, opisując Albinusowi jego pokoje, pozmieniała kolory: „Fakt, że niewidomy musi

¹ W rosyjskiej wersji powieści postać ta nazywa się Robert Gorn (Horn). W nazwisku tym można by się doszukiwać aluzji do dzikości i okrucieństwa, jako że *gorn* to po rosyjsku ognisko czy palenisko (kowalskie), a *horn* (*Horn*) to zarówno po angielsku, jak i po niemiecku róg zwierzęcia. Z kolei imię Robert kryje w sobie angielski czasownik *robe* – „okraść”, „obrabować”, imię Axel zaś – też angielski rzeczownik *axe* (*ax*) – „topór, siekiera”. Skojarzenie z toporem poświadcza jednoznacznie tekst, Albinus mówi do Rexa: „pańskie imię i nazwisko zawsze miało dla mnie brzmienie ostre jak topór” (s. 98). Nabokov powiedział w wywiadzie, że w okresie pisania utworu postrzegał „świat jako okrutny”. P. Duval-Smith, *Vladimir Nabokov on His Life and Work: A BBC Television Interview*. „The Listener” 1962, nr 1756, s. 858. Dodajmy, że rzeczywista etymologia imienia „Robert” wiąże się ze sławą: „Zbudowane jest ono z dwu staro-wysoko-niemieckich członów: *hrōth* ‘sława; zwycięstwo’ i *beraht* ‘sławny; znakomity’, pierwotnie oznaczało więc kogoś, kto cieszy się sławą”. J. Grzenia, *Słownik imion*, Warszawa 2004, s. 280 (hasło *Robert*). I to pasuje, Horn jest przecież człowiekiem znanym.

sobie wyobrażać swój mały światek w fikcyjnych barwach, które narzucił mu Rex, był dla tego ostatniego źródłem wybornej rozrywki” (s. 199).

Rex prowadzi grę – ma przecież do gier słabość – i uważa się za pana tej gry, za kogoś w pełni ją kontrolującego, za dyspozytora ludzkich losów, którymi się bawi. Rola animatora ludzkich marionetek sprawia mu przyjemność¹.

Ślepemu Albinusowi wydaje się w pewnej chwili, że „ktoś – nie Margot, tylko ktoś obok niej – cicho zachichotał” (s. 206). To oczywiście śmieje się Rex, czerpiący perwersyjną radość ze zwodzenia i dręczenia Albinusa. Ale ten się śmieje, kto śmieje się ostatni, by użyć wyrażenia w stylu „miłość jest ślepa”. Tym kimś na pewno nie jest Rex. Nagle zjawia się szwagier Albinusa i wali sadystycznego artystę łaską w głowę. I oto dzieje się coś niezwykłego, Rex „niczym Adam tuż po Upadku skulił się pod białą ścianą i blado uśmiechnięty zasłonił dłonią swą nagość” (s. 211). Kandydat na Boga staje się człowiekiem, wygnanym ze swego raju. Animator ludzkich marionetek sam okazuje się marionetką. Jak gdyby zakosztował jabłka z drzewa wiadomości dobrego i złego, poznaje wstyd, a więc zaczyna widzieć moralny wymiar świata, na który był dotąd ślepy.

Ale wobec tego, kto w tym świecie, świecie powieści, jest bogiem? To oczywiście, jest nim autor. Dwa razy pojawia się w powieści ćma, raz trzepoce wokół lampy i spada na obrus, a raz jest namalowana na obrazie (a obok na innym namalowana jest szachownica). Jak wiemy, u Nabokova ćmy i motyle są albo znakami innego świata (zaświata), albo podpisem twórcy (te funkcje nie wykluczają się zresztą, autor przebywa przecież w świecie innym niż powieściowy, w czymś, co w stosunku do świata przedstawionego

¹ Por. Z. Pechal, *Hra v románu Vladimira Nabokova*, Olomouc 1999, s. 54–56.

jest zaświatem). Tu i ómy, i szachownica aluzyjnie przywołują pisarza, znanego z tego, że był badaczem i kolekcjonerem motyli oraz autorem problemów szachowych. Rex okazuje się uzurpatorem (uzurpatorów znajdujemy także w innych utworach pisarza), próbował zbuntować się przeciw prawowitemu władcy. Jego imię też nie jest przypadkowe, Axel to forma imienia Absalom¹, a tak nazywał się zbuntowany przeciw ojcu syn biblijnego króla Dawida.

Śmiech w ciemności wydaje się ważny dla interpretacji całego dzieła Nabokova, podejmuje bowiem w wyjątkowo wyrazisty sposób temat ślepoty, jeden z tematów dla twórczości tej kluczowych². Mamy tu fizyczną ślepotę bohatera, który traci wzrok wskutek wypadku samochodowego. Ale do ślepoty tej doprowadza ślepotą inną, ślepotą na autentyczny obraz świata: „Tylko ja byłem ślepy” (s. 174) – woła Albinus, kiedy po raz pierwszy przejrzał grę Margot i Rexa (potem jednak da sobie wmówić kolejne kłamstwo, znów więc będzie „ślepy”). I doprowadza do niej jeszcze ślepotą psychiczną, etyczną, uczuciową. „Miłość jest ślepa” – stwierdza w powieści postać całkowicie epizodyczna, listonosz (s. 140)³. Ale czy już przed swym zauroczeniem Albinus też nie był ślepy na wiele aspektów rzeczywisto-

¹ „Axel to skandynawska forma Absaloma (...). Stosowana niekiedy w krajach angielskojęzycznych”. L. Dunkling, W. Cosling, *The Facts on File Dictionary of First Names*, New York 1984, s. 24–25. Por. też P. Hanks, F. Hodges, *A Dictionary of First Names*, Oxford 2003, s. 709 (hasło *Axel*); R. Kohlheim, V. Kohlheim, *Duden Familiennamen*, Mannheim 2005, s. 100 (hasło *Axel*).

² George Ivask twierdzi nawet: „Postaci Nabokova można podzielić na dwie zasadnicze kategorie: widzących i ślepych”. G. Ivask, *The World of Vladimir Nabokov*. „*Russian Review*” 1961, nr 20, s. 135.

³ Na ten frazes zwraca uwagę w swej recenzji Chodasiewicz i powiada: „Rzecz jasna, przed tą sentencją czytelnik nie ucieknie. Nie przypadkiem jednak doszli do niej dozorca i listonosz, omawiając sprawy rodzinne Kretschmara. Ze względu na nią nie warto było pisać powieści i nie ona stanowi jej «ideę»”. W. Chodasiewicz, op. cit., s. 559.

ści, na – jak to ujmuje Julian W. Connolly – „bogata tekstura świata”, na „drobne szczegóły doświadczenia, które mogą uczynić życie człowieka cennym, wyjątkowym i cudownym”¹. Czy nie był ślepy na fałsz, którego nie umiał odróżnić od prawdy? Charakterystyczne, że w kolekcji tego „znawcy malarstwa” (s. 7) znajdują się między innymi falsyfikaty, jeden z nich namalował nie kto inny, tylko Rex (s. 110). Czy nie był ślepy na podpowiedzi fatum lub autora: przed ujrzeniem Margot zauważa, że „zegarek oszalał” (s. 16), a potem przed jej wizytą w jego mieszkaniu widzi, że zegarek mu stanął (s. 44). Wchodząc do kina, gdzie pozna dziewczynę, Albinus widzi plakat: „przedstawiał on mężczyznę zadzierającego głowę ku oknu, w którym – niby w passe-partout – siedziało dziecko w nocnej koszulce” (s. 16). Plakat ów jest zapowiedzią późniejszych wydarzeń: Irma, córeczka Albinusa, przeziębii się, wyglądając zimną nocą z okna w nadziei, że na dole jest ojciec (s. 120–121), i w wyniku rozwijającej się choroby umrze. W samym kinie bohater trafia na koniec filmu, widzi na ekranie dziewczynę cofającą się „wśród poprzewracanych mebli przed zamaskowanym mężczyzną z pistoletem w ręku” (s. 17). Dowiadujemy się, że „nie ciekawiło go obserwowanie zdarzeń, których nie mógł przecież zrozumieć, skoro nie widział jeszcze ich początku” (ibidem). Nie uświadamia sobie, że początek podobnego „filmu” sam właśnie przeżywa. Zakończenie powieści nawiąże do fragmentu oglądanego przez bohatera na ekranie. Albinus chce się zemścić na niewiernej kochance i próbuje ją zastrzelić. Nie jest zamaskowany, ale jego ślepotą to swego rodzaju zakrywająca oczy maska. Dziewczyna odbiera mu

¹ J.W. Connolly, *Laughter in the Dark*, (w:) *The Garland Companion to Vladimir Nabokov*, ed. V.E. Alexandrov, New York 1995, s. 216.

pistolet i sama ślepa zabija. Na samym końcu utworu pojawiają się – jak już wspomnieliśmy – didaskalia. Słowo to sugeruje sztukę teatralną, ale w gruncie rzeczy mamy do czynienia z opisem jak z filmowego scenariusza (choć pewne szczegóły do tej konwencji nie pasują, a mają za zadanie pokazać, że nawet dobrze sobie znany pokój Albinus „widzi” opacznie – przykład ironii narracyjnej – i wyjaśnić, co stało się z porcelanową baletnicą), zauważmy, że w pewnym momencie do detalu, damskiej rękawiczki, jakby przybliżyła się kamera filmowa:

Didaskalia do tej ostatniej niemej sceny: drzwi szeroko otwarte. Stół odepchnięty od nich. Dywan – wybrzuszony u stóp stołu na kształt zamarznętej fali. Krzesło – leży nieopodal zwłok mężczyzny w brązowym ubraniu o fioletowym odcieniu i w filcowych pantoflach. Pistoletu nie widać. Leży pod mężczyzną. Szafka, w której trzymano miniatury – pusta. Na stoliku, na którym przed wiekami stała porcelanowa baletnica (przeniesiona później do innego pokoju), leży damska rękawiczka, z zewnątrz czarna, wewnątrz biała. Obok kanapy w paski stoi elegancki kuferek, wciąż jeszcze z nalepką: „Rouginard, Hôtel Britannia”.

Drzwi z hallu na klatkę schodową też są szeroko otwarte.

(s. 221)

To zbliżenie do damskiej rękawiczki nie jest przypadkowe, zapowiada prawdopodobny bieg późniejszych, nieopisanych już wydarzeń. Jak zauważa Aleksandr Dolinin, bohaterka, jak w jej ulubionych melodramatach, „staje się zabójczynią i ucieka, pozostawiając wszelkie niezbędne dowody winy i odciski palców na kolbie brauninga”¹.

¹ A. Dolinin, op. cit., s. 98.

Również inny fragment filmu stanowi zapowiedź kluczowego momentu w życiu bohatera powieści. Wróciwszy po trzech dniach do kina, gdzie pracuje bohaterka, Albinus widzi kolejny urywek filmowy (czy film jest ten sam co poprzednio, nie wiemy, a jeśli nawet jest ten sam, to trudno powiedzieć, jaka jest chronologia widzianych przez bohatera scen): „Samochód mknął w dół gładką szosą, biorąc ostre wiraże między urwiskiem a przepaścią” (s. 18). Do tego ujęcia nawiąże powieściowy wypadek samochodowy, w którego wyniku protagonista straci wzrok: „Zakręty stawały się coraz częstsze. Po jednej stronie wznosiło się strome urwisko; po drugiej zionął wąwóz. (...) Zbliżali się do ostrego wirażu i Albinus postanowił wziąć go szczególnie zręcznie” (s. 180).

Bohater jest więc ślepy, i to pod wieloma względami, w wielu znaczeniach tego słowa. Ale – można spytać – czyż wszyscy, a przynajmniej niemal wszyscy nie jesteśmy ślepi? Nie widzimy przecież świata w całej jego złożoności. Żyjąc na tym świecie, skazani jesteśmy na częściową ślepotę, na zamknięcie w czterech ścianach ograniczonego widzenia. To umarli widzą u Nabokova świat na wskroś (charakterystyczne, że w ostatnim zdaniu utworu drzwi „są szeroko otwarte”). Warto sobie w tym miejscu przypomnieć, że bohaterowi innej powieści Nabokova, *Daru*, najbardziej odpowiadał „pogląd, wedle którego czas nie istnieje, wszystko zaś jest swoistą terażniejszością, która jak blask istnieje poza naszą ślepotą”¹. Ale są też i wśród żyjących ludzie widzący więcej niż inni, zdolni – by znów przywołać *Dar* – do „wielopłaszczyznowości myślenia”, czyli między innymi widzenia wielu rzeczy jednocześnie: „patrzysz na człowieka i widzisz go tak krystalicznie jasno,

¹ V. Nabokov, *Dar*, przeł. E. Siemaszkiewicz, Warszawa 2003, s. 430.

jakby to było szkło przed chwilą przez ciebie wydmuchane, zarazem jednak, zupełnie tej jasności nie niweczając, spostrzegasz uboczny szczegół – jak bardzo cień słuchawki telefonicznej podobny jest do ogromnej, lekko skurczonej mrówki, i tu (wszystko to jednocześnie) wchodzi trzecia myśl – wspomnienie o jakimś słonecznym wieczorze na przystanku kolejowym gdzieś w Rosji, o czymś niemającym żadnego rozumowego związku z rozmową, którą prowadzisz, osłaniając od zewnątrz każde własne słowo, od wewnątrz zaś – każde słowo rozmówcy”¹. Ta zdolność daje radość, szczęście. I – jak się zdaje – szczęście to można przekazać, na przykład znakomity pisarz może je przekazać znakomitemu czytelnikowi. Historie są często banalne i po streszczeniu można by postawić kropkę, gdyby – jak czytamy na początku *Śmiechu w ciemności* – „ze snucia opowieści nie płynęła korzyść i przyjemność” (s. 7). A przyjemność tę daje między innymi ofiarowany nam przez pisarza dar widzenia.

Leszek Engelking

¹ Ibidem, s. 206.